

TOM CCXXXX

SERYA 8

ROK 60

ZESZYT 7,14

**BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.**

PAŹDZIERNIK.

1900.

TOM IV.—ZESZYT 1.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka № 14.

1900.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
I. PRZEKONANA. Powieść (dokończenie), — przez Al. Suszczyńską	1
II. EKONOMIA SPOŁECZNA NA WYSTAWIE PARYSKIEJ, — przez Henryka Radziszewskiego	27
III. ELIZA ORZESZKOWA, — przez A. Drogoszewskiego	51
IV. AGENOR HR. GOŁUCHOWSKI W PIERWSZYM OKRESIE RZĄDÓW SWOICH (1846—1859). (Sprawy ekonomiczne), — przez d-ra Bronisława Łozińskiego	79
V. KAMIENICE W RYNKU STAROMIEJSKIM W WARSZAWIE. (Wyjątek z większej całości), — przez Wiktora Gomulickiego	102
VI. ECHA Z WIELKIEGO BAZARU. III. „ULICA NARODÓW“, — przez Antoniego Potockiego	131
VII. PAN BALCER W BRAZYLII. — III. POWRÓT, — przez Maryę Konopnicką	151
VIII. PIŚMIENICTWO.	
Prof. Oswald Balzer: „Sejm mazowiecki pod rządem koronnym 1526 — 1540“, — przez A. R.	174
Antoni Potocki (Jerzy Grot): „Martosia i my“, Nowelle: Lwów, 1900. Nakładem Towarzystwa wydawniczego (str. 190), — przez Maryana Gawalewicza	180
IX. KRONIKA MIESIĘCZNA.	
Warszawskie Towarzystwo pomocy lekarskiej i opieki nad umysłowo chorymi. — Parę uwag o młodzieży uniwersyteckiej. — Encyklopedia wychowawcza. — Galeria muzeum b. Szkoły sztuk pięknych. — „Zdobnictwo na Podhalu“ Malinowskiego. — Dwie nowe książki	184
X. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE	197

WYDAWCA ZYGMUNT TOMIŃSKI

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA

PIŚMIENNICZA

[BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

Rok 1890. Tom VI.

WARSZAWA

Wydawnictwo Biblioteczne, Warszawa 14.

1890

WARSZAWA

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 239.

BIBLIOTEKA
WARSAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone naukom, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1900.— Tom VI.

WARSAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr. 14.

1900.



Допущено Цензурою.

Варшава, 7 Октября 1900 года

Рок 1900 — Том VI

WARSAWA

Warsaw Public Library, ul. Warszawska 14

1800

PRZEKONANA.¹⁾

P o w i e ś ć.

Naturalnie, noc księżycowa! cudne, balsamiczne powietrze, cisza...
Idziemy we dwoje na spacer, na łąki, szare jakieś i świetlne. Spokój
tak nadzwyczajny dokoła, że kroki nasze echo roznosi daleko.

— Czy dobrze ci ze mną, maleńka?

Czy dobrze!

— Słuchaj, Stachura, nie myśl tak ciągle o mnie i nie bądź tak
dla mnie dobry.

Mówię mu, że mię psuje, że zawraca mi głowę swoją adoracją,
że ja i tak jestem zepsuta i że trzeba mię trochę traktować en ca-
naille, bo inaczej albo jak paw się napuszę i będę niegodziwa, albo
rozplnę się cała ze wzruszenia, i zostanie jakaś głupia gąska, której
usta drżą, oczy napelniają się łzami i koniec! Nie chcę, żeby mi dawał
tak wiele, bo ja gotowam przywiązać się do niego na śmierć, i co
będzie?

— Jakto, co będzie? Będzie rozkosz.

¹⁾ Patrz zeszyt wrześniowy.

— Aha! tak. Niby to ja nie wiem, że największa rozkosz może stracić swój urok.

I wypowiadam mu wszystkie swoje wątpliwości, wszystkie swoje niepokoje, wszystkie swoje zgryzoty, i że ja się tak boję, tak boję, że to się skończy, i co wtedy się ze mną stanie. Tyle przeżyłam w życiu zawodów i rozczarowań, i wreszcie urządziłam sobie życie spokojne, bez miłości, która burzy spokój; ale teraz, kiedy na nowo mam życie szczęściem, a nie zrzeczeniem się, czuję, iż gdyby mię znowu owo szczęście odbiegło, ja-bym tego nie przeżyła...

— Kochasz mnie? Powiedz, powiedz! Tyś mnie jeszcze nigdy ty-
le nie powiedziała. Elu, malutka moja, powiedz...

A potem uspakajał mię:

— Czego się boisz? Ja obaw twoich nie rozumiem i boli mię, że nie mogę znaleźć słowa, które-by ci pewność i ufność przyniosło. Czego chcesz ode mnie, Elu? Co ja mam zrobić? Powiedz tylko! Ja widzę że ty się czegoś niepokoisz, dręczysz. Kocham cię...

Ja-bym go tysiąc razy więcej, ja-bym go dopiero naprawdę pokochała, gdybym wiedziała, że rzeczywiście będzie moim aż do śmierci. Ale przejść przez to szczęście, być w raju, a potem może musieć wyjść z niego—co za męka! Czuję, że tego nie zniosła-bym.

Co zrobić, aby mieć pewność?

Wygrzebałam oto, jak widzisz, nowego „gryzia“ na niedolę swoją. Tak dobrze mi jest, że trzebaż było wynaleźć tę kroplę piołunu, która-by mi całą słodycz zatrula. Mais c'est comme ça. Nie mogę kochać, nie będąc pewną, że będę wyłącznym przedmiotem kultu.

Wolę nie kochać wcale, jeżeli to ma się skończyć.

A czuję się zdolną do całej potęgi uczucia. Trzymam je tylko w piętach: oddać wszystko, zapamiętać się w uczuciu, oszaleć—a jeżeli potem dar ten odrzucony zostanie, jako zbyt cenny galgan? Co ja wtedy pocznę?

Co zrobić, żeby mieć pewność?

H.

Dziękuję Ci, Janiu, rozumiem twoje dobre chęci, ale ty mię nie przekonasz. Nikt mnie nie przekona, jeżeli on tego sam, pomimo swej woli, nie zrobi. Egzaltowana jestem, chora — być może. Ale ponieważ tak jest, a nie inaczej, trzeba, żebym sobie na to jakkolwiek poradziła,

Nie mogę używać szczęścia z zamkniętymi oczyma.

Ty nie rozumiesz mnie. Trzeba było w miłości to wszystko przeżyć, co ja, aby mnie odczuć. Pomyśl, czem ja byłam dla Adama, a on dla mnie — a jednak to przeszło. Pomyśl, jak szalał, jak! mój Boże, za mną Jan — przeszło. Choć ty właściwie odczuć tego nie możesz, ale skombinuj mniej więcej, jaka to dla mnie wskazówka ta moja przeszłość.

Ja to wszystko przeżyłam — prawda, i zdolna jestem do nowego szczęścia — prawda, ale już więcej nie czuję w sobie siły do przejść tego rodzaju.

Chętnie postawiła-bym wszystko na kartę, byle zdobyć pewność.

Elka.

Wybacz mi, twój drugi list przypomina mi, że cię zaniedbuję. Ale czego ty się alarmujesz? Co ja myślę zrobić? Boisz się jakiegoś szaleństwa z mojej strony. Uspokój się. Czyż ja rzeczywiście jestem taka narwana głowa. Co ja myślę zrobić? ależ to bardzo proste. Zobaczysz. Może to i szaleństwo z mojej strony — ale to i ratunek. Plan już gotowy. Chwila odwagi — c'est fait. Może, jak list ten otrzymasz, już się stanie.

Zabardzo zapaliłam się do swego szczęścia, zabardzo chcę je zatrzymać, utrwalić, abym nie miała dla tego nawet ryzykować wszystkiego.

Im bardziej jest mi słodki, im bardziej pilno mi oddać się całej upojeniu, im bliższa jestem zerwania z siebie wszystkich zastrzeżeń,

niepewności, ostrożności, więzów, im bardziej chcę kochać na śmierć i życie—tak zupełnie, jakby w romansie,—tembardziej gnębi mnie pytanie: a co potem?

I czuję, że przez to gorzknieje mi bardzo chwila rozkoszna mej idylli.

Nie mogę zamknąć oczu, nie mogę, choć chwilami samej mi się zdaje, że cały mój niepokój, to po prostu choroba.

Ale to choroba duszy, a nie umysłu, to nie bzik, ale boleśnie doświadczone serce, to tak, jak gdyby ktoś bosej nodze stąpać kazał po ostrym żwirze—cóż dziwnego, iż krwawi, choćby jej potem zaraz po miękkim gazonie iść przyszło.

Zrozumiej ty mnie.

Więc tak, plan gotowy. Widzisz, jak mię Adam rzucił, to dopiero wtedy zrozumiałam, jak bardzo go kochałam, i dopiero wtedy poczułam jasno i pewnie, że nie przestała-bym go nigdy kochać, gdyby był mnie nie opuścił wtedy. W tej chwili, gdyby był stanął przede mną, jestem pewna, że jeżeli kiedykolwiek wątpił o mnie, przestał-by wątpić.

Powiem Stachowi, że go nie kocham, że się omyliłam, że się bawiłam tylko i że bardzo mi przykro, ale musimy się rozstać.

Wtedy, kiedy będzie myślał, iż mnie stracił, spodziewam się od niego takiego słowa, takiego akcentu, takiego tonu, który-by zabił we mnie wszystkie wątpliwości.

Jedna chwila bólu — a potem całe życie będę miała, aby mu tę chwilę wynagrodzić.

C'est une idée fixe.

I właściwie, cóż w tem tak straszego?

Jeżeli przyjmie to spokojnie, rozstaniemy się rzeczywiście: nie kochał-by mnie długo.

Ale spodziewam się, iż będzie cierpiał, i w cierpieniu zdobędzie mnie silniej i pewniej, niż to się stało dotychczas.

A wtedy, pomyśl! Całe szczęście, że się ze szczęścia nie umiera.

Twoja

Elka.

Telegram twój przyszedł zapóźno.

Jestem spokojna, bo właściwie, to jeszcze nie skończone. Ale już się stało.

A stało się coś, czego nie rozumiem.

Powiedziałam mu, że go nie kocham i że między nami wszystko skończone. To jest, powiedzieć tego nie potrafiła-bym; więc posłałam mu bilecik z temi słowami.

Coś nieprzewidzianego się stało, ale to nic.

On wyjechał.

Nie odpowiedział mi nic i wyjechał.

Posłałam mu bilecik zrana, a nazajutrz wysłałam do niego Edka pod jakimś pretekstem, bo zrozumieć nie mogłam, dlaczego cały dzień nic od niego nie miałam.

Już go nie było.

Co to znaczy, żebym to ja mogła pojąć?

Jestem trochę zmęczona i dlatego więcej pisać nie będę.

Ale to głupstwo. On wróci.

Twoja

Elka.

Trzeci dzień i żadnej od niego wiadomości. Spodziewałam się listu. Chyba on chce mię wypróbować? Tośmy się wybrali z próbami!

Jaka idyotka ze mnie, że nie zaznajomiła się wczas z jego rodziną. Chłopcy, co prawda, czasem bywali u nich, ale jeździli właściwie do niego. Teraz niema pretekstu. Pocziwy Edek mówił dziś przy śniadaniu, że jednak pojedzie dowiedzieć się, bo państwo Brzeziwiczowie powiedzieli mu, iż spodziewają się wieści, gdyż p. Stanisław oznajmił im tylko, że otrzymał listy, wzywające go w interesie służ-

bowym do Kijowa, więc pewnie z miejsca napisze im, kiedy i czy wróci jeszcze na wieś.

Będę dorzucać po trochu do tego listu.

Edek wrócił.

Wiadomości niema.

Nic nie rozumiem.

Jakto? Więc on odjechał i nie myśli ani do mnie, ani do nikogo ze swej rodziny nic dać znać o sobie?

Głowa mię trochę boli.

Idę spać.

.

Taka straszna cisza i ciemność, że wytrzymać w łóżku nie mogę. Zapaliłam lampę.

Boję się.

Co ja zrobiłam?

Nie, to niepodobna. Nic się złego nie stanie. To ta noc, ta cisza rozstrajają mnie. Wszak mnie kochał. Nie odejdzie na zawsze bez słowa wyjaśnienia.

Prawda, Janiu? On chce mnie ukarać.

Gdyby wiedział, jak karze, on taki dobry, na skrzydłach leciałby do mnie.

Nie przyszedł, o nic nie zapytał, odjechał.

Jak on mógł tak postąpić? Wszak mnie kochał!

Kto z nas popełnia tu zbrodnię?

H.

Co ja mam ci pisać, Janiu. Jest słonecznie, jasno, ciepło na świecie, ale w naszym domu zrobiło się duszno i przygniatająco okropnie. Nikt z nas nie mówi o p. Stanisławie, ale ja to wiem, że oni przy mnie tylko milczą. A tymczasem ta niepewność, to milczenie, to okropne udawanie, że nic nie jest, podczas kiedy we mnie dusza umiera z trwogi — to najgorsze ze wszystkiego.

Nie, nie będę się niepokoić. Jego coś, niezależnie ode mnie, zatrzymuje w Kijowie. Na mój bilecik nie zwrócił uwagi, a nie pisze, aby za moją lekkomyślność ukarać mnie. On jest pewien, że to był żart z mojej strony. Jak mu wytłómaczę, co to było, będzie żałował, że mię tak dręczył.

Dziś wieczorem siedziałam na werendzie po herbacie zamyślona. Podeszedł Edek, który krążył po ogrodzie od pół godziny i oparł się na balustradzie.

— Helenko, chodź przejść się.

Odmówiłam, bo czułam się zmęczona.

— Zmęczona, kiedy dziś nigdzie nie chodziłaś.

Wzruszyłam ramionami.

— Wiesz, ja chciał-bym się ciebie o coś zapytać.

— O co?

— Tobie coś jest i mnie to tak dziwi...

— Cóż dalej?

— A bo mnie się zdaje, że ty dałaś odprawę panu Stanisławowi...

— Zdaje ci się.

— Aha! A jednak chyba dałaś odprawę, choć...

— Cóż takiego?

— I to mnie bardzo dziwi, ale...

— Ach, Boże, jeżeli masz mówić, to mów!

— A bo jeżeli dałaś odprawę, to czego teraz jesteś smutna?

— Nie jestem.

— A jakto, niby to ja nie widzę. Ale jeżeli sama chciałaś, to nie dziwnego, że on wyjechał.

A po chwili milczenia:

— Wiesz, ty źle z nim postępowałaś.

— Sądz mnie, — rzekłam ostro.

— Nie rozumiem, słowo daję; tu coś jest...

— Nie tak prosto, jakby się zdawało!

On popatrzył na mnie.

— No, to ja już nie będę się mieszał..

Jak on mnie zmęczył. A przecież mnie tak wszystko jedno, co kto o mnie pomyśli, byle on, ten mój, źle nie pomyślał. On wróci. Gdybym nie była tego pewną — nie wiem, co by się stało.

Ty widzisz, że ja jestem spokojna, jak anioł spokojna. Piszę do ciebie i rozważam, dlaczego on mi to zrobił. Nie zasłużyłam na taki postępek z jego strony. Ale ja mu przebaczę. I on mi przebaczy, jak się przekonam, co przecierpiałam. Wszystko będzie dobrze. Będę ci po słów kilka wpisywać do listu, a jak się zgromadzi trochę, będę ci te kartki odsyłać. To mi ulgę robi. Dobrze, że z tobą mogę o tem mówić, Ja wiem, że on wróci i wszystko się wyjaśni, ale tymczasem miejsca sobie znaleźć nie mogę.

.

Nie będę liczyć dni, nie chcę pamiętać, lepiej nie wiedzieć, jak długo czekam.

.

Co to znaczy, Janiu?

Edek tylko co wrócił od Brzeziewiczów.

Był list.

On pisze już z drogi, iż w interesie zbożowym wyjeżdża na Kaukaz, a potem może do Persyi, może jeszcze dalej. Prosi, aby się nie dziwić, jeżeli wiadomości od niego będą rzadkie, albowiem komunikacya w tamtych stronach jest bardzo uciążliwa, najczęściej trzeba umyślnych posyłać po korespondencyę do odpowiednich stacyi. Nawet adresu swego nie posyła, gdyż właściwie z dnia na dzień może być gdzieindziej przygotowany jest na to, aby być przez pewien czas pozbawionym wiadomości z kraju.

Edek mówi, że pani Brzeziewiczowa jest tym listem bardzo zmartwiona i twierdzi, że pisany on jest jakby na odczepne.

— On zupełnie robi na mnie wrażenie, jakby od ludzi uciekał. „Dajcie mi święty spokój, nic nie chcę o was wiedzieć i wy się o mnie nie troszczcie“.

Pan Brzeziewicz dowodził żonie, że jej się śni, że widać wypadły p. Stanisławowi pilne interesa, iż niemi ma głowę zaabsorbowaną. Ale ona obstaje przy swoim:

— Powiadam ci, jemu coś się stało.

Edek z możliwemi szczegółami powtarza mi to wszystko i mówi, że p. Brzeziewiczowa umyślnie przy nim to mówiła, aby od niego czegoś się dowiedzieć.

— Ona coś podejrzewa, — rzekł mi.

Zerwałam się i uciekłam do ogrodu.

Słuchaj, Janiu, co on sobie myśli? Nie wróci, do mnie ani słówka. Ach! Edek mówił, że jest dopisek w jego liście: prosi brata, aby przy sposobności przeprosił pp. Łaniewskich i ich rodzinę, że nie pożegnał ich, ale interes, niecierpiący zwłoki, nie pozwolił mu i chwili jednej stracić.

Co za okrucieństwo!

Czy to znaczy, że on naprawdę nie wróci?

Ależ to być nie może, on się opamięta.

H.

Dziękuję ci za wszystko, najdroższa. Nie mam słów, aby ci wypowiedzieć, jak ci jestem wdzięczna. Ale ty nie troszcz się o mnie. Wyjechać stąd teraz nie mogę. Pomyśl: on może łađa chwila wróci i co będzie, jak mnie nie zastanie? Jak my się wtedy porozumiemy? A ja wiem, że on tak długo nie wytrzyma. i ta pewność nie pozwala mi upadać.

Zrobiło się coś straszego, czego pojąć nie mogę, ale coś mówi mi ciągle, bezustanku, wytrwale, że on mnie nie przestał kochać.

Sił mi trzeba, aby wytrwać, i może ta krwawa próba zdecyduje jednak na dobre nasze losy. Jeżeli się teraz zejdziemy — to już aż do śmierci.

Jest coś w samym fakcie, że on odjechał, co zamiast upokarzać, podnosi mię i podtrzymuje. On mnie kocha. Nie usłyszałam od niego ani jednego słowa. a z chwilą każdą rośnie we mnie pewność słodka, upajająca, odbierająca mi zmysły: jest moim aż do śmierci.

Ale jednocześnie wszystko zamiera we mnie i lodowacieje, i boję się, sama już nie wiem, doprawdy, czego.

On wróci. Ale jeżeli zanim wróci, stanie mu się coś złego. Ach! Słowo... trzeba siły, aby je wymówić. Jeżeli on umrze... zanim się zobaczymy.

Jeżeli będę myśleć o tem, zwaryuję.

Nie będę myśleć.

Jestem spokojna.

To straszne słowo przed memi oczyma, nie mogę pisać więcej.

.

Nie, ja stąd odjechać nie mogę, ale i ty nie przyjeżdżaj, droga. Ty teraz dla mnie nic zrobić nie możesz. Zostaw mię.

Ja może popełniłam zbrodnię. Zostaw mię samą z tą myślą, bo jeżeli jego to zabija, niema dość wielkiej dla mnie męczarni. Ale mój grzech jest to grzech miłości. Czy za zbyt wielką miłość trzeba iść do piekła. Nie sądzę. Będę czekać spokojnie. Bo czy ty pojmujesz, że ja muszę czekać i ani odezwać się do niego nie mogę, nie wiem, gdzie go szukać. Zresztą, co ja mu napiszę. Tu trzeba żywego słowa.

Będę czekać.

Pojmujesz: to oczekiwanie, ta niepewność, ta zupełna niewiomość, co się z nim dzieje, gnębi mię. Potrzebuję dużo siły i skupienia się w samej sobie. Muszę być tu i być sama. Oni tu wszyscy nie istnieją dla mnie; ale twoja obecność mogła-by mnie z mego spokoju wytrącić. Będę pisać do ciebie, ale zostaw mię tu samą.

Rozmówiłam się z cicią. Powiedziała jej, że chcę czas jakiś jeszcze na wsi zostać. że rozpoczęłam obraz, który chcę ukończyć. Cicia bardzo serdeczna była i tylko ubolewała, że mi nudno będzie, bo Jadzia w tych dniach wyrusza do Warszawy, do Konserwatorium, a chłopcy do Petersburga.

Tem lepiej. Będzie cisza i pustka, i będzie we mnie i wokoło mnie tylko nieustanna myśl o nim.

Czy ty nie sądzisz, że on mną pogardził?

Janiu, jak on może nie zatroszczyć się o mnie... A przecież to nie możliwe i ja wiem, ja czuję, ja jestem pewna, że i ja jemu z myśli nie schodzę, że i on ma mnie w duszy jak żywą. Boże, po co ta męka?

Co ja zrobiłam!

Sił mi trzeba. Wiesz, jeżeli to długo potrwa, sił może mi zbraknąć. Z założonemi rękoma czekać, aż będzie zapóźno? Tu każda chwila rozstrzyga nasze losy. Życie będzie za krótkie, aby naprawić to nieszczeście. Dzień ucieka, a ja jestem sama i sama, i wiecznie sama.

I czuję, że jego duszę krew zalewa przeze mnie.

Życie całe, żeby mu to wynagrodzić.

O Boże! Dlaczego on nie wraca!

To niepodobna, aby mię przestał kochać.

I on może wytrzymać tak bez wieści o mnie!

A ja-bym umarła, żebym wiedziała napewno, iż wszystko skończone.

Czy skończone?

Włosy na głowie wstają mi z przerażenia.

H.

Popełniłam zbrodnię.

Trzeba się z tą myślą oswoić.

Ale odejść tak bez jednego słowa, to też zbrodnia.

Niel ja go rozumiem. Duma w nim silniejszą jest od miłości. Jaka straszna duma! Kocha mię nad życie, ale dumniejszy jest od swego serca. Gotów zginać, zacisnąwszy zęby.

Czy to możebne?

Z miłości się nie umiera.

Tak, ale całe życie moje było na to, aby mię do przepaści zaprowadzić. Wszystko fałsz, i rozum mój, i doświadczanie, poglądy życiowe i postęпки.

Jednak z miłości przecież się nie umiera.

Janiu!

Słyszę... słyszę najwyraźniej...

— Ty pierwsza.

Co? Umrę z rozpaczy, żem jego zabiła.

Janiu! Ten głos cichy mi odpowiada:

— Nie.

— On nie umrze?

— Nie.

— Zobaczę go?

— Tak.

Co to jest, Janiu!

.

Już mi nie jest. Już przeszło.

Jak tylko wróciłam do przytomności, wołałam, pytałam, błagałam o jedną jeszcze odpowiedź: czy on mnie kocha? Napróżno. Cisza.

Opieram zmęczoną głowę na obu dłoniach.

Chciała-bym móżdżek płakać.

Jeżeli ja ci przykrość robię, Janiu, powiedz, że nie może być inaczej. To, co się staje, należy przyjmować, bo żadna siła ludzka nie jest dziś mocna, aby to odwrócić.

Patrz, jak ja spokojnie przyjmuję ruinę mego szczęścia. Bo to ruina. Dłużej ludzię się nie chcę.

Czy chciała-bym umrzeć? Póki ty żyjesz, nie mogę. Zreszą po co? Czy myślisz, że umierając z bólu, nie unosi się tego bólu z sobą? Ja myślę, że on idzie razem wszędzie.

Zabiłam nie miłość, ale szczęście nasze.

.

Nie, to tylko chwila upadku mego ducha.

Widzę jego oczy przed sobą, czuję dotknięcie jego dłoni... Wyteżam słuch, wyteżam oczy... W głowie czuję ból jakiś ostry i zdaje

mi się, że ścianki czaszki mej się rozszerzają, aby zrobić miejsce puste.

Czy ja waryuję?

.

Wiesz, że on wróci... Wiesz, że zdołam mu krzywdę wynagrodzić, że uspokoję jego zbolalą duszę, że chłodne dłonie ogrzeję ciepłem swego ciała. Położę mu się cała na sercu — i ożyje.

Niech wrócił

Muszę wytrwać. Będę silniejszą od niego, bo wina moja jest z tych, które zmasać trzeba. Wytrwam, i wytrwam nietylko ciałem — duchem! i nie pozwolę sercu swemu na nieufność, ani na zwątpienie, ani na rozpacz, ani na omdlenie. Będę silna, aby moc moja odbiła się na nim. Całą potęgę swego ducha skupię na jednym chceniu, na jednej myśli, na jednym uczuciu. Wola moja stanie się tą, która zdobywa światy. Silniejsza będzie nad czas i przestrzeń.

A potem...

Potem zmęczoną głowę złożę na jego ramieniu, i świat przestanie dla mnie istnieć. Będę w raju.

H.

Niepokoisz się o mnie? Jakże niesłusznie, Janiu. Powiadam ci, jest we mnie wiara, która mi nie pozwoli upaść, zanim nie będzie jego przy moim boku, aby mię ratować. Ty-bys tę wiarę terminem medycznym nazwała: *idée fixe*.

Być może, *idée fixe*, to moje życie.

To nawet mój spokój, moje zdrowie.

Częściej pisać do ciebie? Dobrze, ale nie przyjeżdżaj, nie przyjeżdżaj. Ja potrzebuję dla siebie całej swej energii.

Maluję.

Dobrze słyszysz: maluję.

„Śmierć kwiatów“.

Nie pamiętam, czym ci kiedy pisała o pomyśle do obrazu, który wtedy od razu zaczęłam robić.

Robię go teraz. To zajmuje moje ręce i pozwala odpocząć duszy.

Zresztą to jest właśnie to, co się stało: ohydne zniszczenie, rabujące świeżość, piękność, miłość, życie.

Myśl moja nie odrywa się od mego życia, uplastycznia je.

Maluję i nie przeszkadza mi to myśleć o nim.

Nie mogę wymówić jego imienia; zdaje mi się, że popełniła-bym świętokradztwo.

Jestem dziś bardziej, niż kiedykolwiek, spokojna, i myślę nad tem: jeżeli, przez niepojętą jaką moc, stanie się rzecz monstrualna, że my się z sobą nie zobaczymy, to dla niego po mnie będzie to jedyna pamiątka. Tobie tego obrazu nie zostawię. Tobie dam jego portret, który robię jednocześnie. Ten, co zaczęłam przy nim, jest na nic. Robię teraz drugi, i z płótna wychodzi mi jego głowa, jak żywa. Nic dziwnego: jest on cały w duszy mojej i kawałek duszy mojej po prostu przenoszę na płótno. Kopiuję.

To będą dwa arcydzieła moje — i wiesz, to będą ostatnie dzieła moje. Czuję, że więcej nigdy pędzla do ręki nie wezmę.

U nas taka cisza, że nic spokoju mego nie zakłóca. Żyję marzeniem mojem i potęgą mej woli, która mi chwilę szczęścia jeszcze dać musi.

Wiem teraz, co jest szczęście, i nie odejdę, o, nie! aż swoją cząstkę wezmę, bo mi się należy.

Tęsknota mnie gniecie i modłę się codzień o litość, bo słaba jestem chwilami i dusi mnie tęsknota. Ujrzeć jego na chwilę, przez chwilę głos jego słyszeć, na chwilę tylko być w jego objęciu. On-by zaraz zdjął ze mnie całą mękę. On-by mi u nóg leżał i mślał na wspomnienie mego cierpienia. I trzeba tylko, aby na chwilę stanął przede mną.

Tylko!

Tak długo czekać... tak długo...

Czuję że nie będę dziś malować.

Stawiam portret jego przed sobą i wpatruję się w jego oczy ciepłe, dobre. Czy długo jeszcze? Drogi, czy widzisz, jak cię kocham? Ja sama się tego nie spodziewałam. Widzisz, mnie sił może zabraknąć.

Com ja zrobiła, Janiu, com ja zrobiłam.. I bylibyśmy teraz tacy szczęśliwi. Wszystko stracić, kiedy szczęście było już w ręku. Jaka ja zmęczona jestem, żebyś wiedziała. Praca, świat, obowiązki, zabawy — to było. Teraz niema dla mnie nic, prócz — bólu.

Miłość to zabawka... A oto przez tę zabawkę jestem wykolejona, wyczerpana, bez celu, bez sił.

Nie, cel mój i siły to ta zabawka właśnie, niech mi kto wyrwie z duszy pewność, że on żyje, że mnie kocha, że z ust jego własnych jeszcze to raz usłyszę — niema mnie.

I nie chcę słyszeć, nie chcę rozumieć, nie chcę wiedzieć, czy może być co innego i gdzie jest prawda.

Dla mnie prawda jest w mej nadziei.

Więc bądź spokojna, Janiu.

Ty jesteś pomostem, łączącym mnie z moją nadzieją i z moim celem. Bez ciebie może-by mi zabrakło hartu wytrwać.

Twoja biedna

Elka.“

„Co? Janiu! Śmiech mnie porywa. Co? sztuka ma mię ratować! Talent mój ma mię podtrzymać! Dla czego cały hart duszy ześrodkowuję w jednej myśli! Trzeba umieć wyjść z siebie, zwyciężyć swój ból i odżyć w rezygnacji i poświęceniu się.

Słuchaj, czy ty wątpisz, że on wróci? Słuchaj, ja rozumiem, ty przypuszczasz, że to moja mrzonka, że to nieprawdopodobieństwo, że on nie wróci.

Ty to przypuszczasz, ja to widzę — ale nie mów ty mi nic, nie mów!

Albo nie: słucham cię spokojnie. Mojej pewności nie nie zachwieje; bo widzisz, z chwilą kiedy grunt ten z pod nóg moich zacznie się usuwać—zginę.

Ja wiem, że ty chcesz mi dobrze zrobić. Myślisz, że trzeba mię powoli przygotowywać na wszystko.

Ale to niepotrzebne, Janiu.

Sztuka!

Zdawało mi się niegdyś—o! jak dawno—że sztuka to całe szczęście, to całe życie, więcej—to niebo.

Ale, żeby talent mógł żyć, musi czerpać soki w duszy żywej, pulsującej, gorącej. Moja bez miłości żyć nie może i talent mój umrze, jeżeli serce moje będzie lodowate, spokojne, martwe.

Talent mój to jeszcze moje serce.

Kiedy pierwsza moja miłość umarła—talent mój rósł w cierpieniu, bo cierpienie to jeszcze miłość. A potem w nadziei, bo nadzieja to jeszcze miłość. A teraz w śnie, w woli, w dążeniu do szczęścia, w które wierzę, i będzie trwał, bo teraz miłość moja jest prawdziwa, pewna, niezmienna, bo teraz jest jedyna, bo nareszcie wiem, co to jest miłość.

A że miłość jest moje życie całe, więc jeżeli mię zawiedzie—talent mój umrze, bo serce moje więcej czuć nie będzie zdolne.

Nie mówmy o tem.

Wierzę, że on wróci.

H.*

„Dzień jest prawdziwie jesienny. Przenikliwy wiatr świszczę za oknami i żółte liście lecząz drzew, wirują w powietrzu i ścielą się masami na suchej, chłodnej ziemi. Z okna mego patrzę na obnażające się gałęzie drzew.

Już jesień? Tak wczesnie.

Portret jego postępuje nadzwyczajnie i mam wrażenie, że powoli wywołuję go na płótno i że, ulegając mej sile, niedługo, wkrótce on sam, żywy, stanie przede mną.

Ale nie wolno mi myśleć o tem.

Czy ja teraz potrafię znieść szczęście?

Okropna jesień na dworze. To dziwne! dopiero co było lato. Te spadające, żółte liście wzruszają mnie ogromnie. Już jesień...

Żebyś ty wiedziała, jaka cisza u nas! Snuję się, jak duch po opustoszałym, cichym domu, i jak zakłęty wyglądam cię. Ciocia i wujaszek obchodzą się ze mną, jak z bibelotem. Ale oni jednak nie zdają sobie dobrze sprawy, jak jest, i nie widzą, że się znajduję u brzegu przepaści. Jeszcze jeden krok...

Pozwól mi pisać swobodnie, nie przestraszaj się i nie proś, abym ci pozwoliła przyjechać. Ty wiesz, że jeżeli czegoś nie chcę, to czuję że tego nie zniósę. Bądź mężną i wytrzymałą, taką, za jaką cię mam, bo taką jesteś. Ja nie mogę się teraz roztkliwiać. Mnie teraz nie wolno. Ja tak dbam o siebie, jak nigdy. Pomyśl: ja muszę być zdrowa i silna, i dobrze wyglądać, i być spokojna. On lada chwila wróci. On długo nie będzie mógł tak wytrzymać. Czuję to—bo ja go ciągnę do siebie całą mocą swej duszy: jak mi sił nie starczy, bo je wszystkie zużyję dla niego, on przyjdzie, aby mię ratować. Będzie wtedy najwyższy czas. Więc on zwlekać już długo nie może.

Zostaw mię w spokoju, najdroższa, i nie bój się o mnie.

Jego oczy patrzą na mnie łagodnie. Wszystko będzie dobrze. Trzeba było nieszczęścia, aby głodną duszę moją zaspokoić. Teraz wiem, że nie można bez końca szukać we wszystkim absolutu, że nie trzeba rwać się do bezwzględności, nie trzeba walczyć z Bogiem, ale dumnej, zuchwałej, królewskiej głowy ugiąć, chcąc żyć.

Zegnę ją teraz.

— Zapóźno.

— Co!

Po co ja się zerwałam z krzykiem, kiedy wiem, że należy wtedy milczeć i myślać tylko pytać, chcieć i wymagać. Mój Boże, ten głos, już znajomy, ja go się nie boję. Duchy litują się nade mną, czy też może tylko znęcają się nade mną?

Nie, głos ten dał mi najwyższe szczęście, do jakiego teraz rwie się cała moja istota: zobaczę go!

Zobaczę i będę z nim mówiła—to będzie koniec męki.

Czy długo jeszcze czekać?

Jego oczy uśmiechają się do mnie.

— Powiedz... powiedz! Nie? Dobrze, ja będę czekać.

Tylko to tak strasznie ciężko czekać bez jutra...

Ty się boisz mojej egzaltacji? Nie uważam, aby to była egzaltacja. To jest tylko ten ogień, bez którego zagasła-by dusza moja i został sam popiół.

Ta egzaltacja spycha mnie na dół cierpienia — tak sądzisz? Ale ona też i wynosi mnie na szczyty szczęścia. A teraz ratuje mnie.

Czy sądzisz, że gdybym mogła spokojnie naprawdę rozważać, spokojnie przypominać, spokojnie przypuszczać, czy sądzisz, że umysł mój oparł-by się tej pracy w katordze?

Ale po co te próżne myśli. Musi tak być, jak jest.

Gdzie on teraz?

Tęsknię strasznie, ale mnie niewolno myśleć o nim inaczej, jak z pokorą. Nie śmiem wyobrażniać dotykać go, bo przedtem muszę odkupić winę swoją. Wtedy będę mogła rzucić się w jego ramiona, kiedy wina moja zmazana zostanie słowem.

A on mi powie... przebacz!

Jakto? to on mi powie: przebacz!

Nie ja?

Słyszę to słowo tak wyraźnie, że dusza we mnie omdlewa ze wzruszenia.

On—nie ja?

Janiu, Janiu, Janiu!..

„Nie będę ci na pytania odpowiadać; ty mi wybaczysz. Co to mnie obchodzi, co Jadzia, chłopcy, co p. Ludwik, co świat cały! Żyją gdzieś, jakoś. Jeśli myślisz, że mnie tem z mych myśli wytrącisz, oderwiesz, bo ja jasnowidząca jestem i wiem, że to o to chodzi, to się mylisz. Więc nie wymagaj sprawozdań z mego otoczenia. Ja nic nie wiem.

O sobie pisz mi, i owszem. Ty jesteś mi tak blizką, że nawet w tej próbie, którą przeżywam, wszystko, co się ciebie tycze, nie jest mi obce. Ale ja niezdolną jestem czuć razem z tobą w tej chwili i odkładam te wieści tymczasem na bok.

Potem, potem.

Tymczasem on tylko.

Jesień taka przykra się zrobiła, szara, pochmurna, dżdżysta i przenikliwa. Wczoraj z deszczem śnieg padał, ale roztajał zaraz i zostało brzydkie, grzązkie błoto. Widzę to, bo chodzę na długie, długie spacery po odludnej wsi, podczas których, zdaje się, o niczem nie myślę. Odpoczywam.

I pragnę zimy: niech przyjdzie prędkiej, niech wyściele śnieżnym puchem całą ziemię, niech przykryje błoto puszystym białym dywanem i niech świat cały w biel się ustroi, i wtedy będzie święto. On przyjedzie i uniewinni mnie, zdejmie ze mnie wszystek ciężar, bo ramiona moje już się uginają i słabną. Wtedy stanę się jak śnieg biała i jak śnieg cicha, i jak oblubienica strojna na to święto.

Czy długo czekać?

Patrzyłam na wirujące, cienkie, przejrzyste gwiazdki śniegu i mówiłam im, aby prędkiej rosły, nabierały tęgości, puszystości, bieleń, formy. Bo jak śnieg królewskim, białym dywanem otuli ziemię—on wróci.

Nie może bowiem przyjść teraz, kiedy tak brudno na świecie.

• A we mnie z oczekiwania i niepokoju, ze wzruszenia i bólu, dusza mdleje.

Prędkiej!

Jestem zmęczona bardzo, Janiu; chciała-bym zmęczoną głowę moją utulić na jego ramieniu i odpocząć. Kiedy to będzie?

H.“

„Nie mogę pisać do ciebie częściej, bo wszystkie nerwy duszy mojej drgają już we mnie z oczekiwania. Zresztą tobie wszystko jedno. Ciocia pisze ci o mnie, wiem o tem. Wiem, że jesteś gotowa w każdej chwili pośpieszyć mi na ratunek. Ale to niepotrzebne i dziękuję ci, że szanujesz moją wolę.

Już zima.

Wczoraj zbudziłam się ze snu i, oczom swoim nie dowierzając, wybiegłam w koszuli na werendę.

Biało! biało!

Święto nadchodzi.

Mróż wspaniałą, uroczystą i taki biały, lśniący całun na ziemi.

Święto nadchodzi.

To dobrze, bo dłużej czekać już nie mam siły.

Śpieszę się. Od dni kilku wykończam „Śmierć kwiatów“.

Jakie to straszne. Zimny dreszcz mnie przechodzi, kiedy zbliżam się z pędzlem do obrazu.

Żebyś ty wiedziała, jakie to zniszczenie ohydne, wstrętne, uśmiechnięte, gładkie...

Ja się tego boję.

Dzieło własne mię przeraża?

Ale koniec ciągnie mię z nieprzepartą siłą. Muszę malować, tylko wszystko we mnie zamiera z trwogi.

Boję się dzieła rąk własnych i własnego umysłu.

.

Skończyłam.

Jakie to straszne!

Odwróciłam płótno do ściany, bo mi Zniszczenie wylazi z płótna i po mnie swe ślizkie ramiona wyciąga, wstrętne.

Biedne kwiaty!

— Biedny kwiat...

Cicho!... Nic, nic więcej...

Zbolałą, wyczerpaną głowę opieram na obu dłoniach.

Chciała-bym móżdżek płakać.

.

Śpieszę.

Głowa jego patrzy żywa na mnie, nie śmiem tej żywej już więcej pendzlem dotykać.

Już czas, najmilszy, już czas.

Malutka twoja zmęczona bardzo.

Przyjdź!

Wołam cię resztkami mocy, która tleje we mnie. Nie mam już sił... nie mam sił.

Ratuj mnie!

Zmęczoną głowę chcę oprzeć na twojem ramieniu. Tyś dobry, uspokój mnie. Wszak już dosyć męki? Usta swoje połóż na moich ustach, a świat cały przestanie istnieć dla mnie. Dla nas?...

Czy mogę dotknąć ustami twego czoła? o! patrz, tak tylko, zleka, nieśmiało...

Przebaczyles mi?

.

„Przyjeżdżaj, prędzej, natychmiast, bo ja oszaleję! chcę cię widzieć, nie mogę być sama.

On przyjechał.

Zemdlałam, kiedy ciocia mi powiedziała, że on jest.

Nie przyszedł.

I godziny w męce tej wytrzymać nie mogłam. Posłałam po niego.

Był wieczór. Ogień, w moim pokoju się palił, lampa przyciemniona niebieskim abażurem stała w pokoju. W tem świetle i na tle cieniów, które po kątach się kładły, wyglądałam sama jak cień. Ja to wiem, mnie wszystkie szczegóły tej chwili w oczy się wzarły.

Ale on myślał pewnie, że nawet ta bladość moja, to kłamstwo.

A jaki on sam był blady, ten ukochany mój, ta śmierć moja.

Zdawało mi się, że z gardła mego nie wydobędzie się żaden dźwięk.

— Pani mię wzywała—przemówił wreszcie on pierwszy.

Ach! Boże, ten głos był sztuczny.

— Wyrządziłam panu wielką krzywdę—zaczęłam powoli i mówiłam niepewnie, cicho, bo przysłuchiwałam się duszy mej, która krzyczała:

— Rzuć mu się do nóg, na szyję, opleć go ciałem twojem, krzycz!

— Bo zwątpiłam o trwałości uczucia pańskiego—ciągnęłam jednak wbrew duszy mojej.

— To są dawne dzieje—rzekł chłodno.

Utkwiłam w niego przerażone oczy.

O Jezu!

— Spodziewałam się, że pan nie odjedzie tak bez słowa wyjaśnienia...

A dusza krzyczała we mnie?

— Wpij usta swoje w jego usta! broń się!

— Po co pani to przypomina?

O Jezu!

— Bo muszę panu powiedzieć, że ani na chwilę nie przestałam pana... kochać...

— Nie tak! nie tak!—krzyczało we mnie.

On o krok jeden odstąpił ode mnie.

Stał niby posąg nieruchomy, a trwało to wieki.

— Rzuć się do niego!

Stałam jak wkopana na miejscu.

Wreszcie powoli, och, jakby bryłki lodu, spadły na mnie jego słowa:

— A teraz jakiego rodzaju doświadczenie raczy pani na mnie robić?

Stałam jak martwa i martwemi oczyma patrzyłam, jak mi się nisko ukłonił i powoli się odwrócił.

Odszedł.

O Jezu!

— A teraz jakiego rodzaju doświadczenie raczy pani na mnie robić?

To moja wina. Nie potrafiłam nic wyjaśnić. Ale ja tak sobie to wszystko inaczej wyobrażałam. Tak zostać nie może. Ratuj mnie. Wszystko mnie zawiodło. Trzymam, się póki ty nie przyjedziesz. Może ty mnie uratujesz.

Jakto? więc przegrałam wszystko? Jakto, więc omyliłam się? więc ta pewność, ta nadzieja, to oczekiwanie, ta miłość—to kłamstwo? Przyjechał przecież. Nie wiem, co go tu przywiodło; ale jest. Czego on tu przyjechał, jeżeli przestał mię kochać.

O Jezu!

Chcę walczyć do ostatniego tchu. Ale ja do niego nie będę mogła już przemówić. On zamknął mi usta. Nie chcę ginąć, zanim on mnie nie zrozumie. Nie wiem, co robić. Ratuj mnie. Ja nawet umrzeć teraz nie mogę. Ty mnie tak kochałaś, ratuj!

Uważasz: on mi nie wierzy!

Czy on nie ma serca, aby mu powiedziało, że mnie zabija? A ja mu tak wierzyłam.

Ja już nic nie chcę—wiem, że dla mnie wszystko skończone. Nie kocha mnie, ale ja chcę być w jego wspomnieniach czystą, i bez kłamstwa, winna—ale niewinniona brzemieniem bólu.

Przyjeżdżaj.

Elka.*

Ręka z ostatnią kartką listu opadła mu ciężko na kolano.

— O Jezu!—jęknął.

A potem zerwał się nagle i powtórzył głośno:

— O Jezu! o Jezu!..

Zebrał prędko wszystkie listy, włożył je do szufladki biurka, zamknął na klucz. Śpieszył się. W przedpokoju spotkała go pani Brzeziwiczowa, a widząc, że kładł prędko futro i dawał lokajowi rozporządzenia, aby czempędzej konie zakładano, spytała:

— Czy nie wrócisz na herbatę, Stasiu?

On chwycił ją za rękę, ścisnął mocno, ucałował i rzekł:

— Potem powiem ci wszystko... śpieszę się...

— Dobrze, dobrze... uspokój się, mój drogi

Pojechał.

Te parę mil drogi wydały mu się podróżą bez końca.

A potem... a potem...

Stoi w salonie sam przez chwilę i nagle krew uderzyła mu do głowy: to szelest jej sukni, to jej kroki, to ona! W oczach mu pociemniało, rzucił się ku niej i obwiał ją całą ramionami.

Ona wzięła jego głowę w swoje dłonie i rzekła:

— Już dobrze?

Kiwnął głową, bo drżące usta jego nie zdolne były słowa wymówić.

— Jakiś ty blady...

— A ty, malutka moja, a ty!

Ona uśmiechnęła się rozkosznie.

— Kochasz mnie?

— On przycisnął usta swoje do tych ust dobrych, białych, ale ona zaraz odsunęła głowę i rzekła:

— A mogłeś tak długo beze mnie wytrzymać!..

— Ale w jakiej męce!

— I wróciłeś dla mnie?

— Bratowa napisała mi w jednym z ostatnich listów, że tu jesteś... Nie mogłem dłużej wytrzymać. Chciałem choć cokolwiek usłyszeć o tobie.

Ona uśmiechnęła się łagodnie.

On wziął ją na kolana, tulił jak dziecko i ust swych nie odrywał od jej włosów, twarzy, szyi. Cisnął ją do siebie.

— Teraz już moja... moja...

A ona z przymkniętymi oczyma odpowiedziała mu:

— Amen.

On tracił zmysły.

— Przebacz mi! przebacz!--krzyknął.

Ona wysunęła się z jego objęć, zacisnęła dłonie.

— Ach! Boże, ach! Boże...

— Co tobie, malutka?

Ona przypominała sobie.

— Ja umrę—rzekła rozpaczliwie.

Od przyciągnął ją do siebie.

— Co za głupstwo! Elu... ty moja...

Ona położyła głowę na jego ramieniu.

— Wytrwam! i nie pozwolę sercu memu na nieufność, ani na zwątpienie, ani na rozpacz, ani na omdlenie...

— Co ty mówisz, ukochana?

Ona przypominała sobie:

— Będę silna, aby moc moja odbiła się na nim. Całą potęgę ducha skupię na jednym chceniu, na jednej myśli, na jednym uczuciu...

— Elu!

— Wola moja stanie się tą, która zdobywa światy. Silniejsza będzie nad czas i przestrzeń...

— Co tobie, Elu!

Ona ocknęła się.

— Jesteś. Mam cię.

Objęła jego szyję ramieniem.

— A potem... potem zmęczoną głowę złożę na jego ramieniu i świat przestanie dla mnie istnieć: będę w raju...

— Kochasz mnie? kochasz?—szeptał.

Ona przymknęła oczy.

— Elu, co tobie?

Ramię jej bezwładnie zsunęło się z jego szyi...

Do pana Emila Karskiego
w Warszawie.

„Dobrze, jeżeli Pan chce koniecznie. Niech pan przyjeżdża. Weźmiemy ślub w kościółku cmentarnym, u mogiły Eli. Dziękuję Panu za tę myśl. Dobrze, i niech mnie Pan sobie zabierze—tylko co Panu teraz po mnie? we mnie pustka i nie wiem, czy potrafię odwdziżyć się Panu za to serce, które mi Pan daje.

Ale zgadzam się. Ma Pan rację: życie samotne jest do nieznieśienia

Ot, i po całym harcie duszy, który tak wielbiła moja Ela. Ona-by się tak bardzo z mego małżeństwa cieszyła—twierdzi Pan. Prawda, ona-by się ucieszyła, że nie zostałam sama. Dziękuję Panu. Sprobuję żyć, jeżeli Pan chce tego koniecznie.

Dowidzenia.

Janina."

AL. SUSZCZYŃSKA.

K O N I E C.

EKONOMIA SPOŁECZNA

na wystawie paryskiej.

I.

Przy jednym z bocznych wejść na wszechświatową wystawę paryską, od strony placu de l'Alma, postawiono gmach wielkich rozmiarów, na którym widnieje napis: „Congrès—Économie sociale”. Pierwsze piętro poświęcono na sale dla zbierających się kongresów, parter został zajęty przez wystawę ekonomii społecznej. Pawilon ten znajduje się tuż obok ulicy Paryża (rue de Paris), upstrzonej tem, co Paryżan zdaje się bawić najwięcej: są tu teatrzyki, budy z linoskoczkami i kłownami, liczne i różne kawiarnie, rozbrzmiewa tu stale muzyka, kłowni na estradach, przy dźwiękach krzykliwych instrumentów, ochrypłym głosem zapraszają do środka bud, — ścisk, wrzask i tłum. Zmęczony tym ściskiem widz, chcąc przedostać się na drugą stronę wystawy, gdzie oszłomiony będzie okazami rzeczy zbytku, wstępuje po drodze do pawilonu Ekonomii społecznej, przechodzi niedbale, czemprędzej śpieszy na drugą stronę Sekwany. Bo i czem-że ten tłum, żądny wrażeń, lub, właściwiej, żądny przesytności wrażeń, tu zaintereso-

wać się może? Pawilon Ekonomii społecznej nie przedstawia ani rzeczy zbytku, ani kolosów-motorów, ani dzieł sztuki. Ot, wprost powieszano na drewnianych przegrodach niezliczoną ilość wyliczeń, danych statystycznych, dyagram, zestawień, cyfr,—na stołach porozkładano różne dokumenty, broszury, książki, monografie,—na studyowanie tego wszystkiego, całego tego ogromu, nie ma się ochoty, ani czasu, a cyfry same, bez wejrzenia w ich treść, nic, lub, na pierwszy rzut oka, mało nam mówią.

Tymczasem po drugiej stronie rzeki czeka na żadnego wrażenia turystę wspaniała harmonia barw, światel i linii nowych gmachów i ulic, tętno życia, cały dotykalny przepych tego, co uznano za postęp. W olbrzymich hallach huczą olbrzymy - motory i potwornie wielkie maszyny — symbol widomy nieobrachowanej dziś potęgi, przemysłu. Dalej — piętrzą się stopy, piramidy, góry towarów, poczynając od przedmiotów pierwszej potrzeby, kończąc na wysnionych skarbach biżuteryi, strojów, umeblowania, ornamentyki. To znów są jakby trofea innej wielkiej gałęzi kwitnącego drzewa postępu—handlu. To jest towar w swej najponętniejszej formie, to apoteoza towaru. Dalej jeszcze—spotka olśniony, upojony mnogością wrażeń widz, cuda lokomoty: powozy, statki, balony, ruchome chodniki, windy. Co krok, to jakieś wielkie zwycięstwo społeczeństwa nad żywiołami: wydarto ziemi skarby, ujarzmiono i zamieniono na użyteczną a pokorną siłę rozhułkane potęgi ognia, wody i powietrza, zniesiono odległości, zaoszczędzono w machinach szybkoczymymy wieki całe, całe epoki czasu.

I „*quononascendam?*“—pyta olśniony tłum:—*quononascendam?*—powtarza każdy, z poczuciem godziwej dumy, śpiesząc z ulicy Paryża na to targowisko postępu.

Powtarzamy: cóż dziwnego, że w tem przejściu od zabawy do użycia, od orgii zmysłów do orgii materialnego panowania „postępu“ nad żywiołami, zapomina turysta o owym pałacu Ekonomii społecznej? Cóż dziwnego, że ten skromny i najeżony cyframi parter nie imponuje nikomu i mało komu będzie pamiętnym? Cóż bowiem wielkiego zawierać może taki mały jeden pawilon, a nawet tylko parter pawilonu?

A jednak, w gruncie rzeczy, zawiera ten parter skromną opowieść o najpotężniejszym „motorze“ postępu, o najszlachetniejszym „towarze“ targowiska ludzkiego. Motorem, tu wystawionym, jest sam człowiek - robotnik, towarem jest jego siła robocza — praca.

Pawilon Ekonomii społecznej wziął sobie za zadanie wystawę prób i poczynań ludzkości na polu opieki nad pracą ludzką. Ten naj-

szlachetniejszy „żywiol“ ze wszystkich żywiolów, tworzących postęp ludzkości, odznacza się tem, że jest nierozdzielny od jednostki ludzkiej. Praca ludzka i dusza ludzka nie dały się dotąd odłączyć. Stąd wszystko, co smuci, lub weseli duszę, co boli, raduje, wzmacnia, osłabia duszę, wzmacnia i osłabia potęgę tego żywiolu, wydajność i skuteczność pracy ludzkiej. I oto w epoce, gdy na nieustającej we dnie i w nocy pracy milionów ludzi oparła się pomyślność całej ludzkości, cały „postęp“ ludzki,—w epoce tej powstać musiała nowa gałąź zagadnień społecznych, znana właśnie pod nazwą ekonomii społecznej.

Istotnie, chodzi tu o ekonomię owego najszlachetniejszego żywiolu—pracy ludzkiej. Chodzi o zapewnienie pracownikowi bytu bodaj na starość, wygody—bodaj w chorobie, ratunku—bodaj na wypadek kalectwa. Chodzi o naukę dla dzieci wielkiej armii roboczej, której żołnierze, zbyt zajęci sprawą „postępu“ swej roboty, nie mają czasu zajmować się własnymi dziećmi. Chodzi o assekurację tejże armii od samowoli tak zwanych warunków przemysłu i handlu, od swawoli wolnej konkurencji, od nadmiaru głodu i niedostatku, chodzi wreszcie o uprzystępnienie, o zdemokratyzowanie oświaty, o uszlachetnienie duszy.

Cała ta gałąź ekonomii społecznej powstała, jak widzimy, wraz z wielkim przemysłem. Pracownicy sami, państwa i wreszcie jednostki dobrej woli—razem zrozumieli, jak ważną dla społeczeństw kwestyą jest opieka nad pracą. Stąd właśnie owe skromne początki i próby, które w cyfrach i tablicach wystawia parter pawilonu kongresów.

Nie trudno zrozumieć, że tak postawiona kwestya tego motoru, tego żywiolu, tego towaru, to jest pracy roboczej, zdolna zainteresować każdego.

Przyszłość wzniesie zapewne dla „ekonomii społecznej“ pałace nie mniej pyszne i okazałe od tych, które zdobiją dziś wybrzeża Sekwany na cześć marynarki, wojny lub handlu. Tymczasem zaś wejdźmy do owego skromnego parteru i postarajmy się zdać sobie sprawę z prób i poczynań dzisiejszych.

II.

Wiadomo, że całą wystawę podzielono na osiemnaście działów (groupes), z których każdy składa się z kilku poddziałów (classes). Wszystkich poddziałów razem obejmuje wystawa 121. Dział XVI, to jest dział ekonomii społecznej, obejmuje poddziały od 101 do 112 włącznie, a mianowicie:

101. Opieka nad dziećmi robotników. (Apprentissage. Protection de l'enfance ouvrière).
102. Zapłata za pracę. Udział w zyskach. (Rémunération du travail. Participation aux bénéfices).
103. Wielki i drobny przemysł. Stowarzyszenia współdzielcze. Syndykaty. (Grande et petite industrie. Associations coopératives de production et de crédit. Syndicats professionnels).
104. Większa i mniejsza własność ziemska. Syndykaty rolnicze. Kredyt rolny. (Grande et petite culture. Syndicats agricoles. Crédit agricole).
105. Bezpieczeństwo fabryk i warsztatów. Reglementacja pracy. (Sécurité des ateliers. Réglementation du travail).
106. Mieszkania robotnicze. (Habitations ouvrières).
107. Towarzystwa współdzielczo - spożywcze. (Sociétés coopératives de consommation).
108. Instytucje, mające na celu rozwój umysłowy i etyczny klas robotniczych. (Institutions pour le développement intellectuel et moral des ouvriers).
109. Instytucje przezorności. (Institutions de prévoyance).
110. Inicjatywa publiczna, lub prywatna, mająca na celu dobro obywateli. (Initiative publique ou privée en vue du bien-être des citoyens).
111. Hygiena. (Hygiène).
112. Dobroczynność publiczna. (Assistance publique).

Taki rodzaj kwestyonaryusza, czy programu tego działu, rozesłany został do wszystkich państw. Cały świat został wezwany, by publicznie wykazać, poszczycić się swym dorobkiem w tym względzie. Czy kwestyonaryusz ten odpowiada wszystkim zagadnieniom tej dziedziny? Czy dostatecznie jasno i wyczerpująco jest sformułowany, by z odpowiedzi, cyfr i danych można było następnie wywnioskować o duchu samych instytucji? Czy wreszcie wyczerpuje całą działalność społeczną, wszystkie jej objawy i środki?

Zdaje się, że przedewszystkiem grupując podziały tego zbioru, kierowano się objawami życia społecznego we Francji. Sekcja francuska zajęła połowę pawilonu: na zewnętrznych ścianach podano ogólny rezultat pracy społecznej. Zatytułowano to: inventaire social du siècle. Są tu więc tablice, wykazujące w ogólnych zarysach stan instytucji patronalnych, kas oszczędnościowych, kas przeczności, syndykatów, koszt utrzymania rodziny robotniczej w Paryżu w ciągu ostatniego stulecia, wzrost pracy robotniczej i t. p. Na ścianach zaś wewnętrznych, na stołach, porozwieszano i porozkładano niezliczoną ilość różnych monografi i prac statystycznych, opisów instytucji. To istny labirynt. Może mimo woli właśnie w tym labiryncie objawiła się przewodnia myśl pracy społecznej we Francji: przekładanie nade-wszystko inicjatywy prywatnej, pewien anarchizm roboty, który razem wiąże się w jeden wielki akord pracy.

Francya więc odpowiedziała, i to bardzo licznie, bo wystawiła 3,004 okazy, prócz okazów, zwiezionych z oddalonych kolonii. Jest to summa olbrzymia. Najwięcej i najliczniej reprezentowane są podziały 103, 104 i 109: stowarzyszenia współdzielcze, syndykaty rolne i instytucje przeczności. Co zaś do innych narodowości, to charakterystyczną jest ta okoliczność, że nie na wszystkie pytania wystawy odpowiedziały równomiernie. Niektóre działy nawet zostały pominięte zupełnie. Jest to fakt bardzo znamieny: widocznie w różnych krajach upatrują przyczynę zasadniczą złego w czem innym i rozmaitemi środkami zdążają do naprawy. Tak na przykład w sekcji niemieckiej przedewszystkiem imponują rozwieszzone na ścianach dane statystyczne, odnoszące się do sprawy assekuracji robotniczej. Śnać sprawa ta wybitne miejsce zajmuje w życiu społecznym Niemiec. Rzecz ta opracowana została z widocznem we wszystkich szczegółach zamilowaniem, może nawet z pewną chełpliwością narodową. Pośrodku ustawiono pomnik pozłacany, złożony z trzech cokołów: na górnym oznaczono summę składek Państwa; na środkowym — pieniądze, złożone przez pracodawców; na podstawie wyryto ilość składek robotników. Na jednej z bocznych ścian sekcji powieszono mapę Cesarstwa niemieckie-

go z oznaczeniem miejscowości, posiadających zorganizowane sanatoria dla robotników. Sanatoriów takich wykazano 109 (64 rządowych i 45 prywatnych), posiadających łącznie 7,208 łózek. Z mapy tej widać, że Poznań posiada tylko jedno sanatorium, Śląsk dwa, Królewiec jedno, — przytem, niestety, tylko rządowe. Tyle w sekcji niemieckiej: zajęcie się głównie, jedynie prawie zabezpieczeniem materialnym życia i bytu robotników jest tam głównym motorem pracy społecznej.

Obok znajdujemy sekcję szwajcarską. Szwajcarya znów wystąpiła z wystawą nie już opieki nad życiem robotników, ale wogóle z obroną życia ludzkiego. Przeważają tu głównie dwie sprawy: konwencya genewska czerwonego krzyża i Towarzystwo niebieskiego krzyża. W pierwszym dziale widzimy poglądowo wyłożone niebezpieczeństwa wojen dzisiejszych, w drugim — szkodliwość używania spirytualii i cały szereg odnośnych broszurek. Skromnie w tejże sekcji powieszono w jednym kącie mapę Europy, przedstawiającą miejscowości, gdzie się znajdują komitety opieki nad dziewczętami, podróżującymi po świecie za chlebem. Wiadomo, że główny zarząd tej unii znajduje się w Neufchâtelu. Na pochwałę Szwajcaryi dodać należy, że na wstępie do tej sekcji położono bardzo pięknie wykończoną książkę, zatytułowaną: „Inventaire des institutions économiques et sociales de la Suisse à la fin du XIX siècle”. Jest to bilans społeczny Szwajcaryi. Szkoda, że i inne państwa ¹⁾ nie odpowiedziały również na wezwanie Francji publikacjami wyczerpującemi i ujmującemi całość pracy społecznej.

Na sprawę wychowania młodego pokolenia, dzieci robotników, głównie położono nacisk w sekcji szwedzkiej i angielskiej. W pierwszej widzimy dane, odnoszące się do slöjdu, w drugiej — fotografie różnych instytucji i szkół dla młodocianego wieku. Należy jednak zaznaczyć pewną dziwną i w tym wypadku niewytłómaczoną skromność, czy abstynencyę Anglii. Sekcya ta ograniczyła się prawie wyłącznie tylko wykazaniem stanu ubóstwa swych klas pracujących; wystawiono tu ogromnych rozmiarów mapę Londynu, z oznaczeniem miejsc, gdzie gnieździ się nędza. Jest to praca p. Ch. Booth'a, autora słynnego dzieła: „Life and labour of people”, poprzestano jednym słowem na wykazaniu bolączek społecznych, nie kusząc się, lub bardzo niewiele przynajmniej — o wykazanie używanych leków. A szkoda to wielka, bo Anglia posiada, dzięki rozumnej a energicznej inicjatywie

¹⁾ Prócz Niemiec, które taką książkę, pod tytułem: „Oeuvres du salut social en Allemagne”, umieściły w pawilonie ogólnym niemieckim.

swych obywateli, instytucje bardzo charakterystyczne i bardzo dodatnie, jak choćby na przykład mało znane osady uniwersyteckie (university settlements), w których studenci starają się zbliżyć i zaprzyjaźnić z ubogą i robotniczą ludnością, i tym sposobem podnosić ich stan intelektualny i moralny ¹⁾). Wystawiono tu również tablice, wykazujące w cyfrach walkę z nędzą w Anglii na tle zarządzeń gminnych. Cyfry te imponują, ale brak informacji o odpowiednim prawodawstwie sprawia, że na ogół nie uczą nikogo.

Również pewną powściągliwością odznaczają się w tym wypadku Stany Zjednoczone. Wykazały one wprawdzie wzrost swoich Trade's Unionów. Jest to może najciekawsza z wystawionych rzeczy w tym dziale. Zresztą wykazano tylko wzrost onych (w roku 1894 członków 160,000, a w 1900 roku—175,000), mało się i tu troszcząc o przedstawienie ich działalności. Natomiast wykazano w graficznej tablicy stosunek wzajemny wartości produkcji Stanów Zjednoczonych ²⁾, zapominając widocznie, że to się do sprawy tej nie odnosi. Kuszono się widocznie o zwrócenie uwagi szczególnej na sprawę mieszkań robotniczych, gdyż przedstawiono znacznych rozmiarów model przeistoczenia tak zwanych „koszar“ robotniczych na poszczególne domy prywatne, ale ograniczono się bardzo małą i nie wystarczającą ilością informacji. Zapewne i tu, jak w Anglii, państwo, jako takie, nie wielką ilością instytucji może się poszczycić, inicjatywa zaś prywatna, która, jak wiadomo, w Stanach Zjednoczonych wybitnie zajmuje stanowisko ³⁾, zaniechała stanięcia do konkursu. Woli pracę, niż chlubę.

W sekcji rosyjskiej panuje głównie i przeważnie sprawa działalności kuratorów trzeźwości. Widzimy tu urządzenie herbaciarni i różne informacje w tym względzie.

¹⁾ Osad uniwersyteckich nie należy utożsamiać z uniwersytetem ludowym (University Extension). O osadach tych zamieściła „Biblioteka Warszawska“ sprawozdanie w zeszycie kwietniowym 1897 roku.

²⁾ Z wykazu tego widać, że wartość produkcji różnych gałęzi przemysłu w Stanach Zjednoczonych wyraża się w procentach:

rolnictwo	28%
manufaktura	52%
kommunikacja	12%
górnictwo	8%

³⁾ Mamy na myśli liczne Towarzystwa budowy taniach domów robotniczych.

Wspomnieliśmy wyżej, mówiąc o Ameryce, o mieszkaniach robotniczych. Rzecz ta, nader ważna, została, na wystawie przynajmniej, najwięcej uwzględnioną przez Hollandyę i Belgię. W dziale hollenderskim przedstawiono model „czworaków“ robotniczych, to jest czterech mieszkań, złączonych razem w jednym budynku. Każde mieszkanie z oddzielnem wejściem i podwórzem z innej strony domu. Koszt takiego domu na cztery rodziny obliczono na 6,360 flor. hol., to jest 1,360 flor. za 400 metrów kwadratowych placu i 5,000 flor. za budowę. Koszt więc każdego mieszkania wynosi 1,590 flor., wynajem zaś tygodniowy obliczono na 4 fr. 20 cent. Jest to model najpiękniejszy z całego działu wystawy i zwracający powszechną uwagę. Również zwraca uwagę model domu wspólnego dla całej osady robotniczej, posiadający salę gimnastyczną, bibliotekę, szkołę, salę zabaw i t. p. Belgia również wystąpiła z wykazaniem stanu tej ważnej sprawy z tą tylko różnicą, że ograniczyła się sprawozdaniem, bardzo zresztą szczegółowem, ze stanu finansowego różnych swoich Towarzystw budowy tanich mieszkań dla robotników.

Ale obydwie te kraje łączy nie tylko kwestya budowy mieszkań: wiążą je również dwie inne sprawy, wchodzące w zakres działalności społecznej: towarzystwa współdzielcze i oszczędność. Danych cyfrowych, sprawozdań, informacyi w tym przedmiocie znaleźć tu można bez liku. Widocznie dwa te kraje najlepiej zrozumiały doniosłość ekonomicznej samopomocy.

Węgry, które wogóle na całej wystawie przedewszystkiem bogactwem, lub właściwiej, krzykliwością dekoracyi chcą zwrócić na siebie uwagę — i w tym dziale biją w oczy udekorowaniem, trzymanem w modernistyczno - secesyonistycznym stylu, wzbudzającym niesmak przy ogólnej powadze i skromności działu. Żebyż chociaż wewnątrz tej sekcyi były okazy ciekawe! Znajdujemy tam wielką szafę szklaną ze złotym napisem, mówiącym, że stosownie do rozporządzenia ministerjum, fabryki obowiązane są mieć różne środki opatrunkowe i lekarstwa, niezbędne w razie wypadku. Za szkłem wystawiono trochę sublimatu, karbolu, waty hygroskopijnej itp. Doprawdy, że nie warto było-by do Paryża jeździć, by się dowiedzieć o tem wielkiem dobrodziejstwie węgierskiego ministerjum, ani, by przyglądać się sublimatowi, lub wacie węgierskiej. Również, nie wiadomo dla czego, wystawiono tam za szkłem: trochę chleba, mięsa, kartofli, wódki i t. p. Gdyby rzecz była przedstawiona poważnie, to jest gdyby wykazano, dajmy na to, ilość spożywanego mięsa, chleba i t. p. w ciągu dnia przez jednego robotnika, to-byśmy mieli pojęcie o odżywianiu się przeciętnem robotnika węgierskiego; tak zaś wiemy tylko, jak wygląda naprzykład węgierska rzepa i ce-

bula. To, szczerze mówiąc, za mało. Za to hojnie ściany przyozdobiono obrazami, przedstawiającymi pracujących robotników, różne fabryki, — a wszystkie te malowidła, bardzo niewielkiej wartości, są aż do zbytku szablonowe.

Kto wie, czy nie lekkomyślniej jeszcze wystąpiła sąsiadująca z Węgrami sekcyja portugalska. Porozwieszano na ścianach kilka wizerunków fabryk, a gdy spojrzysz na środek salki, rzekł-byś, jesteś w aptece: same butelki z wodami mineralnemi, medykamenty i różne przetwory chemiczne. Zapewne, nie mając co wystawiać, uczepiono się klasy 111 działu, mówiącej o higienie, zapominając, że chodzi tu o higienę klas roboczych. Najwięcej miejsca, cały stół jeden, zajmują butelki wody mineralnej, widocznie bardzo lubianej przez Portugalczyków. Woda ta nazywa się „Moura“, a napis pod nią brzmi, że jest ona „très efficace pour la guérison de la lithiase et des maladies du foie, de l'estomac... ces eaux adoucissent rapidement les coliques néphrétiques“. A może woda ta używana jest w Portugalii dla łagodzenia wątrobianych bólów, wynikłych w czasie zatargów z robotnikami i strejków? Szkoda tylko, że nie zaznaczono, czy używaną jest przez pracodawców, czy przez robotników. Les Portugais sont toujours gais.

Tak się przedstawia na pierwszy rzut oka parter pawilonu kongresów. Widać tu, że dział XVI nie zdobył sobie jeszcze w zupełności tak powszechnego uznania i staranności wystawców, jak inne działy wystawy. Widać również, że działalność ludzka na polu ekonomii społecznej nie jest jeszcze na wysokości olbrzymiego zadania, które przypadło jej w udziale. Nie jest to jeszcze wielka wojna, wydana i prowadzona przeciw nędzy przez całą ludzkość, lecz raczej partyzantka. Ale partyzantka ta ogarnia coraz więcej sfer, coraz więcej sił, coraz więcej poczynań i środków. Prowadzi ją na plac boju, na plac walki społecznej dobra wola jednostek, lub strategia dalej patrzących w przyszłość. Przyjrzyjmy się z kolei dwóm terenom tej walki: w Niemczech, gdzie przewodzi inicjatywa państwa i wyrachowanie polityczne, i we Francyi, gdzie działa raczej humanitaryzm i inicjatywa samego społeczeństwa.

III.

Imponujące robi wrażenie w sekcji niemieckiej działu ekonomii społecznej obelisk, przedstawiający rezultaty obowiązujących praw assekuracji klas zarobkujących. Obelisk ten ma poglądowo wyobrazić potęgę tej instytucji; składa się z trzech nierównomiernych kawałów, stosownie do trzech różnych źródeł, skąd zaczerpnięte kapitały. Szczyt obelisku, najmniejszy, wyobraża składki państwa, które wyniosły od czasu powstania praw assekuracyjnych do dnia 1 stycznia 1900 roku 150 milionów marek; środkowa część obelisku, znacznie większa, przedstawia 1,099 milionów marek, czyli składki chlebobawców; podstawa zaś, największa, uwidoczniła składki zarobkujących, które w ogólnej summie do tegoż czasu wyniosły 1,164 miliony marek. Cały obelisk, wysokości 14.9 metrów, o podstawie 7.4 m. kw., pokryto złotą farbą; ma on przedstawiać ilość zebranego złota, to jest 2 miliardy 413 milionów, czyli 961,006 kilogramów złota.

Trzy piętra obelisku są jakby symbolem roli, jaka przypadła w Niemczech w udziale trzem siłom społecznym. Oto, podczas gdy właściwą podwaliną instytucji są warstwy robocze, szczyt jej zajmuje państwo. Znaczy to, że państwo pochwyliło niejako w swe ręce samopomoc społeczeństwa, i kieruje nią nie bez wielkiego dla swych interesów pożytku. Łatwo tu bowiem dopatrzeć, prócz owego pragnienia postępu, wyraźnych cech idei pangermanizmu państwowego, potrzeby stworzenia jak najściślejszych łączników związku wszechniemieckiego, otoczenia cesarskości pewną aureolą, pociągnięcia i przywiązania do siebie licznej klasy robotników. Cecha ta zresztą przebiega bardzo wyraźnie i wcale nie jest ukrytą w znanej mowie cesarza Wilhelma I z dnia 17 listopada 1881 roku, którą uważają w Niemczech jako podstawową w tej sprawie. Jest to niejako Magna Charta całego prawodawstwa. „... Wypowiedzieliśmy się już, — brzmiała mowa cesarska, — że uzdrowienie niedomagań społecznych leży nie tylko w repressyi krańcowych wybryków (Ausschreitungen) demokracji socyalnej, ale równocześnie w szukaniu urzeczywistnienia pozytywnych żądań dobra klas robotniczych. Uważamy sobie za nasz obowiązek cesarski polecić znowu tę sprawę sejmowi, i z tem większem zadowoleniem patrzeć będziemy na sukcesy, któremi Bóg widocznie

pobłogosławił nasze panowanie, gdy uda nam się pozostawić ojczyźnie nową i trwałą podstawę pokoju wewnętrznego, a potrzebującym pomocy większe zapewnienie opieki, do której mają prawo¹⁾. Była to parafraza słów, wypowiedzianych przez ks. Bismarcka o kilka miesięcy wcześniej¹⁾, dużo przejrzystszych: „nie tylko obowiązkiem humanitarnym i chrześcijańskim (skąd taki podział?), który cechować powinien państwowe instytucje, jest, by państwo interesowało się więcej, niż dotychczas, losem potrzebujących pomocy (hülfsbedürftigen), ale jest zadaniem polityki, która za cel mieć winna czuwanie nad rozpowszechnieniem przekonania nawet pomiędzy klasą najuboższą, która równocześnie jest najliczniejszą i najciemniejszą, że państwo jest instytucją nie tylko konieczną, ale i dobroczynną⁴⁾”.

Jakkolwiekby, jednak Niemcy dają wielce nauczający obraz ruchu społecznego w całej jego komplikacji, oraz roli państwa w całej jego potędze. Mało względnie rozwinięty przemysł przez długi czas nie wytwarzał potrzeby nowego prawodawstwa. Istniały tylko niektóre rozporządzenia cechowe, obowiązujące majstra do opieki nad rzemieślnikiem w czasie choroby, podobne przepisy, dotyczące subiektów handlowych²⁾, przepisy o opiece nad marynarzami³⁾, prawa, dotyczące leczenia towarzystw dobroczynnych⁴⁾; nadto niektóre południowe państwa niemieckie wydały rozporządzenia, odnoszące się do obowiązków gminy leczenia swoich chorych. Zdaje się, że ten poczet już wyczerpuje całe byłe prawodawstwo niemieckie opieki nad robotnikami w czasie choroby. Nie lepiej rzecz się miała ze sprawą assekuracji od nieszczęśliwych wypadków. Ogólnie rządono się w tym względzie zasadami prawa rzymskiego, mianowicie zasadami *legis Aquiliae*, według których każdy był obowiązany do restytucji, lub odszkodowania, wprost i bezpośrednio uczynionej straty, lub krzywdy. Prawie wszystkie prowincjonalne prawodawstwa miały za podstawę te zasady prawa rzymskiego⁵⁾, które, naturalnie, przy nowym ustroju społecznym, wystarczającymi już być nie mogły. Najwięcej jeszcze, stosunkowo, odpowiadały potrzebom chwili prawodawstwa prowincji Nadreńskich i ks. Badeńskiego, które, jak wiadomo,

1) Dnia 8 marca 1881 roku.

2) Paragraf 60 prawa handlowego.

3) Prawo z dnia 27 grudnia 1872 roku.

4) Prawo z dnia 6 czerwca 1870 roku.

5) A mianowicie: prawo pruskie, cz. I, ks. VI, § 88—110 i § 111—129.

Prawo saskie § 1,483. Codex Maximilianus bavaricus z roku 1757, cz. IV, ks. 16, § 1,384.

wzorowały się na przepisach kodeksu cywilnego Napoleona. Według tego kodeksu ¹⁾ jest się odpowiedzialnym „nie tylko za szkodę, zrządzoną przez własny czyn, ale też i za tę jeszcze, jaka jest zrządzoną przez czyn osób, za które odpowiadać należy, albo przez rzeczy, miane pod swoim dozorem“. Ta różnorodność prawodawstwa niemieckiego najwcześniej zwróciła uwagę ogólną i najwięcej domagała się ujednostajnienia. Prawo z dnia 7 czerwca 1871 roku postanowiło, że pracodawca jest odpowiedzialnym w zasadzie za wypadki, i do odszkodowania obowiązany w razie, jeżeli robotnik poszkodowany zdoła dowieść winy pracodawcy, lub jego zastępcy. Lecz było to tylko prawo przejściowe, niewystarczające, i z natury rzeczy wywołało nieskończoną ilość procesów.

Choć niedokładne i różnorodne, prawodawstwo niemieckie długo się utrzymało. Ale z czasem warunki się zmieniły. Para i elektryczność wytworzyły na całym świecie nowe warunki produkcji, nowe formy życia społecznego. Zaczęto produkować nie stosownie do żądań i zapotrzebowań, lecz stosownie do energii potencjonalnej fabryk. Nie produkcja była wynikiem konsumpcji, lecz odwrotnie, konsumpcja warunkować się zaczęła produkcją, od niej stała się zależną, stała się jej rezultatem. Stąd powstał liczny zastęp klas robotniczych, stąd powstała koncentracja pracy, stąd wielki przemysł zaczął wypierać coraz bardziej pewne gałęzie drobnego przemysłu, a wszystko to działać zaczęło na coraz większy wzrost złych warunków higieny życia robotników, na zastraszający rozwój ilości wypadków, przedwczesnej starości i, częstokroć, na wytworzenie położenia, z którego jedynym wyjściem było oddanie się dobroczynności publicznej.

Dzieło zaś zabezpieczenia ekonomicznego bytu klas zarobkujących od nieszczęśliwych wypadków, w Niemczech, było, jak wykazaaliśmy, prawie nietknięte. Okoliczności i warunki zewnętrzne wymagały zwrócenia pilnej na sprawę tę uwagi i uregulowania kwestyi. To też zakrząknięto się energicznie, stwarzając nowe prawodawstwo.

Całe nowe prawodawstwo niemieckie w tej mierze podzielić można na trzy zasadnicze działy: prawo assekuracji na wypadek choroby (Krankenversicherungsgesetz) z dnia 15 czerwca 1883 roku, prawo assekuracji od nieszczęśliwych wypadków (Unfallversicherungsgesetz) z dnia 6 lipca 1884 roku i, nakoniec, prawo assekuracji od starości i niezdolności do pracy (Invaliditäts und Altersversicherung)

¹⁾ Ks. III, tyt. IV, § 1,384.

²⁾ Zmodyfikowane dnia 10 kwietnia 1892 roku.

z dnia 22 czerwca 1889 roku ¹⁾. Prócz wyżej wymienionych praw zasadniczych, wydano, stosując się do potrzeby, kilka praw dodatkowych, które rozszerzają zasadnicze podstawy.

Jak to z samej nomenklatury już jest widocznem, każde z trzech praw ma przedmiot i cel odmienny. To też i środki, któremi do celu tego dążą, choć w ogólnych zarysach pokrewne, różnią się znacznie. Dlatego też, chcąc sobie zdać jasno sprawę z doniosłości tego prawodawstwa, należy rozpatrzyć każde z tych praw poszczególnie, tem bardziej, że każde z nich już samo przez się jest potężną instytucją.

Bo czyż nie jest, rzeczywiście, instytucją wielką i podziwu godną organizacja zabezpieczenia zarobkujących na wypadek choroby, skoro w roku 1898 było ubezpieczonych przeszło dziewięć milionów (dokładnie 9,229,966) osób? Użyliśmy umyślnie wyrazów: „zarobkujących“, a nie: robotników, gdyż prawo wymaga zabezpieczenia wszystkich tych, którzy pracują bądź u osób prywatnych, bądź w instytucjach publicznych, i zarabiają rocznie nie wyżej nad 2,000 marek ²⁾.

Podstawą organizacji tego zabezpieczenia jest zasada, że się tak wyrazimy, lokalności. Zasadniczo biorąc, jednostką nie jest ogólny całokształt wszystkich ubezpieczonych, ale miejscowe kasy, bądź to utworzone a d h o c kasy lokalne (Ortskrankenkassen), bądź też kasy fabryczne (Betriebs-Fabrik-Kassen) i kasy związku pokrewnych gałęzi przemysłu. Zauważono, i słusznie, że tego rodzaju decentralizacja będzie główną, jeżeli nie jedyną rękojmnią przeciw możliwym nadużyciom i udawaniom choroby.

Zabezpieczenie się takie ma na celu pomoc lekarską i pieniężną w razie choroby ubezpieczonego. Pomoc lekarska zasadza się na doglądaniu chorego w domu przez lekarza, wysyłaniu go, w razie potrzeby, do sanatoryów, udzielaniu lekarstw, lub środków pomocniczych; pomoc zaś pieniężna wynosi połowę płacy zarobkowej w razie niemożności zarobkowania. W razie śmierci kasa ponosi koszt pogrzebu.

Składka assekuracyjna jest względnie niewielka: wynosi ona od 1 do $1\frac{1}{3}\%$ wysokości płacy zarobkowej dziennie w kasach gminnych, w innych zaś od 2 do 3%. Zaznaczyć przytem należy, że $\frac{2}{3}$ z summy powyższej uiszczają robotnicy, a $\frac{1}{3}$ pracodawcy.

Tak, w ogólnych zarysach, przedstawia się strona organizacji prawodawczej assekuracji na wypadek choroby. Jakie były rezultaty? O tem mówią cyfry, które nam zarazem wyjaśnią i pewne roz-

1) Zmodyfikowane dnia 13 czerwca 1898 roku.

2) Prawa z dnia 28 maja 1885 roku, 5 maja 1886 roku, 11 czerwca 1887 roku, 13 czerwca 1887 roku.

ciągnięcie samego prawodawstwa. W roku 1885 przeciętnie było ubezpieczonych na wypadek choroby 4,294,173 osoby, w roku zaś 1897 prawie dwa razy więcej: 8,337,119. Wzrost ten tłumaczy się głównie tem, że pociągnięto do przymusowej assekuracji pracujących przy ekspedycjach, w biurach przewozowych, robotników wiejskich i t. d. Charakterystyczną jest cyfra wypadków choroby: wynosiła ona w 1897 roku 2,964,937, największy kontyngens chorych składał się z robotników, parobków, posłańców i t. p. Czas chorowania był różny. Jedną z kas (kasa miasta Frankfurtu nad Menem) obliczyła, że w roku 1864 przeciętnie największa ilość dni choroby wynosiła pośród drukarzy (38.1 dni) i mularzy (38.2 dni), szwaczki i krawcy chorowali po 35 dni rocznie, wyszywaczki po 34.5, doróżkarze po 34.4 dni, robotnicy fabryczni 31, kelnerzy po 27.6, robotnicy wiejscy 26.6 dni i t. d. Zauważono przytem, że kobiety znacznie więcej podległy są chorobom, niż mężczyźni, i tak naprzykład: na krawców wypadło przeciętnie po 28.7 dni rocznie, na szwaczki zaś nieskończenie więcej, bo po 48.5.

Bardzo ciekawe są dane, dotyczące przebiegu finansowego instytucji za dziesięciolecie 1885—1895. Przeciętnie składki assekuracyjne za czas ten wynosiły rocznie na jednego ubezpieczonego ze strony pracodawcy 3.96 marek, ze strony zarobkującego 10.19 marek. Z tej summy wydatkowano 12.61 marek na wypłaty zabezpieczonym, 0.85 marek na administrację, reszta przeszła do rachunku kapitału rezerwowego.

A jak się przedstawiają ogólne summy wpływów i rozchodów? W roku 1897 wpływy wynosiły 135,486,710 marek. Z summy tej wydatkowano na potrzeby chorych 120 milionów (na tak zwany Krankengeld 50 milionów, lekarzom 20 milionów i t. p.). Summa 135 milionów, zebrana w roku 1897, składała się z 95 milionów zebranych od zarobkujących i 40 milionów (w cyfrach okrągłych), pochodzących od pracodawców; stąd wniosek prosty, że wypłacono zarobkującym więcej, niż sami złożyli, czyli, że instytucja ta jest najtańszą instytucją assekuracyjną i najlepszą dla zarobkujących.

Czy to samo można powiedzieć o drugiej instytucji, o assekuracji od nieszczęśliwych wypadków? Czy i ona jest dobrodziejstwem? I tu po bliższem rozpatrzeniu, będziemy musieli dać potwierdzającą odpowiedź. Z góry zresztą zastrzegamy się, że, używając wyrazu „dobrodziejstwo“, nie przesadzamy bynajmniej, kto tu właściwie jest „dobrodziejem“. Instytucje bowiem, jak widzimy, opierają się przede wszystkim na funduszach samych-że pracowników.

Naprzód słów kilka o samej organizacji tej instytucji, potem przejdziemy do wyświetlenia jej skutków. Wspomnieliśmy wyżej, że

kamieniem węgielnym ubezpieczeń niemieckich od wypadków jest prawo z dnia 6 lipca 1884 roku. Prawo to obowiązuje do zabezpieczania zarobkujących, których zarobek roczny nie przenosi 2,000 marek. Zasadniczo więc pociągnięto do obowiązku tę samą klasę ekonomiczną. W technice jednak zachodzą między dwoma temi instytucjami poważne różnice. Przedewszystkiem, jednostką związkową w assekuracji na wypadek choroby jest gmina, inne jednostki, jak kasy fabryczne, lub zawodowe, są tylko dozwolone, lecz nie są zasadniczymi, tu zaś za zasadę jednostki przyjęto kasy zawodowe (Berufsgenossenschaften), funkcjonujące na podstawie wzajemności pracodawców. Dalej, zauważyć należy, że całą wysokość składki assekuracyjnej w tej sprawie ponosi pracodawca. Motywem tego rozporządzenia prawodawcy była ta okoliczność, że według dawnych praw pracodawca obowiązany był do wynagrodzenia szkód, których przyczyną mogło być jego przedsiębiorstwo; nowe więc prawo w zasadzie zrzucalo tylko odpowiedzialność pracodawcy, żądając w zamian zabezpieczenia zarobkujących. Podług nowego prawa każdy ubezpieczony ma prawo do odszkodowania: w razie zupełnej niezdolności do pracy zarobkujący (lub jego sukcesorowie aż do dojścia do pełnoletności) otrzymuje dożywocie, wynoszące $\frac{2}{3}$ rocznej płacy, częściowe zniszczenie zdolności do pracy pociąga za sobą odpowiednie odszkodowanie.

Pomijamy szczegóły prawodawstwa. Podaliśmy jego główne, zasadnicze i wytyczne punkty. Kilka słów, z kolei, o działalności i skutkach jego.

18 milionów osób w 1898 było zaassekurowanych, czyli trzecia część całej ludności niemieckiej. Naturalnie nie składa się ta cyfra wyłącznie z robotników, boć ich Niemcy tyle nie mają; w tej liczbie znajduje się $4\frac{1}{2}$ miliona mniejszych właścicieli ziemskich, drobni przedsiębiorcy itp.

Organizacja rządowa tej instytucji, i naturalnie przez to samo technąca niemiecką pełanterią, daje nam wiele szczegółów bardzo ciekawych i bardzo naucejących, które dotyczą statystyki wypadków. Tak, ze sprawozdań dowiadujemy się, że w r. 1898 naliczono 486,645 wypadków, które dały usprawiedliwiony regres do zarządu ubezpieczeniowego. Zaznaczyć przytem należy, że ilość wypadków nieszczęśliwych rośnie bardzo znacznie: w zakładach przemysłowych niemieckich w r. 1886 na 1,000 ubezpieczonych zdarzyło się 25.86 wypadków, w r. 1895 znacznie więcej, bo 37.90, a w r. 1897 już 42.89. Toż samo zwiększenie, nawet daleko szybsze, widzimy w zajęciach wiejskich: na 1,000 ubezpieczonych w 1888 naliczono 0.97 wypadków, w 1895—6.96,

a w 1898 prawie 10 razy więcej, niż w 1888, bo 9.34. Wniknąwszy jednak głębiej w dane odnośne, przekonamy się, że liczba większych, niebezpiecznych dla życia, wypadków, maleje, dziękiudoskonalonym maszynom i przepisom higieny, zwiększa się tylko liczba nieznacznych wypadków (stłuczeń itp.). Zresztą i w liczbie wypadków ciężkich największy kontygens (29.71%) stanowią te, które uniemożliwiają tylko w $\frac{1}{4}$ możliwość zarobkową. Nie przypuszczamy zaś, ażeby instytucje przy ocenianiu wypadków działały stronnie dla świadomego zmniejszenia ich znaczenia. Taka „oszczędność“ była-by wprost karygodną. Śmiercią kończy się 8.92%. Największa ilość wypadków w przedsiębiorstwach przemysłowych zdarza się w obsłudze motorów, przy ustawianiu rusztowań itp. Wogóle najczęściej zdarza się wypadków pośród przewoźników (16.97 na 1,000 przewoźników), piwowarów (11.31), najmniej w przemyśle tkackim (3.41), gazowym (5.14), tytoniowym (0.42). Najczęstsze wypadki, co do czasu, wykazuje wrzesień, podczas dziennej roboty między 9 a 12 i 3 a 6 po poł. Przytem najczęściej zdarzają się wypadki w poniedziałki, prawdopodobnie w znacznej mierze z powodu nieregularnego biegu fabryki przy puszczeniu maszyn.

Co kosztuje pomoc dana w tych wypadkach, których liczba prawie pół miliona dochodzi? W r. 1898 wypłacono ubezpieczonym poszkodowanym 71.1 milionów marek. Ile tym sposobem otarto łez, ile osób wyrwano z nędzy, ilu ludziom uratowano zdrowie i życie, ile za to poratowano wdów i sierot! Przyjrzyjmy się główniejszym cyfrom; one mówią za siebie. Wypłacono rent dożywotnich 51 milionów marek, rent wdowom $5\frac{1}{2}$ mil., rent sierotom 7 mil., zapłacono szpitalom za kurację 3 mil. itd. Są to cyfry wprost imponujące. Przeciętnie przy 1 wypadku płacono 146 marek.

Przejdźmy teraz do ostatniej kreacyi prawodawstwa niemieckiego w tej dziedzinie: do assekuracyi od starości i niezdolności do pracy (Invalidenversicherung). Prawo, ostatecznie ugruntowane dnia 13 czerwca 1899 r., jest niejako dopełnieniem dwóch poprzednich. Pragnie zabezpieczyć tych wszystkich, do których-by się nie mogły stosować dwa poprzednie, a którzy z jakiegokolwiek bądź powodu lub z przyczyny podeszłego wieku byli w obliczu prawa niezdolni do pracy. W zasadzie również zobowiązano do ubezpieczenia wszystkich zarabiających rocznie mniej niż 2,000 marek. Ponieważ jednak pracodawca prawnie nie był poprzednio zobowiązany do płacenia renty w takich razach (w razie niezdolności do pracy z powodu starości), postanowiono, że składka ubezpieczeniowa będzie płaconą

w połowie przez zarobkującego i w połowie przez pracodawcę. W tej instytucji jednak uczyniono ważny wyjątek: państwo niemieckie, wychodząc z założenia państwowego socjalizmu, usunęło wprawdzie na bok przychodzenie z pomocą pieniężną zarobkującym w razach wypadków losowych, gdyż te często być mogły spowodowane przez winę osób prywatnych, niechże więc one za nie odpowiadają. Za wiek podeszły, za winę utrudnionej pracy w tym wieku nikt nie odpowiada: pociągnięto więc do składki samego zarobkującego, dalej, pracodawcę, gdyż w zasadzie zarobkujący na niego pracował, i nakoniec— Państwo.

Prawo wymaga, by państwo do składek ubezpieczeniowych rocznie na korzyść każdego ubezpieczonego dopłacało 50 marek. Jaką jest wysokość składek osób zabezpieczonych? Podzielono zarobkujących na 5 klas: w I są ci, których zarobek nie przenosi rocznie 350 marek, ci płacą tygodniowo 14 pf.; II, klasa z zarobkiem od 350 do 550 marek, płaci tygodniowo 20 pf.; III, zarabiająca do 850 marek, składa tygodniowo po 24 pf.; IV-ta — do 1,150 marek, płaci 20 pf., i nareszcie V klasa, zarabiająca od 1,150 do 1,200 marek, płaci tygodniowo 36 pf.

Wyplacanie premii assekuracyjnych dzieli prawo na dwie kategorie: na wypadek niezdolności do pracy i z powodu starości (prawnie za takich są uważani wszyscy, którzy mają 70 lat życia) i na wypadek niezdolności do pracy z innych jakichkolwiek przyczyn (nieprzewidzianych w assekuracji od wypadków).

W pierwszym razie ubezpieczony ma prawo do t. zw. Altersrente. Wynosi ona przedewszystkiem 50 marek rocznie (od Państwa), dalej z kapitału rezerwowego, jak obecnie, 40 pf., i z dopłaty dla odpowiednich klas: 60 marek, 90 marek, 120 marek, 150 marek i 180 marek.

W drugim wypadku wypłacalną jest t. zw. Invalidenrente, wynosząca dla odpowiednich klas 60, 70, 80, 90 i 100 marek. Prócz tego dodaje się 50 marek państwowych,—dopłatę, ustosunkowaną do ilości tygodni płatniczych.

Jak działa ta instytucja? I tu przedstawię nam to cyfry. W r. 1898 było zaassekurowanych osób 12,659,600, które wraz z pracodawcami złożyły w tymże roku 163,564,000 marek; Państwo ze swej strony dodało 24,401,000 marek. Za to wypłacono rent ogółem 512,000 osób.

Wszystkie wyżej naszkicowane prawa tworzą pewną organiczną całość, pewnego rodzaju specjalne prawodawstwo. A ma ono rozmiary prawdziwie olbrzymie, skoro od czasu istnienia wypłacono za assekurację pierwszej kategorii 1,494,000,000 marek, w drugiej kategorii 517,500,000 marek, w trzeciej 402,300,000 marek, czyli razem do końca 1899 2½ miliarda! Przytem nie należy zapominać, że ubezpieczonym wypłacono około $\frac{3}{4}$ miliarda więcej, niż przez nich wniesionem zostało. Sama ta okoliczność przemawia za tą organizacją.

Czy i wpływ i znaczenie tych instytucji odpowiada tym kolosalnym cyfrom? Bezwątpienia. Cyfry te nie potrzebują komentarzy. Być tam mogą, i są zapewne, jak zresztą w każdej instytucji rąk ludzkich, pewne niedokładności, lecz, bądź co bądź, instytucja ta godna uwagi, a to tem bardziej, że w ten sposób nigdzie dotąd nie znalazła zastosowania. Istnieją wprawdzie w innych Państwach assekuracje robotników, lecz z wyjątkiem Austrii i Włoch — i to tylko w sprawie ubezpieczeń od wypadków,—assekuracja powierzona jest dobrej woli robotników i pracodawców i skutecznia się w instytucjach prywatnych lub akcyjnych, mających z natury rzeczy więcej na względzie wysokość dywidendy, niż dogodność ubezpieczonych.

Zastrzedz się tu muszę — i to bardzo wyraźnie. Uznanie, na jakie organizacja ubezpieczeń niemieckich zasługuje, bynajmniej nie prowadzi do wniosku uznawania *par excellence* reform społecznych, czynionych przez państwo, nie prowadzi jeszcze do przyjęcia „etatyizmu.“ Zawsze przyznawać należy wszechpotężną siłę inicjatywie indywidualnej, szczególnie tam, gdzie instytucję duchem ożywić trzeba. Ingerencya państwowa do spraw społecznych o tyle jest dobrą, o ile inicjatywa indywidualna w danej materji była-by zbyt słabą, lub wprost pozbawioną możności wykonania. A o ile właśnie ten indywidualizm jest skutecznym, często nawet jedynym zbawiennym, przekonać się możemy z rozejrzenia się w instytucjach społecznych Francji, od tak dawna hołdującej właśnie tej inicjatywie prywatnej.

IV.

Całość prawodawstwa niemieckiego w sprawie assekuracji robotniczych—poza motywami czysto politycznej natury—była dyktowana potrzebą, odczuwaną powszechnie, starań o uregulowanie kwestyi społecznej. Odczucie tej potrzeby, powiedzieli-byśmy konieczność regulacji, uwidoczniła się wszędzie, gdzie tylko przemysł wielki zaczął się rozwijać. Wszędzie zaczęto myśleć o środkach zaradczych. Niemcy zwrócili głównie uwagę na ubezpieczenia i ujęły tę sprawę w dłoń państwową, przeciwstawiając te instytucje wzrastającej potężnie a groźnej dla Państwa organizacji demokratów socyalnych; Francya, więcej wierząca widocznie w idealne pobudki społeczeństwa, w dużo znaczniejszej mierze przekazała tę sprawę samemu społeczeństwu. I taktyka ta nie omieszkała wydać owoców bardzo pożytecznych, i to nietylko dla klas zainteresowanych, ale i dla rządu. Państwo z zabiegów i starań osób prywatnych zrobiło sobie pewnego rodzaju pole doświadczeń: gdy spostrzegło, że jakakolwiek z instytucji patrolnych oddaje prawdziwe usługi i służy ku ogólnemu użytkowi, wnet starało się prawnie zobowiązywać resztę pracodawców do analogicznych reform. Śmiało rzec można, że znaczna bardzo część prawodawstwa fabrycznego we Francyi zawdzięcza swoje istnienie instytucjom patrolnym.

Ale taki tylko skutek tych instytucji byłby zbyt mały. Mają one wpływ wielki, olbrzymi, na całokształt stosunków społecznych we Francyi.

A naprzód co jest instytucją patrolną? Nazwiemy patrolną każdą instytucję, stworzoną przez pracodawcę, poza obowiązkami jego, przepisanemi przez prawo, mające na celu polepszenie bytu materialnego lub moralnego robotników. Nie zawsze instytucje te są wynikiem li tylko samej troski o dobro publiczne. Wiele z nich jest pewnego rodzaju klapą bezpieczeństwa, rezultatem potrzeby chwili, a często pomimo to należy się im uznanie, gdyż świadczą dotykalnie, że antagonizm pracy i kapitału może być modyfikowany, przyuczają pracodawców do widzenia w robotniku, poza pewną ilością sił roboczych, jego duchowej istoty, wskazują wreszcie robotnikom możność zbliżenia się do pewnego dobrobytu.

Trudno było-by przedstawić charakterystykę wszystkich instytucji patronalnych, naprzód z tego względu, że wskutek, naszym zdaniem, niezupełnie odpowiedniego rozgatkowania poszczególnych klas działu, odnośne eksponaty rozsypane są po całym labiryncie sekcji francuskiej (w r. 1889 utworzono specjalną kategorię instytucji patronalnych)¹⁾, następnie instytucje te są najrozmaitsze: stosują się do wychowania młodzieży robotniczej, kształcenia moralnego i intelektualnego robotników, oszczędności, ubezpieczeń, udziału robotników w zyskach przedsiębiorstwa itp.

Choć pobieżnie rzućmy okiem na rozsiane w sekcji okazy zabiegliwości patronalnej. Od r. 1822 istnieją we Francji szkoły i chroń dla dzieci robotniczych, przeważnie z cechą wyznaniową. Prawie w tymże czasie zaczęły powstawać szkoły specjalne, fundowane staraniem osób prywatnych lub miast. Do takich należą naprzykład Stowarzyszenie politechniczne miasta Paryża, założone w 1830 roku i liczące do 100,000 słuchaczy, rekrutujących się przeważnie z klasy robotniczej.

Sprawą dopuszczania robotników do udziału w zyskach niezmiernie żywo interesuje się społeczeństwo francuskie. Głównymi promotorami tego ruchu są Goffinon, Karol Robert, Alfred de Courcy i Chaix. Założyli oni w 187- Towarzystwo mające na celu prowadzenie studyów, ogłaszanie monografii itp., dotyczących tej kwestyi. Towarzystwo to w dziesięć lat później zostało uznanem za instytucję pożytku publicznego²⁾.

Pierwszem przedsiębiorstwem we Francji, które zaczęło w czyn wprowadzać dopuszczanie robotników do zysków, była przędzalnia, obecnie znana pod firmą „Seydoux, Sieber et C-o”. Było to w r. 1839. Przykład byłby może przeszedł bez naśladownictwa, gdyby nie gorące poparcie go przez znanego malarza-architekta, Leclaire'a. Zwyczaj zaczął się rozpowszechniać, szczególnie w obecnej dobie. Francja liczy 120 przedsiębiorstw, dopuszczających robotników do zysków, przeważnie w 25%,—z tych 30 przedsiębiorstw zaprowadziło tę instytucję po r. 1879. Dzięki tym innowacyom, robotnicy w niektórych fabrykach stali się właścicielami znacznej części przedsiębiorstwa. Tak na przykład personel robotniczy papierni w Angoulême posiada udziałów akcyjnych za 4,320,000 fr. Znanie przedsiębiorstwo

1) Referentem był p. E. Cheysson, prof. szkoły nauk politycznych „Rapports du Jury international, Paris, Imprimerie Nationale” 1892.

2) „Société pour l'étude pratique de la participation du personnel aux bénéfices, reconnue d'utilité publique en 1889.

Familistère de Guise z czasem w całości przeszło na własność klasy robotczej.

W pewnym związku, przynajmniej ideowym, ze sprawą dopuszczenia robotników do udziału w zyskach są stowarzyszenia robotnicze wytwórcze. Zawdzięczają one powstanie swoje duchowi lat 1830 i 1848, lecz właściwie, jak daje świadectwo o tem p. Floquet, rozwinęły się najwięcej w epoce lat 1881—1900. W r. 1895—późniejszych odnośnych danych dokładnych nie znaleźliśmy na Wystawie — posiadała Francya 172 stowarzyszenia robotnicze wytwórcze o 9,000 stowarzyszonych i około 13 milionów franków kapitału. Ruch tej kooperacji, jak nastosunki francuskie, nie jest zbyt wielki, ale, w każdym razie, jest na drodze postępu.

Widzieliśmy cały ogrom prawodawstwa niemieckiego w sprawie ubezpieczenia robotników od wypadków. Jak się ta sprawa przedstawia we Francyi? Czy również ujęto ją w dłonie rządowe? Postąpiono tu nieco inaczej, przyjęto, powiedzielibyśmy system mieszany: państwo tylko czuwa nad higieną kwestyi. Przez długi czas sprawa odpowiedzialności pracodawcy regulowaną była przez artykuły 1382 i 1384 kodeksu cywilnego, podług których robotnik miał prawny regres do pracodawcy w razie wypadku o odszkodowanie, jeżeli wypadek ten wyniknął z powodu winy pracodawcy lub jego zastępcy. Nie mówiąc o tem, że 47% wypadków jest bez winy pracodawcy ani robotnika—i sama ta okoliczność już wystawiała robotnika na ciężkie próby—winy pracodawcy należało dowieść. Pod wpływem upominań i prac ekonomistów i wogóle pod wpływem całego ruchu etycznego w tym kierunku, zaczęły się zmieniać pojęcia. Sama nawet jurysprudencja z czasem się nieco zmieniła, przyjmując presumcję winy pracodawcy: w praktyce nie robotnik dochodził winy, lecz pracodawca, broniąc się, dowodził niebytu winy. Wreszcie ewolucja idei w tym względzie doprowadziła do tego, że uznano konieczność pewnego rodzaju jakby amortyzowania sił roboczych, tak samo, jak maszyn. W zasadzie pracodawca powinien był realnie lub fikcyjnie tworzyć pewien kapitał amortyzacyjny, który-by odpowiadał w razie wypadku.

Kierując się tą myślą, prawodawca francuski wydał dnia 9 kwietnia 1898 r. prawo,—w szczegółach swych zresztą często bardzo niejasne i krytykowane,—które zrobiło pracodawców odpowiedzialnymi bezwarunkowo, choć w mniejszym lub większym stopniu, zależnie od winy. Ubezpieczanie zaś pozostawiono do woli—pracodawca może ubezpieczać swych robotników w Towarzystwach assekuracyjnych lub u siebie. lub wcale nie ubezpieczać, byle-by wypłacił indemnizację.

Wprowadzono przytem bardzo ważną innowacyę: w razie sporu odpowiada przed robotnikiem i wypłaca indemnizacyę rządowa kasa przezorności (Caisse nationale des retraites), mająca wówczas regres do pracodawcy.

Lecz nie dosyć jest indemnizować poszkodowanego robotnika. Należy przede wszystkim starać się o niedopuszczenie do wypadków. Tu inicjatywa indywidualna miała i ma szerokie pole działania. Zaczęły się z czasem tworzyć liczne towarzystwa, mające na celu studyowanie przyczyn wypadków fabrycznych i za pomocą książek, broszur, artykułów, oraz odczytów oświecać klasy robotcze, jak mogą uchronić się od wypadków maszynizmu. Do znaczniejszych takich Towarzystw należy np. „l'Association des Industriels de France contre les accidents du travail”. Stowarzyszenie to, założone w r. 1883, liczy 286,000 robotników. Inne stowarzyszenie: „l'association des industriels du Nord de la France” oświeca w tym względzie stale 120,000 robotników. Wszystko to dzięki potężnej działalności ludzi dobrej woli.

Z kwestyą assekuracji od wypadków wiąże się sprawa zabezpieczenia sobie na starość renty przez robotników. Prawodawstwo francuskie umywa ręce zupełnie od tej sprawy, pozostawiając ją wyłącznie dobrej woli jednostek. Zrobiono tu wyjątek dla robotników-górników, których liczba obecnie dochodzi we Francyi 250,000. Ci z urzędu mogą być ubezpieczeni, do czego służą zatrzymywane z zarobku 2% i wkłady pracodawców. Chociaż Państwo pozostawiło tę kwestyę na uboczu, nie pominęło jej w praktyce. Pracodawcy, przez względy humanitarne i dobrze pojęte swoje interesy osobiste, starali się zabezpieczać starość swoich robotników, bądź assekurując ich w instytucjach (zwykle w Caisse nationale des retraites), bądź tworząc oddzielny kapitał ubezpieczeniowy. Tak np. zarządy kolei francuskich w 1897 wypłaciły 200,000 byłych urzędników swoich summę 43 milionów franków. Ankiety wydziału pracy, istniejącego przy ministerjum handlu (Office du travail), wykazały, że Francya posiada obecnie 229 kas, utworzonych przez pracodawców i mających na celu ubezpieczenie starości robotników. Za wzór takiej kasy uchodzi kasa znanego przedsiębiorstwa Forges de France, będącego własnością p. Alberta Gigot, który dał się już poznać zaszczytnie przez prace na polu ekonomii społecznej.

W summie ogólnej, jak wykazały prace przedstawione na Wystawie, 1,200,000 osób zaasekurowano na starość we Francyi i to przeważnie dzięki tylko inicjatywie prywatnej, dzięki instytucjom paternalnym.

Czy na tem się już kończy działalność i wpływ patronatu? Wykazaliśmy tu kilka, że się tak wyrazimy, próbek dotykalnych tej działalności, uwidocznionej w dorobku materyalnym klas roboczych, a i te podaliśmy tylko jako przykłady, które bynajmniej nie wyczerpują całokształtu tak różnorodnego, jak tylko różnorodną być może dobra wola, przedsiębiorczość i energia jednostek. A poza tą sferą materyi, jest jeszcze przecie daleko obszerniejsza i donioślejsza sfera ducha i inteligencji. Oddziaływać na inteligencję klas roboczych, podnosić je moralnie—to jest zadanie wzniosłe, obfitujące w pożytki. Tylko, że rzecz to nieuchwytna, rezultat jej nie da się ująć w cyfry, wykazać na papierze. Co najwyżej, i to tylko w niektórych razach, z objawów sądzić można. Tak np. przypuszczać należy, że pożytek wielki być musi intelektualny i duchowy tam, gdzie, prócz zajęcia się państwa sprawą wykształcenia, prawie przy każdym przedsiębiorstwie potworzono wzorowe ochronki, szkółki, gdzie zajęto się umysłem nietylko dzieci, ale i umysłem dorosłych, tworząc kluby robotnicze, gdzie łączy się nauka z zabawą, urządzając kursy dla dorosłych (*cours pour les adultes*), które z początku, w 1890, miały zaledwo 1,200 słuchaczy, a obecnie chlubią się zastępem stutysięcznym ludzi, szukających tu wieczorem wytchnienia w pracy umysłowej po całodziennej pracy fizycznej.

V.

Zakończyliśmy przegląd eksponatów. Czy opowiedzieliśmy o wszystkim? Nie,—nawet tomów-by na to nie starczyło. Gdzie przedstawiono kilka lub kilkanaście tysięcy okazów, których samo ułożenie i wykończenie wymagało wiele pracy, gdzie zgrupowano z całego świata co w tej materyi uznano za najszlachetniejsze, najlepsze, najdoskonalsze, tam chodzić-by można bez końca, opisywać bez końca. Tyle tu przedstawiono wysiłku ludzkiego! Przyznać się więc musimy, że z konieczności traktowaliśmy rzecz pobieżnie. Sprawozdanie nasze tak samo nie wyczerpuje zawartości pawilonu, jak zawartość ta nie wyczerpuje działalności dzisiejszej na polu ekonomii społecznej, i jak, wreszcie, działalność sama nie wyczerpuje jeszcze tego, co ludzkość uczynić winna i co przyszłość uczyni.

Wystawa ponownie dowiodła, że wysiłek ludzki na polu techniki uwieńczony został zdobyczą, zwycięstwami takimi, o jakich nigdy ludzkość nie marzyła nawet. A co się zrobiło z wysiłkami na polu przysporzenia spokoju, dobrobytu, szczęścia pragnącym masom? Czy i te przeszły oczekiwania?

Niestety, chyba oczekiwań nie doszły. Pomimo tylu zabiegów i starań, pomimo i chęci dobrych, i talentów znacznych, i serc wielkich, nędza, ubóstwo materyalne i moralne gnieźdzą się po zaułkach, po miastach, po fabrykach, po wsiach, wszędzie. I na to zupełnego rozwiązania, paliatywu wszechskutecznego — prócz miłości bliźniego — niema. Rzecz nie przestaje być palącą, żądną zbliżenia się do absolutu dobra. I cywilizacja nasza obecnej, najostatniejszej doby, śmiało rzec może, że jeżeli wraz z maszynizmem przyniosła szkód wiele i nędzy wiele — nie mówię o pożytkach i wzajem ich nie porównywan — to równocześnie powiedzieć śmiało może, że uczyniła już coś dla zmniejszenia tej nędzy, że nędza ta była-by większą, że społeczeństwo jest już przynajmniej na drodze do uzdrowienia ludzkiego ducha i ciała. A ciało zbiorowe, jakim jest społeczeństwo, tak samo jak jednostka-człowiek, spełnia swą rolę i przeznaczenie duchowe, gdy kroczy drogą udoskonalenia. Ludzkości wydzielono rolę walki w imię ideału.

Pawilon ekonomii społecznej dał w swych tysięcznych ekspozycjach zaledwie próby i poczynania. My również w sprawozdaniu staraliśmy się dać próbę przedstawienia bodaj dwóch wybitnych kierunków w działalności na tem polu. Niemcy dały nam poznać działalność państwową, Francya zaś — działalność patronalną.

HENRYK RADZISZEWSKI.

Eliza Orzeszkowa.¹⁾

Nie długo trwał dla autorki ten okres drobnych obrazków, okres przyglądania się odosobnionym postaciom i śledzenia w ich charakterach jednego jakiegoś rysu, w ich sercach pojedynczego jakiegoś uczucia. Umysł tego kroju, co jej, nieprzepracie musiał podążać do garnięcia zjawisk powszechniejszych, do rzucania na tło szersze licznych i różnorodnych powikłań jednostkowych, rozpryskujących się przecież ze wspólnego źródła. Najwcześniej uczyniła ten krok względem odrębnej plebii warstwy ludności w „Meirze Eze-fowiczu“, wykazując skutki wyłącznego, niechęcią w stosunku do obcych naznaczonego zasklepienia się w tradycyi, w cywilizacyjnym skostnieniu. Niebawem przyszła kolej na inne strony życia miejskiego. Autorka dostrzegła, iż wstrząśnienie, które do gruntu przekształciło dotychczasowe warunki żywota ziemiańskiego, nie ominęło też i On-wilu, i Ongrodu, i innych grodów litewskich, lecz pozostawiło w nich ślady głębokie. Śladami temi były warunki bytu ciężkie, ledwie po-

¹⁾ Patrz zeszyt wrześniowy „Biblioteki.“

zwalające na trwanie roślinne i połączone z nieustanną trwogą utracenia zdobytego, acz suchego, kawałka chleba. Ileż-to jednostek od najwcześniejszych lat zaprządź się musiało do pługa pracy na chleb powszedni, okruchami zaledwie zaspakajając głód wiedzy i podnioslejszych dążeń! Przemijające chwile przesadnego wyobrażenia o sobie i osiągniętych wynikach ustępują coraz częściej poczuciu zmarnowanych sił, aż nadejdzie wreszcie godzina, kiedy zniechęcenie lub bolesna rezygnacya, niekiedy tłumione rozjątrenie, już nigdy duszy ich ze swych szpon nie wypuści. Przypominamy tu postać Milewicza („Bańka mydlana“), postać tytułowego bohatera w „Zygmuncie Ławiczu“, najlepszym z utworów, tym stosunkom poświęconych.

Wogóle, o ile chodzić nam może o podmalowanie tła, Orzeszkowa w tych powieściach odsłoniła przed nami obrazy pełne prawdy, z życia wyrwane i życiem drgające, i pod tym względem obrazy te mają wartość poprostu historyczną.

Powiedzieliśmy przed chwilą: o ile chodzić nam może o podmalowanie tła... Bo istotnie, ta atmosfera umysłowa i materyalna, którą nam Orzeszkowa z taką dokładnością i niezrównaną prawdą przedstawiała, jest dla niej tłem tylko. Jej głównem zadaniem jest ujęcie tych zjawisk, które mniej więcej w owym czasie sporadycznie u nas występować zaczęły, a które wcielają się w różne postaci: „Sylwka Cmentarnika“, „Widm“, „Pierwotnych“, „Zygmunta Ławicza“, „Bańki mydlanej“ (1869—82).

W dawniejszych utworach Orzeszkowej znać często naiwne niemal przejęcie się hasłami pracy organicznej, hasłami, które przylatywały do zakątków zdaleka, z ognisk umysłowych. Mimo to koloryt ówczesnych dzieł naszej powieściopisarki jest tego rodzaju, że wszystkie zjawiska są tam umiejscowione; wszystkie pojęcia jakby wyrastały z własnego, „prowincjonalnego“, powiedzmy, gruntu. Losy osobiste prowadzą tam do rozmyślań, coraz bardziej uogólniających się, ale punktem wyjścia jest jakieś określone powikłanie i określony charakter, a cel, który w tych rozmyślaniach przyświeca, to znowuż wyrwanie tego lub owego chwastu, na miejscowym ugorze wybujałego. Dopiero w „Elim Makowerze“, w osobie Ildefonsa Porzyckiego, dochodzi nas po raz pierwszy technienie z za gór i lasów, migają naraz w oczach mgły rojeń, poza okolicę wybiegających, i po raz pierwszy pono w literaturze polskiej wymówione było słówko: nihilista.

Jest to technienie zatrute, i są to mgły, co zarazki malaryi rozsiewają, bo też autorka nie pożałowała czarnej farby dla odmalowa-

nia nihilisty. W dobie „Widm“ i „Bańki mydlanej“ stała się ona po-
 bliższą o wiele, zasadnicze atoli rysy Poryckiego przeniosła na
 tych utopistów, którzy marzą nie o zreformowaniu społeczeństwa, lecz
 o wyważeniu z posad kuli ziemskiej, o przekształceniu doraźnem na-
 tury człowieka. Pierwszym w tym kierunku utworem był „Sylwek
 Cmentarnik“, w którym poczucie niesprawiedliwości (osobistej), za-
 wiść na widok dostatku itp. przyczyny stwarzają wdzięczną glebę
 dla siewu Szymona Kępy. Sięga tu autorka do najniższych pokła-
 dów motłochu miejskiego, do pokładów, znanych jej, jak się zdaje,
 zdaleka i z zewnątrz. Przemawia za tem przypuszczeniem i niewiel-
 ka wyrazistość postaci, brak dyalogów charakterystycznych, zastoso-
 wanych do usposobienia, wieku, zakresu pojęć i położenia towarzy-
 skiego osoby. Uwaga ta obejmuje nawet postać Sylwka.

Co do Szymona Kępy, mistrza szkoły, w której się nowa ludz-
 kość kształtuje, pogodzilibyśmy się może ze skokami pojęciowymi od
 naiwnego kommunizmu, rozumianego jako podział dóbr, na mocy po-
 wszechnej a dobrowolnej ugody, aż do przywłaszczenia na rzecz jed-
 nostki mienia innej jednostki, tj. pospolitej grabieży; w charakterze
 jednak tego maniaka nie zharmonizowano dwu jego podstawowych
 właściwości: istotnego chłodu uczuciowego z miłością obejmującą
 wszechświat, ze zdolnością do ekstatycznego i męczeńskiego przejęcia
 się ideą. Mamy zresztą do czynienia raczej z jakimś wizjonerem śred-
 niowiecznym, niż z wytworem doby dzisiejszej.

Na pozór o wiele więcej ma w sobie barwy rzeczywistości Julek
 Ryżyński w „Widmach“ i jego rodzeństwo z „Pierwotnych“ (Euge-
 niusz Skiba) i z „Bańki mydlanej“ (Paula Mirewicz). Ale tylko na po-
 zór. W ich głowach panuje chaos niepokodzonych pojęć, w sercach
 klójące się z sobą żądze i uczucia. Są to utopiści i zarazem nazywa-
 ją siebie „trzeźwymi“ ludźmi. Marzą oni o szczęściu powszechnem,
 i jednocześnie pierś im rozpala gorączka użycia, a od słowa obowią-
 zek, ofiara, ze wstrętem się odwracają. Nie możemy utrzymywać, ja-
 koby podobne chodzące zagadki były zgoła niemożliwe. Ale błąd
 autorki polega na tem, iż fakty, może nawet niekiedy prawdziwe,
 lecz w tym nadanym sobie kolorycie wyjątkowe, pojęła i przedsta-
 wiła jako typowe zjawisko. Tak też je nasz ogół zrozumiał.

Orzeszkowa, według wszelkiego prawdopodobieństwa, oprzeć się
 mogła na spostrzeżeniach dorywczych jeno i powszechnych. Dla tego
 też tak wadliwą jest psychologia jej bohaterów. Nie ma ona artysty-
 cznego czucia z nimi. Skądinąd nie trudno może rozstrzygnąć tajem-
 nicę sprzeczności w charakterach, o których wspomnieliśmy. Więk-

szość rysów, nadanych czy to Julkowi Ryżyńskiemu, czy Eugeniuszowi Skibie, należy do okresu o kilka pokoleń uniwersyteckich wcześniejszego od doby, w której powieściopisarka nasza bohaterów swych umieszcza. Dość przejrzeć pierwszą lepszą rozprawę, dajmy na to, Pisarewa, by spotkać się tam z naciskiem, położonym na trzeźwość, na pozytywistyczny koloryt przekonań. Na określenie dość częstego wówczas typu istniał właściwy termin: realista. I oto dla czego Julek i Lusia mówią o sobie: „My realiści! My ludzie trzeźwi.“ W owym też czasie występują prawa jednostki do szczęścia osobistego, do swobodnego rozwoju jej sił przyrodzonych, nakaz moralny do zwalczania ograniczeń, do uwalniania się z powijaków, wkładanych przez przesady towarzyskie i zniechęcające obyczaje. Wtedy właśnie przeciw zasadzie: obowiązek stawiano tę: zadośćuczynienie swoim osobistym potrzebom. Był to okres krytyczny wyrabiania się i walki pojęć. Niebawem przecież akademickie w tym kierunku rozprawy, nadające przez czas jakiś szczególne zabarwienie atmosferze, utraciły swoją pociągającą siłę. Całą tę wzmiankę historyczną opatrzyć należy niezbędną uwagą, że umysłowe i moralne rysy pokolenia realistów, współzrędnego mniej więcej z tem, które się właśnie w Szkole głównej do życia sposobilo, znalazły swój, najczęściej skrzywiony do niepoznania, wyraz w utworach kilku pisarzy rossyjskich, z których najświetniejszym były: „Ojcowie i dzieci“ Turgeniewa i „Obryw“ Gonczarowa.

W jednym tylko kierunku musimy przyznać Orzeszkowej słusność bezwarunkową. Mamy tu na myśli kosmopolityczne zabarwienie wszelakich „widm“ i zobojętnienie, nawet niekiedy niechęć względem tradycyi; a odgłosy tego stanu nie zamilkły dotąd. „Odkąd zaczęłam myśleć o rzeczach daleko ważniejszych, cecorskie pola i ich rycerze całkiem zajmować mię przestały“, powiada Lusia, adeptka Julka. Sam Julek „bohaterstwo ludów“ objawia „krwisto czerwoną bluzą, opasaną szerokim rzemiennym pasem“. A Eugeniusz, sekundując mu, woła: „kocham świat cały, z wyjątkiem właśnie miejsc moich rodzinnych, w których z musu jedynie przebywam.“ Czując niebezpieczeństwo szerzenia się podobnego nastroju w młodych pokoleniach, Orzeszkowa zamierzyła, w części przynajmniej, przyczynić się do zapobieżenia niepożądanym jego następstwom rozprawą „O kosmopolityzmie i patryotyzmie“. Rozprawa, zdaje się, w najdrobniejszej części skutku zamierzonego nie wywarła i wywrzeć zresztą nie mogła, jest bowiem akademicką najzupełniej, zwłaszcza przez obranie za wysoko punktu wyjścia w stosunku do szczególnych wypadków

npowszechnienia idei kosmopolitycznych. Pochodzi to najpierw z błędnego założenia, jakoby głównym albo może nawet wyłącznym czynnikiem zbrodni był zamęt pojęciowy, lub jak gdyby komu istotnie względ na „ludzkość wogóle“ przesłaniał widok rzeczy bliższych. I oto autorka za obowiązek sobie poczytała pojęcie owo rozwikłać, istotną ideę wyjaśnić.

Przedsięwzięcie tedy wytłómaczyć, w jaki sposób narody w dziejach powstają i jak się rozwijają uczucia narodowe. Tylko w ostatnim rozdziale zbliżymy się cokolwiek do jądra zagadnienia jakkolwiek z pominięciem głównego punktu: mniemanej rozterki między ideałami tradycyjnymi, a nowszymi dążnościami. Czerpanie ze źródeł obcych, czy to na wykładach profesorów berlińskich lub genewskich, czy też z piśmiennictw nie krajowych, wpływa na „rozluźnienie węzłów przyzwyczajenia i przywiązania“, na brak znajomości rzeczy swojskich i utratę czucia ze społeczeństwem swoim.

Nieco odrębne stanowisko wśród utworów tego okresu zajmują „Pierwotni“, powieść, która do wyboru pism znakomitej powieściopisarki należeć powinna, którą w tej dobie obok „Zygmunta Ławicza“ ze względów artystycznych umieścić wypada. Zebrała tu Orzeszkowa kolekcję kosmopolitów z różnych sfer towarzyskich. Wszyscy oni są „pierwotni“, powiedzmy mniej grzecznie „dzicy“ bez śladu prawdziwego ukochania czegoś więcej ponad swą osobę, a pomimo „pierwotności“ swej przeświadczonych najczęściej, iż należą do wykwitnięcia cywilizacji. Takie okazy, jak p. Iza Odropolska, szambelan Pomieniński, Ignacy Kołowicz, nieprędko ztrą się w pamięci. Wśród nich znalazł się i p. Eugeniusz Skiba. Szczególnie poetycki urok dziełu nadaje dziewczęca postać Adolfiny, zepsuta tylko nieco zbyt obcesową rezygnacją.

III.

„Orzeszkowa w części dla odwrócenia na chwile oczu od rzeczywistości, która ją smutkiem przejmowała, w części pod wpływem powieści Ebersa „Uarda“ wzięła się do studyów nad klasyczną starożytno-

ścią... mówi P. Chmielowski, komentując zwrot naszej powieściopisarki ku obrazom historycznym. Nie posiadając bliższych w tym względzie szczegółów, musimy się zadowolić tem objaśnieniem genezy jej dzieł, w których się cofa daleko wstecz ku światu umarłemu. I tu przecież wyraźnie dostrzegamy nic uczuć sympatyj, starć dramatycznych, które terażniejszość z przeszłością łączą. Powieści Orzeszkowej nie mają w sobie starożytnego kolorytu Ebersów i Dahnow. Mamy tu naprzód szereg drobniejszych utworów, skupionych w książkowym wydaniu pod wspólnem mianem „Stare obrazki“. Są to drobiazgi, których autorka na tle podaniowem najczęściej snuje rozmyślenia i porusza zagadnienia o charakterze ogólnoludzkiem, z lekka zabarwiając je tylko pojedynczemi tonami, zaczerpniętymi u dziejopisów i poetów świata klasycznego. Zresztą do tych wylewów lirycznych w formie opowiadania niepodobna zastosować miary ściśle podmiotowej. Musimy atoli zwrócić uwagę na to, iż autorkę pociąga ku sobie najmocniej owa chwila w dziejach wszechświatowego państwa, kiedy ostatnie odgłosy starorzymskiej cnoty, godności i hartu, owiane tchem filozofii stoickiej, wcielały się w nieliczne szlachetne dusze, by wzbudzić w nich niemilkący protest przeciw rozpasaniu epoki i utracie zmysłu moralnego. Wyobrazicielem takiego protestu jest dom pretora Helwidjusza Priscusa w „Mirtali“. W powieści tej wszelako, i w pomyśle, i w wykonaniu, inny pierwiastek gra rolę przewodnią. Orzeszkowa natrafiła tu na żyłę, która już raz dostarczyła jej materiału na jedno z najpoetyczniejszych jej dzieł. W plastycznym, barwnym, urozmaiconym obrazie przewija się przed naszymi oczami głęboko pojęty i szeroko zakreślony dramat zdeptanej pod stopą zaborczego państwa nieszczęśliwej Judei, jeszcze wijącej się z bólu, jeszcze broczącemi ranami okrytej. Nie dziw; wszak to czasy Wespazjana.

Kilku tylko rysami, ujawniającemi się zwłaszcza w świetnych scenach zbiorowych, przedstawiała autorka świat rzymski w zniemczonym już stanie. Nawet owa milcząca opozycja stoików i republikanów przybrała na się postać dążenia natury raczej etycznej, niż politycznej, lub społecznej. Natomiast o wiele wszechstronniej przedstawia się nam w jego kształtowaniu się życie Zatybrza, zaludnionego wygnańcami z Palestyny, z różnorodnemi prądami, poruszającemi ogół żydowski. Krzyżują się tu z sobą zasady i praktyka życia Szamaistów, którzy się „wściekli przeciw narodom obcym“, a wydadzą z siebie Todrosa, i zwolenników słodkiej nauki Hillela, którzy chętniej mówią Kocham, niż nienawidzę, oportunistów, doskonale przystosowujących się do nowych warunków istnienia. Mirtala wreszcie jest uosobieniem istot, nawpół świadomie ulegających ponętom obcej

cywilizacyi w tem, co ona ma w sobie najszlachetniejszego i usposobieniu jednostki najodpowiedniejszego. Nie mniej głęboko jest ujęty stosunek Rzymian do ludności napływowej. Wchodzi tu w grę i pogardliwa wyniosłość zwycięzcy wobec zdeptanego wroga, i niezgasłe jeszcze uczucie zawziętości, obudzone walką z nim, i niechęć rasowa i religijna, i względy współzawodnictwa ekonomicznego. Możemy postrzedz, że „Mirtala“ wielu stronami przylega do „Meira“, że, znowuż jak w „Meirze“, oku naszemu odsłaniają się analogie dziejowe, przez które przeszłość dotykającą rzeczywistością wydać się nam może. „Mirtala“ zakończona jest ponurym akordem, a przecież wrażenia nasze, jakkolwiek ostre w poszczególnych ustępach, naogół biorąc, przynębiające nie są. W łagodnem świetle zachodu stopiły się żary słońca południowego. Autorka z pewnego oddalenia spogląda litościwie na zawikłania spraw ludzkich, na najdziwniejsze sprzeczności, spotykające się nieraz w tem samym sercu. To usposobienie znajduje dla się harmonijne uzewnętrznienie w przewadze opisów nad działaniem, w długich okresach, w rytmiczności toku, ujawnionej niekiedy budową zdania. Wywiera to wrażenie wielkiej siły, pewnej siebie i skupionej. Zdrój uczucia wytryska tu z głębokich pokładów duszy i nazewnątrz toczy się spokojną, heksametrami niemal płynącą falą. Zresztą jest to już stałe usposobienie autorki, że unika scen jaskrawych i gwałtownych wybuchów, iż przedewszystkiem w serce spoglądając, tragedye serc najlepiej odczuwa i rozumie. Dlatego naprzykład nie ukazała nam walk gladyatorskich ani scen męczeństwa w cyrku, lecz tylko spokojne igrzyska trojańskie. Oczywiście barwność widowiska podobnego zblednie wobec gorącego kolorytu, jaki autor „Quo vadis“ na swoje obrazy kładzie. Pierwiastku dramatycznego w „Mirtali“ dostarczają dzieje osób pojedynczych.

Przesuwa się przed nami urokiem wiosennym upiękniona postać Mirtali, obok niej bohater zwyciężonego ludu, Jonatan, i jego poeta Menochim. Właściwie o charakterach czy typach niema mowy (jakkolwiek osoby te zyskują wiele pod względem estetycznym w porównaniu z przedstawicielami świata rzymskiego, gdyż autorka ukazuje nam swych bohaterów w wyjątkowem położeniu i przenikniętych wyłącznemi uczuciami, które podstawą czarakteru być nie mogą). Oni tak wiele myślą i czują wraz z ogółem, że już za siebie tylko czuć i myśleć prawie nie umieją. Ich znamiona osobnicze niemal zawsze znajdują się w jakimś stosunku do doraźnego niby przebiegu powikłań okolicznościowych, acz te mogą być natury bardzo powszechnej. Jeżeli naprzykład Jonatan zabija Mirtalę przez zazdrość, to ta ściśle wiąże się w nim z nienawiścią ku Rzymianinowi.

W gruncie ów obrońca wolności jest despotą; w jego najłagodniejszych czynach i najtkliwszych myślach o kobiecie ukrywa się bezmiar pogardliwego lekceważenia jej. Takie poglądy i uczucia są znowu owocem patryarchalnego ustroju rodziny, lecz wyłącznego rysu czyjegoś oblicza nie stanowią. Jak zwykle dotychczas, tak i w tym utworze, o którym obecnie mówimy, autorka używa całej potęgi swego artyzmu nie na doskonałe i wszechstronne odwzorowanie, lecz na oświetlenie jaknajmocniejsze wyłącznego położenia, uczucia czy własności.

Ale głębię jej obrazom nadaje właśnie organiczne zespolenie przejść osobistych z wypadkami i przyczynami ogólniejszemi, zespolenie w stopniu tak wysokim, jaki się rzadko tylko osiągnąć pisarzom udaje. Cios, który serce jednostki łamie, jest tym samym, co w społeczność uderza. Uwaga się nasza nie rozstrzela, uczucie nie rozdwa, myśl na dwa sobie przeciwne szlaki nie podąża. I oto jest cząstka tajemnicy, dlaczego utwór Orzeszkowej, aczkolwiek zarówno pod względem historycznym, jak i pięknościowym, od zarzutów nie całkiem wolny, dostarcza przecież wiele rozkoszy estetycznej i sprawia wrażenie głębokie, a jeżeli nie jest arcydziełem, to przynajmniej zbliża się do tej miary.

Kilka słów tylko poświęcimy „Westalce“ i „Czcicielowi potęgi“. Ten ostatni powstał jednocześnie (1890) z kilku nowellami, które weszły do cyklu „Melancholików“, znamionujących zwrot Orzeszkowej do zagadnień przeważnie treści etycznej. To też „Czciciel“, zawierający w sobie protest przeciw kultowi potęgi i bogactwa, już nie jest dramatem narodowym, jak „Mirtala“, lecz tylko wielce rozszerzoną parabolą. Pierwiastki wielkiej siły dramatycznej znikają niemal pod nadmiernym rozwojem szczegółów i ozdób starożytnicznych. Zarówno dobą powstania, jak swą ideą, inna, lecz już udramatyzowana przypowieść, trzymająca się gruntu rzymskiego, pod tytułem: „Westalka“, jest współrzedną z „Ascetką“.

Nietylko „Czciciel potęgi“ i „Westalka“, lecz i koloryt dawniejszych nawet utworów (zwłaszcza drobnych) historycznego cyklu świadczy, że świat starożytny uderza wyobraźnię i myśl Orzeszkowej przeważnie od strony podobieństwa ze współczesnością. Łatwo więc

przewidzieć, że wskrzeszanie minionych wieków mogło być tylko chwilowem wychnieniem. Jakoż po krótkiej przerwie, uwaga powieściopisarki odwracać się zaczyna z natężoną siłą ku rzeczom bliższym i bezpośrednio dotyczącym. Działała tu nie tylko nieustanna troska obywatelska, lecz zarazem umysł spostrzegawczy, który się czuje być pociągany, znamiennymi objawami otaczającego go morza zjawisk życiowych. Ten podwójny charakter dostrzegamy na przykład w dwu następujących po sobie bezpośrednio i ściśle myślą przewodnią związanych obrazkach: „Romanowa“ i „A. B. C.“ (1883—4). I sama Romanowa, i jej syn, Michaś, bujnym, nieposkromionym temperamentem obdarzony, a marnujący się wskutek peryodycznej przymusowej bezczynności (jest czeladnikiem mularskim), są to postacie z rzeczywistości wykrojone. Tendencya utworu daje się dostrzegać w tych oto słowach biednej matki: „Jednakowoż, czy to uczone i bogate panowie nie mogą tak jakoś zrobić, żeby dla biednych i durnych ludzi inne zabawy były, jak te u Szłomy“? Zagadkę tę usiłuje rozwiązać bodaj w skromniutkich rozmiarach bohaterka następnego obrazka, zgromadzając wokół tabliczki rachunkowej i elementarza dzieci, przez ulicę i szynk wychowane. Niestety! Działalność taka podważała istnienie potężnego państwa pruskiego w jego podwalinach, co prędzej więc tamę położyć jej należało. A jednak... „nad zuchwałym hałasem szynku, w kuchence, oświetlonej małą lampką... błąda dziewczyna z twarzą zmęczoną i zapłakanemi oczyma, trzymała na kolanach bose, pucate, śmiejące się dziecko...“, i rozlegał się przyciszony, a przecież tryumfujący szept: a, b, c... E pur si muove... Skądinąd oba wymienione obrazki nie są znamienne dla tego okresu, który sięga daty 25-tej rocznicy działalności pisarskiej autorki (1883—91), a jest dobą zupełnie już rozkwitłego talentu. W tym czasie materiał do twórczości swej Orzeszkowa czerpie niemal wyłącznie z dwu sfer, malując życie ludu białoruskiego i szlachty „okolicznej“. W pierwszych latach owego dwudziestopięciolecia Orzeszkowa, mieszkanka wsi, pochłonięta zagadnieniami całkiem odmiennej natury, w odwzorowywaniu świata zewnętrznego rzadko wychylała się poza ściany wiejskiego dworu. Nawet przyroda ma tu sobie wyznaczone najnowsze stanowisko. Świeższe jej technienia odczuwać zaczynamy dopiero później, kiedy autorka z jednostajnej cieśni kamienic Ongrodu tęskne spojrzenie rzucać zaczęła ku szerokim rozłogom pól. I wtedy dopiero w wir przyciągania artystycznego wpadły te dwa żywioły, o których wspomnieliśmy. Jak zwykle, obrazki drobne, często jednostronne, jak: „Echo“, „Za doliną róż“, „Tadeusz“, „Gedali“, „Przy dochodzeniu śledczem“, jak: „Romanowa“ poniekąd, wyprzedzają powstanie utworów wspanialszych, obejmujących obszerną

panoramę życia. A mamy tu arcydzieła prawdziwe, które na zawsze pozostaną nabytkiem piśmiennictwa: „Dziurdziowie“, „Nad Niemnem“, „W zimowy wieczór“, „Cham“ i „Bene nati“.

Wspólnem znamieniem wszystkich tych utworów jest, że jakby roztwierają przed nami nowe, całkiem nam dotąd nieznanne kraje. Powieści te odznaczają się dokładnie wystudowanym i doskonale odтворzonem tłem, szerokością i wielostronnością obrazu, mnogością rysów obyczajowych i wreszcie wielką liczbą zindywidualizowanych, a charakterystycznych i oryginalnych postaci. Ukazując nam wnętrze chaty białoruskiej, autorka, rzecz oczywista, nie mogła pozwolić mieszkańcom jej na stałe przemawianie w ich rodzinnym języku; zachowała wszelako tok mowy ludowej, używając nadto tu i owdzie dla zachowania miejscowego kolorytu charakterystycznych wyrażen Białorusa. Wzgląd na język literacki był wiele mniej krępujący, kiedy wprowadzano nas do zagród szlacheckich w zaściankach. Bądź co bądź, każda z występujących osób przemawia właściwym sobie stylem, zgodnym z usposobieniem jednostki i odpowiednim atmosferze środowiska. Podnosi to niezmiernie plastykę kształtów, a całość jest tak wyrazista, sprawia tak potężne złudzenie rzeczywistości, że istotnie ogarnia nas jakby technienie nowoodkrytego świata. Z wszelką pewnością utrzymywać możemy, że nikt przed Orzeszkową nie dał nam tak prawdziwych, a tak szeroko zakreślonych obrazów życia ludu. Zresztą o ścisłym porównaniu mowy być nie może ze względu na odmienny materiał etnograficzny, i z tego jeszcze powodu, iż dawniejsi pisarze, jak naprzykład Jez, lub Kraszewski, mieli przed sobą pańszczyźnianego chłopca. Co do zaścianków, nikt do nich po Mickiewiczu nie zaglądał, chyba na krótko, lub w celu wyśmiania. Słusznie ktoś powiedział, że utwory Orzeszkowej posiadają nieoszacowaną wartość historyczną i etnograficzną, gdyż wystąpiły w nich uderzająco dobitnie społeczne, przyrodnicze, duchowe, językowe nawet właściwości życia litewskiego. Po zapoznaniu się z temi utworami czujemy, iż w udziale nam przypadły tego rodzaju nabytki umysłowe, których dostarczyć-by nam nie mogły książkowe badania, ani nawet bezpośrednia, lecz dorywcza znajomość kraju, a to dla tego, że zamiast rysów odosobnionych i wzajem od siebie niezależnych, przedstawiono nam całość, w której wszystkie szczegóły ustosunkowały się należyście i zespoliły w ciało organiczne, by wyrzucić jednolite wrażenie. Zresztą, całe to rozszerzenie wiadomości naszych w tym kierunku, jak naprzykład: jakie typy, czy charaktery spotykają się najczęściej wśród ludności kapotowej, lub siermiężnej; jakie są objawy zewnętrzne jej życia; jak ciemnotę gromady wieśniaczej, jej nieumiejętność przystosowania się do życia państwowego wyzyskują ludzie złej woli

i t. d., i t. d., — cały ten osad jest rzeczą przypadkową i dodatkową niejako. Bo nie stąd wypłynęła pobudka twórcza; ani wzbogacenie naszej wiedzy takimi i tym podobnymi szczegółami nie było myślą przewodnią autorki. Lecz i taki skutek, jakkolwiek w swej istocie podrzędny, nie był-by możliwy, gdyby nie wniknięcie w sam rdzeń życia, od którego oddaliliśmy się znacznie, gdyby nie sympatyczne wczucie się w tok myśli, w skład obcych nam poniekąd wierzeń, przesądów, namiętności, pożądań, przyzwyczajzeń, potrzeb moralnych i fizycznych, gdyby nie ogarnięcie wszelkich zewnętrznych i wewnętrznych objawów bytowania towarzyskiego i jednostkowego wśród ciżby ludzkiej. Jest to wynik demokratycznego usposobienia autorki, lecz w wyższym jeszcze stopniu owoc samorządnej zyczliwości, samoistnie wykwitłego współczucia dla nizin, artystycznego pociągu ku oryginalnym i nieużyтым, wśród tych nizin wyrastającym formom, a nadewszystko jest to wynik umiejętności wykrzesania poezji z szarej masy ludzkich istnień. W ten sposób twórca wznosi się na wyżyny epopei, bo nie wzbudza jedynie uczuć miłosiernych widokiem fizycznej niedoli, ani nie każe nam z pogardliwym, lub litościwym podziwem spoglądać na warunki i rzeczy z naszego stanowiska niedogodne, czasem ciężkie, lub wprost wstrętne; lecz wprowadza nas w królestwo udzielne i piękne, smugami żalu, lub jasnymi błyskami wesela poprzecinane, własnym tylko i swoistym prawom podległe. Między tym światem odrębnym a widzom twórca nawiązuje nici sympatyczne, zmuszając nas do podziału jego smutków i radości. Widz przestaje być biernym, lub chociażby zaciekawionym badaczem, podmiot zespala się z przedmiotem. Uczeńsi stajemy się po przeczytaniu dzieł Orzeszkowej, bez wątpienia; lecz o wiele wyższą i cenniejszą jest ta prawda, iż zarazem rozszerza się nasza dusza, staje się giętszą, czulszą, uzdolnioną do ujęcia duszy obcej, od naszej odmiennej, do ujęcia ogólnie - ludzkich pierwiastków bólu i rozkoszy, sympatii i wstrętu. Lud u Orzeszkowej, kapotowy, czy siermiężny, posiada swą duszę i posiada swą poezję; ujawniła ją autorka, podobnie, jak to uczyniła dawniej dla żywiołu żydowskiego w „Meirze“ i „Silnym Samsonie“. Wrażenie, którego doznajemy, trafnie określiła w jubileuszowym artykule Konopnicka. Oto wydaje się nam, że wkoło nas widniej, przestronniej się stało. Więcej nas jest... i ten, i ów, i oto ten jeszcze... Żadna doktryna nie doprowadzi do takiego wyniku. Sprawilo to jedynie miłosne i pełne wyrozumienia ogarnięcie „nizin“. Istotnie... jak możemy coś znać, czego się nie kocha, lub... czego się nie nienawidzi przynajmniej? Tylko nienawiść trudno zestawić z imieniem Orzeszkowej. Pozostaje więc — miłość.

Z dzieł, do niniejszego okresu należących, najwcześniejsze jest „Niziny“, bo wyprzedza nawet drobne obrazki. Treść tej powieści jest powszechnie znana. Pokątny doradca pobudza chciwość chłopów do ziemi i popycha ich do ruinującego ciągnięcia się po sądach; nadto w sposób haniebny wyciskuje za pośrednictwem pomocnika swego miłość matki i jej naiwne mniemanie, że pan adwokat wpływami swymi zdoła dla jej syna wyrobić ulgi w służbie wojskowej. Stosunki, tu przedstawione, posiadają swą smutną wymowę i uderzają swą prawdą. Mimo to, w rysunku jest jakaś suchość, układ scen jest nieco melodramatyczny, zresztą w budowie całej zbyt widoczna jest tendencyjność, w dość ciasnem kole zamknięta.

Nie będziemy utrzymywali, jakoby w „Dziurdziach“ niepodobna było doszukać się tak zwanej tendencji. Dobrą, wesolą, poetyczną, ludziom życzliwą, Pietrusię, współmieszkańcy wioski uznali za wiedźmę, i przy sposobności skutecznie zniszczyli moc czartowską, która w niej siedlisko swe obrała. Koniec znany: suto oświetlona sala, stół, suknem czerwonym okryty, ława przestępców... Zasiedli na tej ławie nie zbrodniarze, tylko ludzie nieszczęśliwi, przesądem spętani. Wobec tego współczuciem swem obejmujemy zarówno ofiarę, jak sprawców zbrodni, i z piersi dobywa się nam głośny okrzyk: światła! Ale domaganie się takie tylko współlistnieje z obrazem, lecz nie wyprzedza go w urodzeniu, podobnie, jak nie wyprzedziło go w pomyśle. Badaczowi w czasie wycieczek jego spostrzegane zjawiska nasunęły myśli, już dawniej będące jego własnością. Czy to tendencya? To też „Dziurdziowie“ przemawiają do nas głównie nie nauką publicystyczną, lecz świeżością barw i poetycznym kolorytem. Rozsnuwa się obszerna, barwna i urozmaicona panorama, wśród której chłop białoruski ukazuje się w różnych chwilach swego życia. Nie jest to epopea, zapewne, gdyż obraz nie jest wszechstronny, nie dotyka wielu stosunków wieśniaka, nie sięgamy też do najgłębszych warstw jego duszy. Pod tym ostatnim względem wyższość przyznali-byśmy może „Nizinom“, gdzie przywiązanie do ziemi jest jedną z ważniejszych sprężyn działania. Mimo to znać, iż autorkę pociąga życie w całości swojej, w różnorodności swych objawów, nie tylko temi stronami, któreby się nadawały do wypowiedzenia nauki moralnej. Spotykamy tu znaczną liczbę oryginalnych postaci, złączonych wspólnym gruntem pracy, stosunków, potrzeb i wyobrażeń, lecz osobniczących się usposobieniami, jednostronnemi rysami, dążeniami, namiętnościami; uwytatnia się to w mowie, ruchach i czynach każdej osoby. Inaczej zachowa się względem Pietrusi pobożny i rozważny Piotr Dziurdzia, czujący ze wstrętem połączony lęk przed siłą czartowską, inaczej posępny i namiętnie w niej rozkochany Stefan, inaczej jeszcze zazdro-

sna o męża, gwałtowna i w pożyciu małżeńskim nieszczęśliwa Rozalka. Biedna Franka znowu błogosławić ją będzie za uproszone ziele, które ma przyjaźnie usposobić ku niej miłego jej sercu parobka. Lecz wszyscy oni jednakowo wierzą w nadprzyrodzone stosunki kowalichy z siłą nieczystą, jak wszystkie kłosa chyłą się w jedną stronę pod podmuchem wiatru, i nawet Pietrusia z niepokojem dopytuje się babki, czemu ona pierwsza na ogień przysła, kiedy wiedźmę łapano, czy ją ochrzczono, czy nieprzyjaciel zbawienia ludzkiego przystępu do niej mieć nie może. Poezya gminna w osobie zwłaszcza ślepej Aseny, różowy obłok zawiesza nad całym krajobrazem, lecz w potężniejszym jeszcze stopniu jutrzenkowe nań blaski kładzie złote serce autorki, pełne litości i pobłażania, umiejące zrozumieć i przebaczyć, umiejące w każdej ludzkiej, nieżeźwierzęconej piersi wyszukać i wskazać ludzkie uczucia. Jedną z najniesympatyczniejszych postaci w „Dziurdziach“, gdyby nie tak artystycznie wyraziła, była-by jędzka Rozalka, żona Stefana. Ale spójrzcie na nią w tej chwili, kiedy, sadząc kartofle, napróżno do męża przyjaźnie zagaduje, bo pogardliwym jeno milczeniem zbyta „kobieta, znowu nad zagonem grzbiec pochylała, i jak zgnębiony robak, w milczeniu, smutnie, po ciemnej glebie pełzać zaczęła“. Pomimo wszystko i ta kochać i cierpieć umie, pomimo wszystko szkoda i tej... Niema winnych, jest tylko splot nieubłaganych konieczności, które ludzi popychają ku zatruwaniu doli sobie i innym. Lecz tę siłę kochania bez frazesów umiała okazać w najwyższej mierze dzielna Pietrusia, jej postać jest żyjącą poezją, ku której zbiegały się promienie sympaty czytelnika, i dlatego tragiczny wyrok losu, na jej głowę ciśnięty, stanowi dramatyczny pierwiastek utworu.

Do świata „Dziurdziów“ przestrzennie przylega świat Bohatrowiczów, szczelnie jednak od pierwszego odgradzony i w sobie zamknięty. Ale może właśnie z powodu, iż kraj to tak niezwykły i taki udzielny, tak spójny wewnątrz, a na zewnątrz w niezależności swej broniony przez tradycję i stanowisko społeczne, może właśnie dlatego, powieść „szlachecka“ góruje nad chłopską rozległością malowidła, dosadnością rysów pojedynczych, obfitością trafnych spostrzeżeń, wreszcie perspektywą dziejową. Pod temi względami „Nad Niemnem“ posiada zakrój epicki, krewni się z „Panem Tadeuszem“ i wśród obyczajowej powieści polskiej zajmuje miejsce wyjątkowe. Niemniej ważnym jest ten utwór w całym dorobku literackim Orzeszkowej. Nie jest to jej dzieło najpiękniejsze, ale skupia w sobie największą ilość znamion jej działalności twórczej. Można-by ostatnią uwagę zastosować do szczegółów nawet. Oto na przykład w sytuacji wielkiego pana Różyca względem intelligentnej, lecz zgoła nie salonowo wychowanej

Justyny, spostrzeżemy pierwowzór stosunku ks. Oskara do Klary w o wiele późniejszej „Pieśni przerwanej“. Wpatrzmy się uważniej w samolubny charakter Zygmunta Korczyńskiego, otwarcie przyznającego się do piętna niższości, wypalonego mu na czole pochodzeniem. Za soczewicę „cywilizacyi“ wśród obcych ludów, wielkich miast i rozrzutnej przyrody, skwapliwie i chętnie wyrzeka się on dziedzictwa swego. Czyż w panu tym nie rozpoznamy wykwintnego Kamila Orchowskiego, z którym Ildefons Porycki, agent „Domu pośrednictwa“, do uruchomienia ziemi najłatwiej mógł się porozumieć („Eli Makower“)? Czyż p. Emilia Korczyńska, i w gruncie swego charakteru, i w stosunku do męża i córki, nie jest, do pewnego stopnia przynajmniej, powtórnem i doskonalszem wydaniem p. Leontyny Orchowskiej? A Dominik Korczyński, któremu brat ma „winszować z senatorem“, czy to nie typ karyerowicza, znanego już nam z „Pierwotnych“, jako p. Ignacy Kołowicz, urzędnik do szczególnych poleceń przy turkistańskim generał-gubernatorze, a którego ujrzymy jeszcze niebawem wśród „Melancholików“. Niektóre drobne nawet rysy, widoczne u rzeczywistych osób podpatrzone, nadawane są po kilkakroć przez autorkę stworzonym przez nią postaciom, naprzykład spotykany już dawniej charakterystyczny ruch oczu Janka Bohatyrowicza, kiedy, wzruszony czemś, rzuca przelotne spojrzenie w górę... Są to wszystko drobiazgi, lecz wniosek się nasz nie zmieni, jeśli przejdziemy na szersze pole zajmujących autorkę spraw i zagadnień, i wyrażanych przez nią poglądów. Odnajdujemy w „Nad Niemnem“ ten sam, co zwykle, grunt przekonań, właściwe Orzeszkowej a tendencyjną budową powieści ujawnione poczucie obywatelskie, i związany z niem nakaz moralny utrzymania ziemi, jako podstawy bytu gromadzkiego, i głębokie współczucie dla tych, którzy na „nizinach“ umysłowych i społecznych życie swoje pędzą, i wypływające stąd przeświadczenie o konieczności wpływu cywilizacyjnego oświeconych i możniejszych na ciemnych i ubogich. Jest to i ukochanie swojskiej przyrody, i realizm postaci, i spokojny, zrównoważony tok opowiadania, i głęboko zrosły z istotą twórcy optymizm. W całokształcie pojęć o współczesnym stanie społeczeństwa zapomniana nie będzie i sprawa wychowania męskiego i niewieściego (przypominamy tu różnice w kształceniu Witolda i Zygmunta Korczyńskich, Leonii Korczyńskiej i Róży Kirlanki). A wreszcie występuje w dziele wyraziście rozbieżność pomiędzy dążeniami młodszego pokolenia, a pojęciowym i moralnym światem starszych. W tym punkcie doznajemy przecież niejakiej niepełności. Witold, wyobraziciel odwiecznej zasady: młodości. ty nad poziomym... jest bardzo ruchliwy, a mimo to nie posiada rysów, w dostatecznej mierze skryształonych. Nie wiemy, czy w poglądach au-

torki zaszła zmiana, i Witold jest odmlodzionym społecznikiem, nakształt Julka z „Widm“, czy też jest to okaz jakiegoś odmiennego, lecz tym razem rzetelnego gatunku demokraty.

Ponad wszystkie atoli wymienione szczegóły góruje pewna okoliczność, która właściwie każe nam uważać „Nad Niemnem“ za utwór, najlepiej uwydatniający znaczenie Orzeszkowej w piśmiennictwie naszym. Orzeszkowa jest dzieckiem duchowem tej chwili przełomowej z przed czterdziestu lat, która zachwiała społeczeństwo w posadach i do gruntu zmieniła ekonomiczne, i nietylko ekonomiczne, warunki jego istnienia, a w rozwoju jego rozpoczęła nową epokę. Mamy tu na względzie tylko przejście się autorki temi, lub owemi poglądami do by pozytywistycznej, a stosowanemi do spostrzeganych zjawisk często mechanicznie. Część ich uległa z biegiem czasu zmianom. Inżynier Rawicki, wyśpiewujący dytyramb na cześć swego zawodu, przeistoczył się w „Australczyka“, obywatela krajów dalekich, u siebie zaś w domu na rzeczy najprostsze spoglądającego oczyma zdziwionego dziecka; w „Argonaucie“, który, w pogoni za złotem runem, traci z oczu najpierwotniejsze i najniezbędniejsze wymagania własnego serca i swoich najbliższych. Więc nie o tem mowa. „Mały ja człowiek jestem,—powiada o sobie Anzelm Bohatyrowicz,—ale na wielkie rzeczy w młodości swojej patrzyłem, i w nich małeńki udziałek wziąłem, a z tego i całe późniejsze życie moje wyciekło“. Z tych rzeczy „wyciekło“ również życie i działalność Orzeszkowej. Owionęły ją demokratyczne prądy, które stanowią chwilę poprzedziły, patrzyła na „wielkie rzeczy“, na ruiny sprawione; powstałe stąd przeobrażenia dotknęły ją i ukształciły, dając popęd do bolesnych rozmyślań; ku chwili owej, ku wstrząśnieniom i przeobrażeniom, przez nią wywołanym, spojrzenie rzuciła, ilekroć pragnęła wyjaśnić początek spostrzeganych przez się zjawisk, czy to w dziedzinie sprawy niewieściej, czy przechodząc na ogólniejsze pole zagadnień społecznych. Przypomnijmy sobie naprzykład Martę, córkę ziemianina, wyrzuconego z przyrodzonego swego gruntu, Martę, przystosowaną do form życia już w niccoś rozwiewających się, i ginącą pod kolami nieubłagalnie kroczącego Molocha nowych czasów. Przypomnijmy Zygmunta Ławicza w wieku pacholećym, pozbawionego opieki męskiej i wytrwale, lecz bezowocnie dążącego ku światłu. Gdzieindziej starsze pokolenie w ciężkim znoju o chleba kawałek i w celu uzdolnienia młodzieży do walki o byt, traci z oczu wszelką myśl swobodniejszą, młodzież zaś, bez moralnego kierownictwa pozostawiona, goni za „widmami“ i t. d., i t. d. Rozejrzawszy się pilnie wśród ukazywanych nam obrazów, zawsze myślą cofnąć się będziemy musieli do wspólnego punktu wyjścia. Okoliczność ta, ujawniona w całym szeregu utworów, najdobit-

niej może się uwydatnia właśnie w „Nad Niemnem“. Cała budowa dzieła oparta jest na związku przeszłości z teraźniejszością; odgłosami chwili minionej rozbrzmiewa cała atmosfera. Tam bierze początek zapracowanie Benedykta Korczyńskiego, jego zapatrzenie się w jedyny cel pozostawienia dziedzictwa synowi, i stąd wzmagająca się z wiekiem krótkowzroczność jego; zerwanie nici sympatycznej między zaściankiem a dworem, wprowadza rozłam pomiędzy temi dwoma czynnikami, i w dalszym swym wyniku powoduje coraz znaczniejsze zacieśnienie widnokręgów mieszkańca zagrody. Ba, Zygmunt Korczyński nawet tej dumy nie posiada, lecz z upokorzeniem czuje na sobie stygmat niższości. Gdzie droga wyjścia z tego stanu? Jest jedna tylko: nawiązanie zerwanej nici tradycyjnej, odwołanie się do szlachetniejszej, a uronionej części spuścizny naszej. W Witoldzie Korczyńskim, przyjacielu i obrońcy Bohatyrowiczów, odrodziła się postać stryja jego, Andrzeja, w jednej mogile spoczywającego z ojcem Janka. „Powracająca fala! Powracająca fala!“ — szepcze Anzelm. A nowe węzły będą od dawnych mocniejsze, bo oto Marta uległa się pracy, nie zeszła na „niziny“, — uczyniła to już radośnie Justyna. Poszukiwanie pierwowzoru ideałów nowoczesnych za sobą jest znamienne dla usposobienia autorki. Powiedzieliśmy o niej na wstępie, iż można-by ją uważać za typowy objaw postępowych usiłowań społeczności naszej nie w jej najwybitniejszych jednostkach, lecz w ogólnym ruchu masy. Dążenie Orzeszkowej do wynalezienia pokrewieństwa pomiędzy dniem dzisiejszym a wczorajszym, popiera ten pogląd. Społeczeństwo nie rozwija się skokami, autorka zaś lubi okazywać daleką perspektywę jego postępu. Prawdą jest, że w Witoldzie odrodził się duch Andrzeja, lecz to tradycya zbyt świeża jeszcze. Ale podanie o Janie i Cecylii świadczy, iż historia Justyny i Janka, Marty i Anzelma, nie od dziś się rozpoczęła, ani też od wczoraj nawet. Niegdyś lud i szlachta stanowiły jedność, a chociaż ich drogi się rozeszły, do tej wspólności serdecznego porozumienia i losów powrócić musimy.

Budowa utworu jest mało skupiona. Sposób przedstawienia przypomina poniekąd nieupowodowane dostatecznie wejścia na scenę i jej opuszczanie w sztukach dramatycznych, z taką swobodą autorka przechodzi od obrazu do obrazu. Jest to wyraz zewnętrzny tej okoliczności, że wątek powieściowy jakby się podwaja, rozwijając się w dwu niezależnych od siebie światach: zamożnej szlachty ziemiańskiej i ludności szaraczkowej. Różnym torem postępujące i luźnie obok siebie ustawione wypadki zbiegają się wszelako w jedność wyższego rzędu, znajdują swój wspólny mianownik w ścisłym zjednoczeniu baśni powieściowej, wypełnionej przygodami osobistemi, z dostrzeganym w perspektywie ruchem fal życia powszechnego. Idea

utworu jest pogodzenie dwóch wyłączających się wzajem sfer; uosobieniem zaś tej idei staje się postać Justyny Orzelskiej. Małżeństwo jej z Jankiem jest jakby pierwszym objawem uciszenia się waśni, na stopie wrogiej utrzymującej dwór Korczyński z jego uboższymi sąsiadami. Tylko... sama owa idea godzenia i jednania, jeśli ją rozumieć nie jako cywilizacyjne oddziaływanie i łączenie się we wspólnych dążeniach, lecz jako punkt wyjścia dla reformy społecznej, sama idea owa nie ma w sobie siły przekonywującej. Skądinąd „te filozofie co innego, — jak mówi Benedykt, — a los twój (Justyny) co innego“. Już niegdyś Anzelm, zasmakowawszy w wytworności umysłowej i moralnej towarzystwa Korczyńskiego, czuł, że potrzeby jego serca i umysłu wyższą formę przybrały. „Do czego inszego już wzwyczajony, co innego poznawszy i pojawiający, ani w jej mowie, ani w obchodzeniu się, ani w zamiarach, które objawiała, smaku żadnego znaleźć nie mogłem“, — mówi o swatanej sobie dziewczynie. Jakże tedy Justynie mógł wystarczyć Janek, choćby najlepszy i najrozumniejszy, choćby francuszczyzna Justyny była bardzo kulawa, a wiadomości szkolne nadzwyczaj mierne! Przecie umiała ona zwrócić na siebie uwagę wykwintnego Różyca; przecie w rozmowach swych objawia wysoki poziom intelligencji i wielkie spoufalenie się z najarystokratyczniejszą poezją naszą. Pomimo usiłowań autorki duch przekory odezwie się w czytelniku głośnym szeptem: nieprawda, nieprawda!

Jeszcze na jedno zwrócić-by tu uwagę wypadało. W traktowaniu przedmiotów przeważa opis nad działaniem, malowidło obyczajowe zwalnia bieg wypadków. Jak Niemen szeroko rozlaczka swoje wody, tak w dziele cała treść jego rozlewa się w równię rozległą, lecz spokojną i znieruchomiałą. Jest to krajobraz upalnego dnia, gdy słońce, obłokiem żadnym nie przysłonię, zatrzymawszy się w najwyższym punkcie drogi niebieskiej, gorącym i jednostajnym światłem oblewając ziemię, każe omdlewać ciało i obezwładnia nerwy i wyobraźnię. Brak tu pierwiastku dramatycznego, napięcia tragiczności, jak np. w „Meirze Ezofowiczu“ i brak uroku poetyckiego, którym się odznaczają choćby „Dziurdzowie“.

Czego brak pod wymienionym względem najobszerniejszemu z malowideł Orzeszkowej, to w spotęgowanej mierze odnajdziemy w „Chamie“ i „Bene nati“. Oba te dzieła, a zwłaszcza „Chama“ można uważać za wyżynowy punkt w rozwoju talentu autorki naszej. W swem studyum o powieści Jeża utrzymuje ona, iż jądrem pomysłu jest zawsze dostrzeżenie kollizji jakiejś pomiędzy jednostkami lub grupami jednostek; dalszym stopniem, niekiedy współrzednym, jest poszukiwanie przyczyn dojrzanego splotu stosunku i uczuć. Nikt może w tej mierze, co ona, nie odznacza się właśnie tą zdolnością do-

strzegania i odczuwania w pełni bolesnych starć, czy to w duszy jednostki zamkniętych, czy też szerokie fale wśród morza ludzkości wzdymających. Nie wielu również z taką pilnością poszukuje początku owych fal, i to właśnie dramatom przez nią przedstawionym odejmuje znamiona przypadkowości, to właśnie pogłębia ich znaczenie, potęgując zarazem działanie ich na widza. Nie inaczej jest w tych dwu utworach, które obecnie mamy na uwadze. Schodzimy w nich na ściślejsze pole uczuć jednostkowych, i dla tego autorka pilniejsze tu niż gdzie indziej baczenie daje na odmalowanie stanu duchowego osób. Nie są to jednak obojętne i drobiazgowo „studya“ psychologiczne. Autorka, nie zatrzymując się na badaniu mechanizmu uczuciowo-myślowego, do czego są zazwyczaj skłonni analitycy powieściowcy, wskazuje perspektywę społeczną. Jest to rzeczą oczywistą w „Bene nati“, nie ulega jednak wątpliwości i w „Chamie“, nie tylko ze względu na wyniosłe zachowanie się Franki „z dobrej rodziny“ wobec „chamów.“ Widoczny w niej zanik częściowy instynktów moralnych, rozluźnienie sprężyn woli i panowania nad sobą, wogóle stan chorobliwy ciała i duszy, to wynik całego jej życia, wynik atmosfery, którą w dzieciństwie oddychała, całej tej poniewierki służącej miejskiej, przerzucanej co chwila od ogniska do ogniska i... od przywiązania do przywiązania. I nie jest też znowu „Cham“ studium psychologiczno-patologicznym, gdyż autorka charakterystykę swą ogrzała ciepłem serdecznym, gdyż w chorem ciele Franki ukazała nam cierpiącą duszę, duszę, co z jej oczu wyziera smutkiem przepaścistym, co każe jej ukorzyć się przed ogromem dobroćliwości i iście chrześcijańskiego przebaczenia ze strony „Chama“, duszy, co wzniewa w nieszczęśliwej trwogę, iż powodowana swą nieokiełznaną naturą, może zelżyć znowu majestat takiego uczucia. Ponieważ duszę miała, rzuciła się w objęcia śmierci, wszystko równającej. Postać Franki wywarła wrażenie silne, i w piśmiennictwie naszym już pozostawiła osad w kilku pochodzących od niej typach. Przypominamy tu nowellę Ostoi-Sawickiej „Łódź“ i znaną czytelnikom „Biblioteki“ ładną powieść W. Karczewskiego (Jasieńczyka) „W Wielgiem“.

Nie wspominamy tu o „Jędzy“, w której autorka znowu się zwróciła do życia miejskiego, nie dla tego, by utwór ten był niższym pod względem plastyki, wykończenia charakterystyki osób, lub siły tragicznej, niż inne z tego okresu, lecz, że zmuszeni byłibyśmy raz jeszcze powtarzać to, cośmy już niejednokrotnie wskazywali.

IV.

Ostatnie dziesięciolecie twórczej pracy Orzeszkowej nie było tak płodne, jak poprzedzające. Oprócz rzeczy drobnych, a po czasopiśmie rozrzuconych, mamy tu naprzód szereg drobiazgów skupionych w dwutomowy cykl „Melancholików“ i w mniejszy zbiorek pod n. „Iskry“; mamy tu dalej do zapisania precudną, acz nie wielką sielankę „Pieśń przerwana“, i wreszcie trzy powieści: „Dwa bieguny“ (1892), „Australczyk“ (1894), i „Argonauci“ (1898). Ostatnia ukazała się zaledwie w roku bieżącym. Większa część obrazów drobnych (z wyjątkiem takich, jak np. „Chochlik-psotnik“, „Panna Róża“ lub „Babunia“), są jakby szkicami utworów, na szerszą skalę zakrojonych. „Melancholicy“ są poniekąd materiałem do „Dwu biegunów;“ „Iskry“—do „Australczyka“, jakkolwiek książkowe wydanie zbiorów jest późniejsze. Twórczość Orzeszkowej płynie obecnie jakby dwoma strumieniami pokrewnymi sobie, wyraźnie przecież odgraniczonymi. Tryskają one ze swych źródeł niemal jednocześnie, krzyżują się, wreszcie spływają we wspólne łożysko. Jeden prąd uwydatnia się zwłaszcza w „Melancholikach“, i jest objawem przejęcia się autorki etycznymi zagadnieniami, jakkolwiek nie spuszcza bynajmniej z uwagi ich podłoża społecznego. Poruszane zaś w „Iskrach“ sprawy wiążą się ściślej z całokształtem jej działalności pisarskiej, a punktem wyjścia jest znowu ta sama, co zwykle, doba przełomowa, i przeobrażenia przez nią wywołane. W „Melancholikach“, z których usunąć-by należało „Ogniwa“, a zwłaszcza „Braci“, Orzeszkowa poddaje analizie uczucia i rozumowania różnego rodzaju pessimistów i stara się docierać do źródeł, z których biorą początek rozmaite flozofie pogrzebowe.

Spotykamy tu na stopniu najniższym „Zropaczonego“, któremu wygrana loteryi bez śladu wymiata z serca gorycz, z myśli gryzącą ironię. Ale obok niego widzimy inne, szlachetniejsze natury, które, idąc za radą poetki: „od zachodu własnej zorzy na wschód wszechżycia obróć lice“, znajdują ulgę i nawet szczęście w czynnem rozszerzaniu swych uczuć poza kres celów samolubnych i jednostkowych. Niektórzy z „Melancholików“, nie umiejąc wznieść się do tej wysokości, oglądają się przynajmniej na „jedną setną swego ja, która popychała

ich na drogę ciernistszą wprawdzie, lecz prowadzącą do poczucia wspólności ze swym rodem; jeszcze inni, do odrodzenia niezdolni, słyszą jednak jakieś wołanie: „kto tam woła? Ziemia czy niebo? Bóg? Ojczyzna? Ludzkość? Po co? Co mam czynić? Nie wiem...” („Wielki“). Artystyczna wartość tych utworów nie jest wielka, auto-epicka forma często sprawia wrażenie sztuczności pewnej, albowiem przemawiająca w swoim imieniu osoba i poddająca rozbiorowi swe uczucia, musi w ten sposób zwrócić się do czytelnika, by ten mógł ją objąć jednym spojrzeniem i z łatwością znalazł wewnętrzną prawdę jej istoty; samemu mówiącemu autorka nie pozwala przecież najczęściej wniosków już skutecznie sformułować. Co pobudziło Orzeszkową już raz drugi (jak w czasie pisania powieści historycznych), do opuszczenia gruntu rzeczywistości? Domyślać się możemy z wielkim prawdopodobieństwem, iż wpływy literackie oddziaływały na tę częściową zmianę kierunku tworzenia. „Melancholicy“ ukazywać się zaczęły mniej więcej w czasie największego rozgłosu Bourgetowskiego „Ucznia“ i zaciętych sporów, przez to dzieło wywołanych. Jeśli mamy zaufać wskazówkom „bilansu literackiego“ w jubileuszowym numerze „Kraju“ dla Orzeszkowej, najwcześniejszą z całego cyklu jest „Jedna setna“ (1888). Bohater tego obrazka znajduje się w tak blizkiem pokrewieństwie, nawet ze względu na formę pamiętnikową, z późniejszą nieco kreacją Sienkiewicza (Płoszowski), jakby obie te postacie wspólny miały początek. Jak i Płoszowski, nie posiada on dogmatu życiowego, a nawet religijnego, i wyraża to temi samymi niemal słowami, co słynne: nie wiem! W usposobieniu jego dostrzegamy wyraźną skłonność do analizy. Obaj zarówno rządzą się zachciankami, łączy ich to samo przyzwyczajenie używania, ta sama kosmopolityczna gleba kształciła ich umysły i serca, i na tym samym wzrastali terenie egzotycznym. Nęka ich jednostkowy, a nigdy nienasycony głód wrażeń, i odznacza jeszcze jedna, wspólna właściwość, u Orzeszkowej mocno podkreślona: wielkie zasmakowanie w wytworności, która staje się hamulcem moralnym, gdyż zniewala do zachowania jakiejś miary nawet w szaleństwach i zepsuciu. Oczywiście idea i oświecenie typu jest całkiem odmienne u obu pisarzy. Nie szczęściem bohatera „Jednej setnej“ nie jest zgoła przeanalizowanie; na naukę, nie wiele z nią mając wspólnego, gromów nie ciska; jest on chory na bezwolę nie przez rozkładowe działanie nauki współczesnej, lecz iż warunki wychowania i późniejszego otoczenia pozostawiły na stanowisku, „Jednej setnej“ te zaczątkowe stany uczuć i te niewyraźne, słabo odzywające się popędy, na których jedynie, gdyby się wzmożyły, ugruntować się może dogmat życiowy.

W zasadniczych rysach ten sam typ powtarza w swej osobie Zdzisław Groszowski z „Dwu biegunów“, lecz z postaci tej zbyt już wyraźnie przegląda p. Leon, i okoliczność ta odbiera mu znamiona oryginalności; jako esteta jest on cokolwiek sztuczny i nieszczerzy. Zresztą bohater Orzeszkowej nie jest zgoła kopią bezwiedną. Podobieństwo swe z Płoszowskim zawdzięcza wyraźniej woli autorki. Chciała ona wprowadzić do swej powieści sienkiewiczowski charakter, lecz w innym oświetleniu, pragnęła z innej strony, niż autor „Bez dogmatu“, poddać rozbirowi to samo zjawisko społeczne. Lecz stąd właśnie pochodzi pewna suchość tonu, przewaga oddana rozumowaniu nad obrazowaniem, sztywność postaci i geometryczna prawidłowość budowy. Gdzieś Płoszowski mówi o sobie i o Anielce: my z Anielką stanowimy „Dwa bieguny.“ On siłą krytycyzmu rozkłada i obala wszelkie wiary, jego ukochana nawet myślą uświęconych ołtarzy tknąć nie śmie. Orzeszkowa inaczej pojęła Płoszowskiego. Dla niej nie jest on męczennikiem myśli, lecz sybarytą, a przeestetyzowanie i przeanalizowanie jego uznała nie za przyczynę, lecz za skutek. Wynikiem takiego poglądu była zniżka wzrostu bohatera. Tak zrozumiawszy melancholię natur podobnych Płoszowskiemu, gdzieindziej też umieścić musiała przeciwległy biegun i zaznaczyła to, obierając za tytuł wyrażenie Płoszowskiego. Bohaterka jej nie jest bierną, pomimo swych dogmatów, Anielką, chłonącą jeno promienie, padające od mężczyzny. Seweryna Zdrojewska, jeśli użyjemy terminologii autorki „Dobrych par“, posiada nie tylko serce, rozbudzone w niej przez Zdzisława, lecz i duszę,—duszę uspołecznioną w stopniu wysokim, i dlatego ofiarność i ideały nie są wyrozumowaniem jeno przekonaniem, lecz częścią jej istoty, żywiołem, przez który tylko i w którym oddycha i żyć może. Gdy tedy u Sienkiewicza kochającą parę roztrąca zachcianka, kaprys i wypadek, tu dwoje ludzi odrywa od siebie swe serca, gdyż jest to koniecznością nieuniknioną ich natur. Seweryna może być nieszczęśliwą, lecz nie będzie pessimistką; Gronowski zaś, pomimo całkowitej swej wolności od wszelkich obowiązków, więc i przymusu, z rozwiniętymi żaglami wpływa na morze nudy i zniechęcenia. Jest on „melancholikiem“. Analiza Orzeszkowej więcej mi przemawia do przekonania, niż filozofia „Bez dogmatu“, lecz jako kreacya artystyczna Zdzisław ustępuje Płoszowskiemu, a jeszcze w wyższym stopniu Seweryna—Anielce. W szeregu melancholików i melancholiczek najpiękniejszą jest „Ascetka“. Już od pierwszej karty przykuwa naszą uwagę śliczny opis uroczystego nabożeństwa, a zajęcie to utrwała głębokie zrozumienie duszy „ascetki“, jej walki wewnętrzne na tle spokojnych scen życia klasztornego.“

W „Melancholikach“ celem bezpośrednim jest rozbiór przyczyn, które stwarzają zniechęcenie, przybierające szatę wyrozumowanej teorii, ucieczką zaś przed marami znikomości życia i śmierci, jeżeli tylko odwrót nie przecięty, jest przejęcie się ideałami czynnej miłości chrześcijańskiej. W innym cyklu, którego najświeższe echo słyszeliśmy niedawno w obrazku „Kiedy u nas o zmroku...“, a który pozwolimy sobie nazwać „australskim“ — gdyż poruszane obecnie zagadnienia najobszerniej rozwinięte w „Australczyku“ — w cyklu, do którego należą „Bracia“ i większość „Iskier“, ów ogólnikowy nakaz miłości chrześcijańskiej przeistacza się w określoną ideę społeczną. I tu spotykamy znowu „Melancholików“, lecz wyznaczono im stanowisko podrzędne, punkt zaś ciężkości przeniesiono na obowiązki jednostki względem ziemi rodzinnej. Jakkolwiek zbiorek „Iskry“ ukazał się dopiero w r. 1898, mieszczą się tu rzeczy niemal o dziesięć lat wcześniejsze. Cykl rozpoczął się obrazkiem „Daleko“, w którym ubogi student, Poleszuk, „jak ten liść“, od macierzystego pnia oderwany, ginie „daleko“ pod zimnym podmuchem wiatru północnego. Zwraca tu na siebie uwagę śliczny „nastrojowy“ krajobraz. Jest to bezwątpienia echo jednej z dalszych wycieczek Orzeszkowej ze swego zakątka. Odtąd często widownię powieściową przenosi ona daleko poza granice wsi litewskiej i najbliższego miasta, czego dotąd u niej nie spotykaliśmy. W nadmorskiem mieście spotykają się dwaj rozbitkowie w „karyerach“: tam też rozpoczyna się opowieść o „Australczyku“. W pogoni za „pasztetem“ spotykają się dwaj wychodźcy z zakątka litewskiego w Wiedniu („Liść uschły“); Anna Lipska zachwyca wybredną publiczność tej właśnie stolicy („Krzak bzu“). Nic dziwnego, iż obecnie przenosimy się na grunt egzotyczny. Podstawą wszystkich tych mniejszych i większych utworów jest spostrzeżenie, iż w społeczeństwie naszym często, nazbyt często jednostki zdolne i energiczne, puszcza się w świat szeroki, nie kawałka chleba szukając, bo mogliby go mieć w domu, lecz „pasztetu“, więc dostojęństw, zaszczytów, bogactwa; wsiąkając cząstką krwi i siły w obce społeczeństwa, ubożąc różnostronnie własne, tak ubogie, tak czynnej służby wszystkich swych dzieci potrzebujące; a gdy nawet padają w drodze do upragnionego celu, jeszcze ciałami swemi użyzną cudzą niwę, dla swojej zaś są zawsze „Australczykami“, bo jakby dzieci, jakby z innej części świata przybyli, zerwawszy węzły serdeczne z swym krajem, nie rozumieją mowy jego mieszkańców, ani szeptu jego ziemi. A jednak w sercu ich istnieje jakaś „jedna setna“, jakaś „iskra“ tęsknoty, która nawet w pomyślności rozrasta się coraz mocniej, budzi z przeszłości obrazy i wywołuje z mroku widma pustki i osamotnienia. Uczucie to wybucha najpotężniejszym akordem

w „Śmierci domu“. Melancholia tedy australczykowskiego cyklu jest dwoiście zabarwiona.

Dążeniu coraz wyżej ku „pasztetowi“ autorka przeciwstawia upór „Grzybów“, którzy wyrzekają się „karyery“, odpowiedniej swym zdolnościom, i szczęśliwymi się czują, kiedy dla otoczenia swego stają się lampką, rozświecającą ciemności. Obowiązek taki uświadomiła sobie w pełni i w czyn wprowadziła Seweryna Zdrojewska. Idealem jej jest: utrzymanie i przekazanie spuścizny następnemu pokoleniu, podniesienie kultury materialnej kraju, wreszcie ogólnie cywilizacyjne posłannictwo wobec ciemniejszych, uboższych i mniej uświadomionych. Bohaterka więc „Dwu biegunów“ jest przeciwieństwem „Australczyków“, lecz Zdzisław, jakkolwiek melancholik, jeszcze nie jest Australczykiem, ani „argonautą“, nie upęda się za „pasztetem“; i dlatego powiedziałem, że dwa prądy twórczości krążą się w pierw, nim spłyną w jeden.

Idealy „Dwu biegunów“ ulegają pewnemu przekształceniu w „Australczyku“, stają się one surowszemi i bezwzględniejszymi. Powieść, jak już nadmieniliśmy, rozpoczyna się w jednym z większych miast. Są to kartki pod względem artystycznym najpiękniejsze. Świetnie tu skreślono środowisko urzędnicze i plutokratyczne, jakkolwiek pochwycone w jednej odświeżonej chwili. Zwłaszcza rozmowa Romana z wpływowym dostojnikiem jest szczytem doskonałości pod względem plastyki i subtelnej ironii. Nie mniej prawdziwy i głęboki jest obraz duchowych wahań bohatera, który zaczyna doznawać głuchego niezadowolenia, spowodowanego pustką życia, jakkolwiek życie to po brzegi wypełnione jest natężoną pracą i uciechami; on jednak tłómaczy sobie swój stan szczupłością środków materialnych i niemożnością użycia w szerszym zakresie. Tęsknota popędziła go w zapadły kąt prowincjonalny. Jesteśmy w Darnówce wśród dziwnego grona. Naprawdę dziwnego. Do zadań, wziętych na siebie przez Sewerynę Zdrojewską, dodano tu jeszcze nowy obowiązek: własnoręcznej, fizycznej pracy. W tem ascetycznym przebraniu zasada wrastania „grzybem“ w glebę rodzinną staje się odwrotnością zwykłej dążności „Australczyków“, którzy ciężar powinności zrzucić z siebie usiłują i obawiają się wszelkiego ograniczania swych upodobań. Mimo to cel wyrzeczeń się w tym stopniu, jaki dla mieszkańców Darnówki staje się niezbędnym warunkiem godziwego życia, cokolwiek niejasnym wydać się musi zarówno czytelnikom, jak Romanowi. Od sposobu postępowania nie mniej dziwne jest słownictwo, stale przez rodzinę Darnowskich używane. Słyszymy tu co chwila o „zakasywaniu rękawów do robót prostych“, dowiadujemy się, iż zakasywanie takie jest „służbą bożą“, „parobkowaniem prawom bożym“ i t. p. Czy to

wszystko nie jest odgłosem propagandy Tolstojowskiej, odgłosem przekonania, iż w ten sposób tylko można zachować czystość duszy, stać się osobiście doskonałym i zwalczyć w sobie popędy próżności? Lecz Tolstoj jest przede wszystkim indywidualistą, Orzeszkowa ma na widoku cele społeczne... Ostatecznie Risztan Sieroszewskiego pouczyć nas może, jaki koniec wzięła-by „służba boża“ tego rodzaju.

Powieść w głównej swej „darnowieckiej“ części posiada dużo stron ujemnych. Nie jest ona obrazowaniem stosunków i ludzi rzeczywistych, lecz raczej nauką moralną. „Australczyków“ swych autorka obdarza tak wielkim daltonizmem na pewne rzeczy, do tyła im każe być naiwnymi, iż stają się oni już istotnie dzikimi. Bo jakże ich nazwać inaczej, jeżeli używają takich naprzykład argumentów dla obrony własnych i zwalczenia cudzych, filantropijnych, powiedzmy, dążeń: „Motorem świata jest energia świata, w pewnej mierze bezwzględna; osiami, dokoła których się obraca, są: bogactwo i potęga. One tylko są s z a n o w a n e“... Ktoś, oddany bezinteresownie nauce, więc „pasztetu“ nie ceniący, ani się oń dobijający, z namaszczaniem powiada o jednym z argonautów, iż działa w nim „jakiś duch, pchający do wiecznego dążenia na przód. Daleko też zaszedł i dojdzie jeszcze dalej(!). Za lat niewiele będzie to fortuna bardzo wielka i imię bardzo głośnie“. Lecz kardynalnym błędem powieści są dzieje duchowego nawracania się Romana na „służbę bożą“. Analiza tu nie dorównywa w najmniejszym stopniu rozbirowi psychologicznemu we wstępie. Roman wciąż nie może zrozumieć nie tych, lub owych szczegółów, choćby bardzo ważnych, lecz samej zasady postępowania swych krewnych! a przecież był kiedyś uczestnikiem kółka ideologów! I kiedy czytelnik nie może się pogodzić tylko z ascetyzmem w Darnówce, z jednostronnością panujących tam pojęć o życiu złem i dobrem, kiedy jednym słowem w czytelniku odbywa się walka w dziedzinie uczuciowej, Roman obraca się wśród wątpliwości ściśle rozumowej natury.

Wszelako, mimo wytkniętych braków, utwór Orzeszkowej wywiera na liczną rzeszę czytelników wrażenie bardzo silne. Powód łatwo zrozumieć: Autorka dotknęła rany rzeczywistej i bardzo bolejącej.

Bo iluż-to wśród nas Australczyków! I nie jeden ze słuchaczy Orzeszkowej, czy ze względu na obecne swe położenie, czy mocą wspomnień, czy wprost mocą współczucia, widzi siebie, jak Roman, na bezdrożu, i waha się nad wyborem dalszej ścieżki: „pasztet“ czy „służba Boża“? Spotykaliśmy idealistów, którzy z różnych powodów, nie tych, co Darnowscy, lecz i nie

z krańcowo odmiennych pobudek, marzyli o „zakasywaniu rękawów do robót prostych“. Lecz tu nie o przekonanie myślowe chodzi. Na ideał zgoda zupełna; za myślą idzie postanowienie... lecz tu właśnie ogarnia nas lęk. Przecie tu całą naturę swą przeistoczyć nam wypadnie, zerwać z większością swoich upodobań i przyzwyczajzeń. Jest to instynktowe cofanie się całego naszego ustroju przed nieznaną przyszłością, przed ciężarem nad siły, jest to objaw zwykłego popędu samozachowawczego. Nie pasztetu nam szkoda, lecz straszno jest przetrzucić się gwałtownie z jednego żywiołu do drugiego, bo czyż nawet rozmyślanie o „zakasywaniu rękawów“ (właśnie dlatego, że r o z m y ś l a n i e) nie stanowiło tylko cząstki naszej zwykłej atmosfery, z którą rozbrat wziąć teraz wypadnie? A trzeba dodać jeszcze, że Darnowscy narzucają swe poglądy z surową bezwzględnością, nie uznając wcale różnicy natur i upodobań. Otóż ta sprzeczność pomiędzy teoretycznym poznaniem ideału „służby bożej“, a wewnętrznym żywiołowym protestem naszego ustroju jest jednym z ważniejszych pierwiastków wrażenia „Australczyka“. Z pomienionego względu jest to utwór w ostatnim okresie najważniejszy i najbardziej znamienity, i dlatego nadmiernie może rozszerzyliśmy nad nim swe uwagi.

Najświeższe dzieło Orzeszkowej: „Argonauci“, jest z pewnością w zbyt świeżej pamięci czytelników, bym potrzebował przekonywać ich, że i ta powieść poza granice cyklu australczykowskiego nie wykracza. Nowością jest tu próba odzwierciedlenia nowszych objawów estetyczno-etycznych. Modernizm, dekadentyzm, nastrój, prerafaelicy, nazarejczycy i t. d., wszystko to co chwila nawija się nam na oczy. Moderniści z zasady żadnych społecznych obowiązków nie uznają, jest to tedy doskonały na Australczyków materyał. Dwaj z nich: bar. Emil Blauendorf i Maryan Darvid, dla zdobycia milionów mają handlować pamiątkami ojczystemi, i nie drgnęła w nich żadna struna serdeczna. Sądzę atoli, że nowe te prądy usuwają się z zakresu bezpośredniego spostrzegania autorki. Już niepotrzebnie w „Liściu uszłym“ uczyniła ona Garskiego—U e b e r m e n s c h e m. Karyera i Nietzscheizm nic nie mają z sobą wspólnego. Podobnie i teraz, według mego zdania, nie było konieczności naglącej utożsamienia choćby najbardziej krańcowego i antyspołecznego dekadentyzmu z sybarytyzmem bardzo pospolitej miary i z „argonautyzmem“ w dodatku. Są to pierwiastki całkiem sobie obce, a choćby ich zlanie się istotnie kiedy nastąpiło, nie było-by, bądź co bądź, zjawiskiem typowym. Orzeszkowa popełniła obecnie ten sam błąd, co niegdyś w „Widmach“ i „Bańce mydlanej“. „Argonautów“ nie możemy uważać za prawdziwe zobrazowanie nowych kierunków naszego umysłowego życia.

Do tegoż kręgu, co wszystkie powyższe utwory, należy „Pieśń przerwana” i osobą bohatera, który jest melancholikiem i analitykiem, i przeciwstawnością „dogmatu” Klary bezdogmatowości ks. Oskara. Niema tu więc nowych charakterów; te same sytuacje spotykamy u różnych pisarzy i samej Orzeszkowej; niektóre rysy w postaci księcia są zbyt pośpieszne i wadliwe, wskutek tego i zakończenie jest cokolwiek sztuczne i nazbyt zgrzytliwe. A mimo to jest to jeden z najśliczniejszych utworów naszej autorki, któremu równego w ostatnim okresie nie znajdujemy. W świetle porankowem skąpana, a malowana barwami dyskretnymi, wywołującemi w optycznej swej mieszaninie efekt nieporównany, sielanka ta tchnie taką przedziwną świeżością, tak cudownym i poetycznym czaruje nas urokiem, że stanowi dyament najcudniejszy, i gdyby go zabrakło w skarbcu znakomitej autorki, natychmiast jego stratę postrzedz-byśmy musieli. Drukowana niedawno w jednym z pism „Zagadka”, jest jakby tęcząwą iskrą z tej świetnej, ognikami migocącej strugi, która się zowie „Pieśnią przerwana”.

Na zakończenie nie będę streszczał i powtarzał wniosków, które w ciągu swej pracy w stosownych miejscach rozwinać usiłowałem. Pragnął-bym jedynie dotknąć obecnie roli pierwiastku myślowego wśród innych składników twórczej siły Orzeszkowej. Czy istotnie jest ona przeważnie tendencyjną powieściopisarką, jak to bardzo często o niej mówią, skąpo uposażoną w inne pierwiastki artyzmu? Chmielowski, zgodnie z dążeniem całej swej działalności pisarskiej, podkreśla nadewszystko poczucie obywatelskie autorki. Inni powtarzają za nim to samo, lecz nie tak samo. „Treścią talentu Orzeszkowej nie jest artyzm, to jest poczucie harmonii, linii, barw, kształtów; stanowi go pierwiastek refleksyi i chęć służenia użytecznie ogółowi”. Można jej zarzucić to a to, należy a to li uchylić czoło przed ogromem myśli i t. d. Nie stworzyła ona typów, które-by się stały własnością literatury. „Nigdy nie będziemy upajać się utworami Orzeszkowej, ponieważ nie dźwięczą one zapalem artystycznym, nie nęcą powabem, nie czarują polotem poetyckim, nie posiadają świetnego kolorytu i stylu”. Komuś Orzeszkowa w „Australczyku” ukazuje się „jak zwykle, jest to nadzwyczaj rozumna kobieta, która opo-

wiada głosem nieco jednostajnym rzeczy bardzo mądre". Ślicznie! I tę „jednostajność“ krytyk spostrzegł właśnie w „Australczyku“, utworze wprost „irrytującym“, i właśnie irrytacją tą oddziaływającym!.. Więc zawsze rozumna myśl, zawsze chęć użyteczności, nigdy konieczność myślenia i czucia, tak nie inaczej, nigdzie zapалу artystycznego i poezyi?

Z tych wszystkich sądów jeden szczegół trafnie spostrzeżonym nam się wydaje, a to, że Orzeszkowa w porównaniu z autorem „Quo vadis“ nie posiada wyobraźni tak giętkiej i barwnej, jak on, więc i nie mogła-by rozwinąć szeregu scen, uderzających gorącym kolorytem, i niezwykłością, i różnaitością ich powiązania. Taką przewagę miał naprzykład Słowacki nad Mickiewiczem i Krasińskim, a no, tym ostatnim wcale niepoślednie miejsce wyznaczono. I jak nie znamy dotychczas ani jednej epepei, gdybyśmy tem mianem obdarzyć chcieli tylko dzieło, obejmujące życie narodowe wszechstronnie, w ścisłem słowa znaczeniu, tak też nie powstał dotychczas artysta, który-by w duchu tym skupił i rozwinął do jednostajnej potęgi wszystkie siły twórcze, wszystkie pierwiastki artyzmu. Więc naprzykład gdyby prawdą było, iż Orzeszkowa nie stworzyła żadnego typu, gdybyśmy mogli zapomnieć o Chamie, o France, o matce „Jędzy“ i tylu innych, czyżby to było probierzem talentu? Zresztą zagadnienie powszechności typów, które są przywilejem znacznie częściej dramaturgów, niż poetów i powieściopisarzy, zdaleko-by nas zaprowadziło. Trudno także dowodzić polotu poetyckiego, jeżeli się go kto nie doszukał w „Meirze“, w „Dziurdziach“ „Mirtali“, „Pieśni przerwanej“ i t. d. Coby oznaczać miało w powieści obyczajowej poczucie harmonii, linii, barw, kształtów—dochodzić nie będziemy. Lecz jeżeli, zgodnie z określeniem współczesnych estetyków, nazwę piękna przeniesiemy z przedmiotu na podmiot, jeżeli dziełem sztuki nazwiemy w z r u s z e n i o w y wyraz osobistości ludzkiej, a jej celem — objęcie naszej istoty wzruszeniem twórcy, jeżeli wogóle gdziekolwiek i kiedykolwiek najwyższe hołdy ludzkość składała u stóp tych, którzy nie łechtali nerwów i nie pieścili oka misternem połączeniem esów i floresów, lecz uczucia swe potężne i ogromne przelewali w serca słuchaczy, wstrząsając głębokim pokładem ich duszy, to Orzeszkowa zawsze będzie uważana za artystkę w najwyższem tego słowa znaczeniu. Nawet w najwcześniejszym okresie, kiedy w kształtach niedoskonałych opowiadała nam o losach Marty lub Kamili w „Panu Grabie“, nawet wtedy nie dlatego naucza nas, że poszukuje wokoło siebie tematu do moralów, lecz że musiała znaleźć rozwiązanie męczących ją zagadek; i nie dlatego jeszcze nas uczy, iż chciała-by rozrzewnić niedolą Krystyny w „Nizinach“,

lub nieszczęściem Pietrusi w „Dziurdziach“, lecz że w piersi swej odczuła niewidzialne oczom dramaty. Uzbierała olbrzymi zasób spostrzeżeń nie dlatego, iż potrzebowała „dokumentów“ w myśl zasady powieści naturalistycznej, lecz że życzliwość dla ludzi ciągnęła ją ku nim i czyniła ciekawą ich życia, ich sposobu myślenia, ich radości i boleści, ich tęsknot i ideałów. Jej tradycja zrodziła się nie w suchem poczuciu obowiązku, lecz w jej sercu miłością i litością wezbranem. I dlatego „pisarze polscy“ ofiarowali jej „Upominek“ — „za działalność płodną, za pracę ogromną, za miłość gorącą“... „Nie najostatniejsi my, nienajpodlejsi jeszcze, jeśli takie wyhodowaliśmy serce“... Czyje to słowa i do kogo zwrócone? Nie pamiętam, ale wiem, iż tu są one na miejscu właściwym.

A. DROGOSZEWSKI.

Agenor hr. Gołuchowski

w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859).¹⁾

(Sprawy ekonomiczne).

Jakby złem przecuciem wiedziony hr. Gołuchowski w powyższym memoryale przedstawił, że kommissya dla pracy indemnizacyjnej nie powinna być samodzielna, lecz stanowić tylko departament Namiestnictwa. Ale wszechwładny Bach, właśnie dla podwyższenia wszechwładztwa swojego, obmyślił taką organizację kommissyi indemnizacyjnych, aby one jako wydziały ministeryalne jemu bezpośrednio podlegały. Naczelnikiem galicyjskiej kommissyi ustanowił swojego zauszniaka, Józefa hr. Kalchberga, którego intrygi dotkliwie dały się uczuć hr. Gołuchowskiemu, chociaż ten zauszniak Bacha piastował równocześnie posadę wice-prezydenta Namiestnictwa, więc hierarchicznie podlegał Namiestnikowi. Ale ponad wszystkimi troskami w sprawie indemnizacyjnej górowała sprawa pieniężna. Zapanowa-

¹⁾ Patrz zeszyt wrześniowy.

ła bowiem pod tym względem w kraju sytuacja niepokojąca. Szlachta nie posiadała takich funduszków, jakich wymagało przejście gospodarstwa rolnego z ustroju pańszczyźnianego w tryb nowy, a wobec nieokreślonego terminu wymiaru i płatności indemnizacji, uzyskanie kredytu było wprost niemożliwe. To też we wszystkich ówczesnych petycjach szlachty w tonie niemal błagalnym ponawia się prośba o przyśpieszenie sprawy. A rząd centralny długo był głuchy na tę prośbę, chociaż hr. Gołuchowski każdym razem jaknajdobitniej jej uwzględnienie zalecał.

Tak pod tym względem obojętny był rząd centralny, że nawet odmowne stanowisko zajął wobec poruszonej jeszcze za gubernatorstwa Wacława Zaleskiego prośby, aby, celem wcielenia W. Ks. Krakowskiego do zakresu galicyjskiego Towarzystwa Kredytowego ziemskiego, państwo zgodziło się na rozciągnięcie poręki na dobra skarbowe i duchowne, w tej części kraju położone.

Wskutek rozstroju, jaki zapanował w czasach porewolucyjnych w całej machinie administracyjnej, przeprowadzenie aparatu indemnizacyjnego i serwitutowego przewlekło się całe lata. W danej chwili zwłokę tę uczuwano w kraju dotkliwie, więc zakrawać to będzie na paradoks, jeżeli powiemy, że miała ona swoją dobrą stronę, oczywiście dobrą nie w tem znaczeniu, żeby stąd spływać miały jakie pozytywne korzyści dla kraju, lecz tak pojmowaną, że z dwojga złego stanowiła ona złe mniejsze od tego, jakie zająć mogło. Zwłaszcza dziś, gdy już można w całości zmierzyć niekorzystne następstwa zwłoki z temi skutkami niepomysłnemi, które wśród danych warunków pociągnęło-by było za sobą bezwzględne przystąpienie do przeprowadzenia sprawy indemnizacyjnej i serwitutowej, twierdzenie powyższe nie powinno wydawać się paradoksalnem. Największe bowiem wyteżenie tak niezwyklej energii i bystrości w czuwaniu nad wszystkiemi niemal pomniejszych sprawami krajowemi, jakiej dowody składał hr. Gołuchowski na każdym kroku, nie mogło-by było zabezpieczyć dobrego przeprowadzenia operatu indemnizacyjnego i serwitutowego, dopóki cały ustrój administracyjny na prowincyi znajdował się w stanie tak oplakany, w jakim go zastał nowy naczelnik kraju, po zbombardowaniu Lwowa i instalacji rządów reakcyjnych w całym państwie.

W pierwszej chwili po dorywczem zniesieniu pańszczyzny i obaleniu całego ustroju patrymonialnego, administracja Galicyi u dołu znajdowała się w stanie zupełnego rozprzężenia: główny jej organ i filar zarazem, władze obwodowe, zapełnione były personelem starej daty, złożonym w większej części z urzędników, z których wielu miało ręce splamione w wypadkach i machinacjach r. 1846. W tym per-

sonelu starej daty wyjątkowemi były osobistości pojmujące urząd jako pełen odpowiedzialności zawód publiczny, administracyę zaś jako działanie prawne, obliczone tylko na dobro publiczne, a w jego ramach i na dobro jednostek.

Typową figurą urzędów obwodowych był obcy przybłęda, lub wyrodny syn kraju, któremu, nie z własnego zresztą natchnienia, lecz z podsużceń, za czasów br. Kriega wpojonych, wbiło się w ciasną głowę i twarde sumienie to przekonanie, że spełnia misyję zbawczą dla monarchii, jeżeli wszystko tak nastroi i nakreśli, żeby cios ugodził w jądro spiskującej polskości, w szlachtę, a chłop, jako podpora państwa i filar rządu, był nie tylko ciągle kosztem szlachty premiowany, lecz nadto utrzymywany w ciągłej zawiści ku tej szlachcie. Całe to stado drapieźników biurokratycznych wkrótce przed mianowaniem hr. Gołuchowskiego naczelnikiem kraju wzbijało się (w r. 1848) do lotu za zerem i w niektórych okolicach Galicyi, gdzie agitacya między ludnością wiejską w ostatnich chwilach rządów hr. Stadioną, na tle sporu polsko-ruskiego, najwięcej wybujała i zdawała się już być blizką wybuchu.

Jeżeli hr. Gołuchowski w latach 1849—1850 szczerze pragnął przyspieszenia akcji indemnizacyjnej i serwitutowej, to w chwili, gdy się rozpoczęła organizacya nowego ustroju władz administracyjnych i sądowych, a razem z nią wypadło dokonać rewizyi i oczyszczenia personelu urzędniczego, mógł zachwiać się z tem życzeniem, i w duchu może wdzięcznym był rządowi centralnemu, że powyższą akcyę poprzedziła kierowana przezeń organizacya władz krajowych i powiatowych.

Zasilenie personelu urzędniczego w procesie organizacyi żywiołem nowym, uczciwym, chociaż pod względem politycznym dalekim jeszcze od jednolitości ze społeczeństwem, miało wśród tych stosunków dla ekonomicznych i społecznych interesów Galicyi, a szczególnie dla sprawy indemnizacyjnej i serwitutowej, znaczenie wyjątkowej doniosłości, chociaż współczesne pokolenie może nie umiało tego należyte ocenić.

Nie można mu z tego powodu czynić zarzutu, bo w takim stanie przygnębienia i apatyi, w jakim się ono znajdowało, zmysł krytyczny w zakresie spraw publicznych musiał być stępiony. Dziś jednak, kiedy nad przejściami pańszczyzniano-serwitutowemi zamknęły się już księgi rachunkowe w materyalnym i moralnym tego słowa znaczeniu, należy powyżej zaznaczoną doniosłość podnieść i bodaj pobieżnie objaśnić.

W okresie czasu, jaki upłynął od dorywczego zniesienia pańszczyzny z pozostawieniem służebności, aż do zlikwidowania indenni-

zacy i następnego rozpoczęcia rozpraw serwitutowych, więc w okresie obejmującym siedem lat, dwory wystawione były na rabacę, nie taką wpawdzie hajdamacką i krwawą, jaką przebyły w 1846, lecz czysto ekonomiczną, spokojną, nawet pozorami legalnego stanu osłonią, ale o tyle groźniejszą, że gdyby równocześnie hr. Gołuchowski nie był przerwał smutnych tragedii biurokracyi Kriegowskiego autoramentu, najpierw częściowem oczyszczeniem urzędów administracyjnych ze złych żywiołów, a potem energicznem i na kilku przykładach dyscyplinarnych dobitnie zaznaczonem zerwaniem z temi tradycjami, to i wtedy jeszcze ruina szlachty była-by się dokonała tak, jak sobie tego życzyły dawne rządy jawnie, a rządy Bacha skrycie i podstępnie.

Wiemy już z poprzednio przytoczonych rozporządzeń hr. Gołuchowskiego, jak zagrożoną była cała kultura leśna w pierwszej chwili po zniesieniu pańszczyzny. Jeżeli temi rozporządzeniami miała ona być zaslonioną przed serwitutową żarłocznością gmin wobec lasów i łąk dworskich nie chwilowo tylko, lecz trwale, aż do wykupna i regulacyi, to władze musiały nieustannie czuwać nad dworami, usmierać tę żarłoczność środkami pokojowemi, w danym razie repressyjnemi, nieraz lawirować przy pomocy kompromisowego pośrednictwa, a w każdym razie godziwem i taktownem postępowaniem wypełniać tę wielką lukę prawną, jaką wytworzył patent pańszczyźniany, pozostawiający służebności w mocy prawnej bez określonego z góry planu i terminu uporządkowania sprawy. Chcąc cel ten osiągnąć, hr. Gołuchowski, krępowany, nawet ubezwładniony w akcyi przez Bacha, z powodu scentralizowania sprawy w ministerjum, musiał, wbrew starorzymskiej zasadzie rządowej (*praetor minima non curat*), czuwać nad wszystkimi sprawami, doglądać wszystkiego, wchodzić we wszystkie nawet drobne szczegóły spraw tej kategorii, o ile jedna i druga w krytycznym zwrocie groziła chociaż-by tylko lokalnem zamęceniem z trudem utrzymywanego stanu zawieszenia broni między dworem a gminą.

Z tych czasów i z późniejszego okresu spraw serwitutowych utkwiły w pamięci i przeszły w tradycję głównie te wszystkie niesłuszności i dowolności, jakie pociągnąć musiało za sobą przeprowadzenie programu, z Wiednia narzuconego, pod przewodnictwem również z Wiednia narzuconego wiceprezydenta Namiestnictwa, a zarazem samodzielnego kommissarza ministeryalnego dla sprawy indemnizacyjnej i serwitutowej, hr. Kalchberga, w którym hr. Gołuchowski widział tak niebezpiecznego antagonistę, że—jak to zapisuje jeden z powierników hr. Gołuchowskiego na podstawie jego zwierzeń

prywatnych (Ksawery Abancourt w dziele „Era Konstytucyjna“), —na czas wyjazdu zamykał przed nim na klucz ważniejsze akta urzędowe.

Ile złego jednak w powyższy sposób zażegnał hr. Gołuchowski swoją osobistą zabiegiwością i energiczną czujnością, tego tradycja nie przekazała pamięci współczesnego pokolenia, a pamięć o tem gaśnie już nawet w kołach urzędniczych, w miarę, jak ubywają weterani i współpracownicy z tej doby.

Nie lepiej rzecz stała z indemnizacją. Była ona formalnie zapewniona patentem cesarskim, więc postanowieniem prawnem, ale zapewnienie to nie wzbudzało wiary tak dalece, że we współczesnych koniunkturach wcale jej nie brano w rachubę, albo raczej brano o tyle tylko, o ile stąd wynikały nowe ciężary i nowe niebezpieczeństwa dla prawidłowego rozwoju stosunków gospodarczych. Rząd bowiem zaprowadził dodatki do podatków na cele indemnizacyjne *via facti*, bez ustawy, zanim jeszcze zaczęto likwidować wynagrodzenia należne właścicielom dóbr (dr Zyblikiewicz „Indemnizacja“), a nieuniknione następstwa dorywczego zniszczenia pańszczyzny, mnóstwo w zawieszeniu pozostawionych pretensyi wzajemnych włościan i dziedziców (z tytułu zaległości pańszczyźnianych, zwrotu zapomóg, uroszczeń gruntowych itp., z czasów przed wydaniem patentu pańszczyźnianego), przypominały się na każdym kroku, jakby odgłos dawnej, przez staroaustryacką biurokracyę wywołanej i starannie podtrzymywanej, waśni społecznej między dworem a gminą. Aż do wydania normy prawnej pod tym względem, co nastąpiło dopiero 28 lipca 1856. pretensye te były pozostawione niejako na dyskretyę stron interesowanych i na takt organów wykonawczych. Co najwięcej podkopywało kredyt indemnizacyi w kołach szlachty, to fakt, że nawet te mizerne zaliczki, któremi zbywano głośnie wołanie interesowanych o pomoc w ciężkiem przesileniu, udzielane były tak, jak gdyby chodziło tylko o chwilowe upozorowanie zupełnej obojętności w tej mierze.

Na mocy rozporządzenia ministeryalnego z 13 marca 1849, wysygnowano wprawdzie właścicielom dóbr, począwszy od 1 listopada r. 1848, zaliczki na przyszłe wynagrodzenie w wysokości $2\frac{1}{2}$ podatku urbaryalnego, na rok administracyjny 1847/8 rozpisanego, w pięć lat później zaliczkę ryczałtową w kilkakrotnie wyższym wymiarze już w obligacyach indemnizacyjnych; ale zaliczki te w stosunku do potrzeb gospodarstw, pozbawionych nagle bezpłatnych sił roboczych i niezaopatrzonych w gotówkę potrzebną na ciężkie czasy przejściowe, miały takie znaczenie, jak kropla wody w pustyni piaszczystej.

Zaraz przy udzieleniu tej pierwszej zaliczki postawiło ministerium zasadę wrzekomo prawną, w gruncie rzeczy negującą prawo, mianowicie, że „zaliczka ta nie rozciąga się na owe powinności urbaryalne, które posiadacze dóbr byłym poddanym swoim bezpłatnie ustąpili, tj. darowali, czy-by darowizna ta dostąpiła zupełnej mocy prawa, lub nie.“

Wprawdzie wydany 15 sierpnia 1849 roku patent o zniesieniu pańszczyzny zawiera powyższą klauzulę o wykluczeniu „darowanej“ pańszczyzny z akcji indemnizacyjnej nawet bez dalszego określenia („czy-by darowizna ta dostąpiła zupełnej mocy prawa, lub nie“); wprawdzie więc owo rozporządzenie ministeryalne osłonięte jest powagą aktu niejako prawodawczego; ale z tego szczegółu chyba ten wypływał-by wniosek, że w owych czasach nie wahano się nawet patentami sankcyonować jawnej negacji praw prywatnej natury, jeżeli to tylko leżało w tendencji danej chwili.

Ciężki ten zarzut wypada bliżej objaśnić, przyczem także okaże się, jak dalece po wydaniu tych aktów prawodawczych z negacją prawa, cała akcja indemnizacyjna, a z nią cała indemnizacja niejako zawisła w powietrzu i zdana została na łaskę, albo raczej na poczucie prawne organów wykonawczych.

Klauzula o wyłączeniu pańszczyzny darowanej z indemnizacji odnosiła się oczywiście do tego ruchu, który zapanował w Galicyi po wypadkach wiedeńskich z marca 1848 i wyraz najdobitniejszy znalazł w znanym adresie lwowskim do cesarza Ferdynanda, podnoszącym zniesienie pańszczyzny jako życzenie samego obywatelstwa, już poprzednio przez sejm stanowy wypowiedziane. W całym kraju za sprawą skrajnej agitacji w lot zawtórowano temu punktowi adresu z zamiarem natychmiastowego wprowadzenia go w życie. Zaczęło się więc owo demonstracyjne darowywanie pańszczyzny, które ówczesnego gubernatora, hr. Stadioną, tak przerażało, że w duchu widział już wybuch formalnego powstania z jednej, a ponowienie się krwawych scen r. 1846 z drugiej strony. Nie czekając tedy na dalsze instrukcje z Wiednia, skąd wogóle wtedy żadnych wskazówek nie można się było doczekać, hr. Stadion na własną rękę postanowił wystąpić przeciw tej demonstracji i wystosował 29 marca 1848 roku następujący okólnik do wszystkich starostw: „Na postawione przez niektóre urzędy obwodowe pytanie, jak się zachować mają w razie, jeżeli poszczególni właściciele dóbr poddanym pańszczyznę darują, lub jeżeli-by ogłoszono, że pańszczyzna darowana została poddanym przez właścicieli dóbr, widzę się spowodowanym postanowić w duchu obowiązujących ustaw, iż w tych wypadkach, gdy właściciele ziemscy, rozporządzający swobodnie swoim majątkiem i posiadający dobra

nieobciążone długami, oświadczą chęć darowania pańszczyzny poddanym, urząd obwodowy zachować się powinien całkiem biernie. Natomiast w wypadkach, gdy właścicielowi ziemskiemu nie służy wolna dyspozycya lub na majątku ciężą długi, pouczyć należy tak właścicieli dóbr, jak i pytających poddanych, jakie warunki ważności takiej darowizny przepisuje patent najwyższy z 1 września 1798 r., które to warunki (wymagane było według tego patentu formalne zezwolenie władzy politycznej, która przedtem porozumieć się miała z władzą sądową, co do zabezpieczenia praw wierzycieli hipotecznych i wogóle osób interesowanych), w każdym razie ściśle mają być przestrzegane.

Dalej pouczyć należy mandataryuszy, oficyalistów i dzierżawców, że narazają się na najcięższą odpowiedzialność, jeżeli-by w zarządzanych przez nich lub dzierżawionych dobrach ogłosili zniesienie pańszczyzny, nie wylegitymowawszy się przedtem w urzędzie obwodowym wyraźnie w prawnej formie wystawionem upoważnieniem właścicieli dóbr i jego zupełnem uprawnieniem do tego kroku według pierwszego ustępu niniejszego rozporządzenia.

Jeżeli zaś pokaże się, że właściciel dóbr nie może swobodnie rozporządzać majątkiem swoim i dochodami z powodu obciążenia długami lub z innych przyczyn, to zgłaszającego się dzierżawcę lub oficyalistę odesłać należy do postanowień najwyż. patentu z 1 września 1798 roku.

Przed osobami ogłaszającemi darowanie pańszczyzny w gminach bez wykazania się prawem do tego lub prawomocnem upoważnieniem należy ostrzegać tak poddanych, jak i właścicieli dóbr, wzywając gminy i dwory, aby takie osoby przytrzymywały i odstawiały do urzędu obwodowego, który wymierzać będzie kary policyjne, jeżeli nie pokażą się poszlaki. uzasadniające postępowanie według prawa karnego,“

Z całego brzmienia swojego reskrypt ten hr. Stadiona stanowi zasadniczą negacyę prawomocności aktów dobrowolnej darowizny pańszczyzny bez wiedzy, względnie bez zezwolenia władzy, gdyż nawet bierność, zalecona władzom w wypadkach darowania pańszczyzny przez dziedziców niezadłużonych i swobodnie majątkiem swoim rozporządzających, nie może być inaczej tłómaczona, jak tylko zakwestyonowaniem formalnej prawomocności takiego aktu darowizny.

Nie chodziło tutaj bowiem przecież o zwyczajne, dla władzy zupełnie obojętne darowizny prywatne, lecz o zmianę stosunków, które w panującym ustroju patrymonialnym dotyczyć musiały także całego ustroju administracyi publicznej, chodziło więc o akta publicznej doniosłości, wobec których władze ani biernie, ani obojętnie zachowy-

wać się nie mogły, jeżeli-by uznawały ich ważność i w materyalnym następstwie wysnuwać musiały stąd wszystkie konsekwencje prawne.

Jeżeli się weźmie pod rozważę tę okoliczność w połączeniu z faktem, że okólnik hr. Stadiona (z 29 marca 1848) zaledwie na trzy tygodnie wyprzedził patent o zniesieniu pańszczyzny w Galicyi (z 17 kwietnia 1848), a zanim przez starostów został całkowicie wykonany, już wskutek przyspieszonej publikacji powyższego patentu zapewne stał się według terminologii biurokratycznej „bezprzedmiotowym,” to dla prawnika żadnej wątpliwości niema, iż wszystkie wśród gorączkowego ruchu demonstracyjnego w r. 1848 dorywczo i jednostronnie ogłoszone akta darowizny pańszczyźnianej pozbawione były istotnych warunków prawomocności.

Z drugiej strony jednak sam fakt, że „prawodawca“ w normach o zniesieniu pańszczyzny wskazuje, jak postępować należy tam, gdzie „darowano“ pańszczyznę i to z dodatkiem, „czy-by darowizna ta dostąpiła zupełnej mocy prawa, lub nie,“ naprowadza na tę logiczną interpretację, że prawodawca teraz zamierzał wyraźnie objąć normami swojemi akta faktyczne, chociaż nie po formie prawnej, więc nieprawomocnie ogłoszonych darowizn, że zatem w swoje postanowienie prawne o pańszczyźnie, już w całym założeniu i w sposobie wydania polityczną tendencyą nacechowane, wprowadzić chciał także wobec demonstrującej szlachty cele kary i repressyi w materyalnym kierunku. Owe faktyczne darowizny bowiem miały charakter demonstracji politycznej, a były tak liczne, że, jak mówi dr. M. Zyblikiewicz w swojej rozprawie o indemnizacyi, „od Wielkiejnocy 1848 pańszczyzna w Galicyi na dane hasło ustala bez wszelkiej interwencyi rządu,“ gdyż szlachta „postanowiła zniesć pańszczyznę de facto, a prawne uregulowanie sprawy czasowi i właściwym czynnikom rządowym zostawić“.

Jeżeli tedy faktyczny stan rzeczy, bez względu na przedstawione powyżej ściśle prawne akcesorya, miał być stanowić okoliczność rozstrzygającą o sposobie wykonania przytoczonej normy patentu pańszczyźnianego, to wobec świadectwa d-ra M. Zyblikiewicza, opartego na współczesnych spostrzeżeniach, poczynionych przezeń z wybornego punktu obserwacyjnego, bo z bardzo cenionej własnej kancelaryi adwokackiej, szlachta mogła-by była ponieść za to karę materyalną, równającą się w danych stosunkach ruinie majątkowej. Odmówienie indemnizacyi bowiem, jako utraconej wskutek darowania pańszczyzny, było-by w niektórych okolicach Galicyi wprost regułą, a w całym kraju nie wyjątkiem, lecz wypadkiem powszednim.

Tymczasem rzecz się miała przeciwnie, bo właśnie odmówienie indemnizacji stanowiło wyjątki, nieliczne już w pierwszym stadium załatwienia spraw, a zredukowane w swej liczbie jeszcze więcej w dalszym ich przebiegu przez wyrozumiałe traktowanie przedstawień, mianowicie podań do tronu.

Z tych czasów najdłużej utrzymała się w pamięci, jeszcze za ministeryum hr. Belcredego (1866), a nawet i później wznowiona i zawsze odmownie załatwiana sprawa Ludwika hr. Steckiego z Dzieduszyce Wielkich w obwodzie Stryjskim.

Hr. Stecki, emigrant z Królestwa Polskiego, osiadły w Galicyi, był tak nieostrożny, że w chwili publikacji o zniesieniu pańszczyzny w dobrach jego przez kommissarza okręgowego, nie tylko wypowiedział w jego i chłopów obecności, lecz nawet zapisał do protokołu urzędowego te słowa: Pańszczyznę sam już darowałem poddanym i protestuję przeciw temu, aby własnością moją rozporządzał Cesarz lub minister.

Fakt powyższy jawny i ani ukryć się, ani nawet upiększyć się nie dający, pozbawił hr. Steckiego i jego spadkobierców raz na zawsze całego znacznego kapitału indemnizacyjnego.

Gdzie jednak sam rządca ogłosił darowanie pańszczyzny, a właściciel dóbr zasłonił się tem, że nie wystawił formalnego pełnomocnictwa, gdzie ogłoszenie aktu darowizny nastąpiło dorywczo i w sposób dający jakikolwiek pretekst do zasłonięcia się tem, iż tak postąpiono bez zamiaru demonstracyjnego, jedynie pod presją stosunków danej chwili i wzburzonej opinii, krótko mówiąc, gdzie zachodziła dostatecznie upozorowana wymówka, tam uwzględniano przedstawienie, jeżeli nie w toku instancyi, to w drodze łaski. A takich właśnie wypadków było najwięcej. Gdzie wreszcie nie było już żadnej racyi do uwzględnienia przedstawień w drodze administracyjnej, tam jeszcze zawsze stała otworem droga sądowa, bo zagrożony utratą indemnizacji mógł wyjść obronną ręką, jeżeli jego demonstracyjny akt darowizny naruszał prawa osób trzecich. Władza administracyjna w takich razach sama wskazywała tę drogę.

To uwzględnienie właścicieli dóbr, zagrożonych utratą indemnizacji, nie odbywało się bynajmniej drogą nadużyć, nie było aktem Wallenrodyzmu administracyjnego, lecz naturalnem następstwem zupełnej zmiany kierunku i ducha w wykonywaniu ustaw. W zakresie administracyi bowiem, do pewnego stopnia nawet w dzisiejszem państwie praworządnem, sposób wykonywania ustaw, chociaż-by one nie były tak powikłane, wprost chaotyczne, jak powyższe o zniesieniu pańszczyzny, zależy w znacznej mierze od pojęć sfer kie-

rujących, od prądu, kierunku lub nawet tendencyi stamtąd wytkniętej.

Sztab urzędniczy ze szkoły Kriegowskiej, lub nawet Stadionowskiej, byłby w powyższej sprawie intencją ustawodawcy w ten sposób tłómaczył, że skoro rząd ogłosił zniesienie pańszczyzny i jej indemnizację ze skarbu państwa, to w myśl tradycyjnej polityki, obliczonej na udręczenie szlachty polskiej na każdym kroku, należy odsądzać ją od indemnizacji wszędzie, gdzie darowiznę pańszczyzny ogłosił, nawet bez wiedzy dworu, nieznany agitator demagogiczny, a ani dwór, ani gmina nie odstawiły go w myśl okólnika Stadionowskiego do władzy obwodowej dla wymierzenia kary. W sumieniu swoim taki biurokrata byłby zupełnie rozgrzeszony, bo wpajano węż systematycznie zdanie, że szlachta polska jest filarem wszystkich spisków i powstań w Austrii, a zasilanie jej ze skarbu państwa funduszami równało-by się dostarczaniu przez samo państwo środków na własną zgubę. Po przyjściu do steru hr. Gołuchowskiego, mianowicie po dotkliwym dyscyplinarnem ukaraniu kilku wybryków administracyjnych na tem tle stwierdzonych, a jeszcze więcej po jakimś takim oczyszczeniu urzędów, przy przeprowadzeniu nowej organizacji władz, zawiął od góry inny duch po urzędach administracyjnych, a przede wszystkim znikła owa proskrypcya szlachty i wyjęcie jej interesów z pod prawa, które odtąd osłaniać zaczęło z równą troskliwością gminy i dwory.

Ta moralna i społeczna rehabilitacya prawa administracyjnego i urzędów administracyjnych, jedno z najważniejszych dzieł publicznej działalności hr. Gołuchowskiego wogóle, a z pewnością najważniejsze w pierwszym okresie jego rządów, najdobitniej wystąpiła na jaw właśnie w całym przeprowadzeniu sprawy indemnizacyjnej i serwitutowej, w tych dwu wielkich akcyach administracyjnych, na które hr. Gołuchowski szczególną zwracał uwagę, do których z całego sztabu urzędniczego zawsze najdzielniejsze powoływał siły.

Jedno fatalne pod względem ekonomicznym następstwo nieracjonalnego zainicyowania i przeprowadzenia całej tej reformy agrarnej nie dało się w pierwszych latach nowego ustroju stosunkowodwrócić i przyniosło Galicyi wielką szkodę. Niepodobna było mianowicie ocalić dla dobrobytu krajowego, tak ważnego czynnika, jakim była praca kroci rąk, wyzwolonych przez zniesienie pańszczyzny.

Zdemoralizowany przez staro - austryacką biurokracyę pod względem ekonomicznym i społecznym lud wiejski pojmował zniesienie pańszczyzny w ten sposób, że wolno mu teraz całą pracę odjętą dworowi złożyć w ofierze swojemu instynktowi próżniaczemu. Nie myślał o tem, a może nawet nie przypuszczał tego, że odtąd nie bę-

dzie już mógł w czasach ciężkich zwracać się do tych źródeł pomocy, które w okresie pańszczyźnianym stały dlań otworem we dworze, że zatem powinien teraz wyzwoloną pracę wyzyskać tak, aby z niej wy dobył rezerwę potrzebną na złe czasy. Poszedł tedy w pierwszych latach pańszczyźnianych na marne ogromny kapitał w sposób nigdy już powetować się nie dający.

Hr. Gołuchowski pragnął zaradzić złemu, wzywając starostów, aby tam, gdzie się okazał brak potrzebnego robotnika, pod groźbą przymusu nakłaniali włościan do robót na łanach dworskich za umówioną zapłatę.

W czasie przemarszu wojsk rosyjskich do Węgier środek ten okazał się, jak widzieliśmy, bardzo praktycznym, ale z chwilą, gdy Namiestnik nie mógł już zasłonić się koniecznością państwowej doniosłości, t. j. potrzebą nagromadzenia zboża i siana w wojskowych magazynach rezerwowych, nie mógł także zastosowywać środka tego stale i jawnie w formie praktyki administracyjnej, bo go śledziły na każdym kroku i przeszkadzały mu w Wiedniu złe duchy polityczne i społeczne ówczesnej doby, wywołane w kraju propagandą Rady ruskiej. Dopiero w twardej szkole niedostatku musiał chłop galicyjski odbyć tę wstępną edukację ekonomiczną, której za dawnych czasów, w okresie schlebiana jego żądzy i próżniactwu kosztem dworów, zdobyć sobie nie mógł.

A szkoła ta zaczęła się zaraz po zniesieniu pańszczyzny w całym okresie lat nieurodzajnych. Ów fasykuł głodowy, z którego na wstępie czerpaliśmy daty, objaśniające stan ekonomiczny kraju przed zniesieniem pańszczyzny, nie zamyka się z tą reformą, lecz sięga daleko poza r. 1849. Następowały po nim lata ciężkie, a rok 1853 przypominał groźbę głodową przedówku z r. 1847. Z głodu nie umierali już wprawdzie ludzie po wsiach, ale z braku żywności szerzyło się wycieńczenie fizyczne, a na tym gruncie podatnym rozwijały się rozmaite choroby, liczne ofiary pochłaniające.

Hr. Gołuchowski zerwał z dawnym, lud wiejski demoralizującym, systemem daremszczyzny, t. j. rozdzielaniem zapomóg bezzwrotnych, a natomiast wspierał potrzebujących pomocy z funduszków publicznych pożyczkami, za poręką gminy udzielanymi. Gdzie gmina nie chciała dać dobrowolnie poręki swojej, tam nakładano ją formalnym orzeczeniem z tytułu obowiązkowej opieki nad ubogimi. W ten sposób pobudzoną została czujność gmin i kontrola wobec próżniaków zdolnych do pracy, a mimo to spuszczać się całkowicie na pomoc publiczną w formie jałmużny.

Natomiast śpieszył hr. Gołuchowski z otwieraniem źródeł zarobkowania, gdzie i kiedy tylko nadarzyła się do tego sposobność

i leżało to w jego mocy. Uwaga jego zwrócona była w tej mierze głównie na drogi, w których budowie i konserwacyi z celem powyższym łączył się interes ogólnego znaczenia ekonomicznego.

Mnóstwo dowodów tej szczególnej troskliwości hr. Gołuchowskiego o stan dróg w kraju zawierają przechowywane dotąd w rządowym archiwum protokoły i akta podrzędne z czasów jego częstych podróży do Wiednia i jeszcze częstszych objazdów po kraju w pierwszym okresie rządów. Wśród takiej podróży już niejako z drogi wysyłał do starostów upomnienia, że w tem lub owem miejscu spostrzegł zły stan lub pewne niedogodności. Zawsze z takim upomnieniem łączyło się nietylko wezwanie do bezzwłocznego zaradzenia złemu, lecz nadto oznajmienie, że po upływie terminu ściśle oznaczonego sam się o tem przekona, czy polecenie zostało wykonane. Że takie oznajmienie nigdy nie było rzucone dla samego tylko postrachu, to się rozumie. W tem właśnie tkwił jeden z sekretów ówczesnej sprężystości w administracyi, że, jak już raz zaznaczyliśmy, *praetor* wbrew reguły rzymskiej—*minima curavit*, a przedewszystkiem owe *minima* dobrze w pamięci przechowywał.

Z tą wybitną troską hr. Gołuchowskiego o stan komunikacyi w Galicyi i z doniosłością tego źródła zarobku publicznego dla ludności wiejskiej w owych latach nieurodzaju i niedostatku zbiegło się szczęśliwie, że rząd centralny na tym właśnie punkcie dawał się łatwiej nakłonić do większych ofiar dla tak zaniedbywanej zresztą pod innemi względami Galicyi.

Według dat, podanych przez Czoerniga w dziele, już tutaj przytoczonem, rząd absolutny Bacha wydał w pierwszych czterech latach swojej gospodarki na budowę i konserwacyę dróg państwowych w Galicyi sześć milionów zlr., więc kwotę, na ówczesne stosunki bardzo znaczną i odpowiadającą w państwowym budżecie drogowym z nadwyżką stosunkowi Galicyi do obszaru całej monarchii. W późniejszych latach, zwłaszcza w czasie zawikłań wojennych na Wschodzie (1854 — 1855), do Galicyi, dzięki jej położeniu, wpływały ze skarbu państwa znaczne fundusze, a z niemi otwierały się pożądane źródła zarobku w robotach publicznych. Za jednym zamachem znowu w formie memoriału, wprost do cesarza wystosowanego, wyjednał wtedy hr. Gołuchowski pod naciskiem interesów wojskowych zatwierdzenie planów budowy i rekonstrukcyi dróg na przestrzeni 47 mil, wskutek czego wpłynęła ze skarbu państwa do biednej Galicyi naraz kwota półtora miliona zlr.

Jeżeli powiedzieliśmy powyżej, że *praetor* (Gołuchowski) *minima curavit*, to nie mieliśmy bynajmniej tego na myśli, że-

by Namiestnik w swojej troskliwości o każdą sprawę gubić się miał w drobiazgach, i wskutek tego nie sięgał okiem dalej, celem wciągnięcia w program swojej działalności ekonomicznych kwestyi szerszego zakresu i zasadniczej doniosłości. Hr. Gołuchowski nie zaniedbał, owszem, żadnej sposobności, przy której mógł w ten sposób wystąpić. Nadawały się do tego szczególnie obie pierwsze podróże cesarza Franciszka Józefa do Galicyi, kiedy-to szlachta i wogóle ludność, za wiedzą, a nawet za zachętą Namiestnika, zwracała się wprost do osoby monarchy z różnemi petycjami. Towarzystwo rolnicze we Lwowie dostarczyło w roku 1851 hr. Gołuchowskiemu swoją petycją dobrej sposobności do podniesienia całego szeregu spraw pierwszorzędnej doniosłości dla rolników, jak na przykład sprawy założenia szkoły rolniczej (w Dublinach), wydanie nowych przepisów o policyi polowej i ustawy służbowej, podtrzymywanie spadającego kursu listów zastawnych Towarzystwa Kredytowego ziemskiego w dziale lombardowym banku narodowego, zawiązywanie filialnych Towarzystw rolniczych po powiatach, zaprowadzenie cła ochronnego na granicy rosyjskiej, celem zapobieżenia ruinie, jaka groziła ziemianom galicyjskim w okresie przejściowym i t. d.

Kto-by dziś w archiwach ministeryalnych zebrać chciał materiały do historyi nieszczęsnej dla Galicyi, bo zawsze palącej, a zawsze jeszcze niezalutwionej, sprawy regulacyi rzek, za punkt wyjścia musiał-by wziąć programowy memoryał hr. Gołuchowskiego, wystosowany do cesarza 30 grudnia 1861 roku. Kiedy warszawskie Towarzystwo żeglugi parowej na Wiśle, z inicjatywy Andrzeja hr. Zamoyskiego w życie wprowadzone, doprowadziło próby ze swojemi parowcami do tego rezultatu, że statkami, o sile osiemnastu koni, dotarło na Wisłę do Krakowa, na Dunajcu do powiatu Tarnowskiego, a na Sanie do Dubiecka, hr. Gołuchowski odrazu ogarnął doniosłość ekonomiczną takiej regulacyi rzek galicyjskich, aby Wisła stała się drogą wodną aż do Gdańska, a Dniestr do Odessy. Na transportach drzewa i produktów gospodarstwa rolnego objaśnił hr. Gołuchowski doniosłość swojego projektu cyfrowo, o ile to na podstawie ówczesnego stanu statystyki było możliwem. Ten pierwszy projekt regulacyjny, połączony dotąd jeszcze z aktualną kwestyą budowy kanałów, jako wielkich dróg handlowych, obejmował Wisłę, Dunajec, San, Dniestr i Bug, a kładł nacisk na potrzebę traktowania sprawy, jako jednej całości, bo podejmowanie częściowych regulacyi pociągnąć może za sobą zmarnowanie kosztów.

W ścisły związek z tym projektem regulacyjnym wprowadzał memoryał hr. Gołuchowskiego taki plan budowy kolei żelaznych i dróg wicynalnych, jako łączników między kolejami, aby Galicya po-

kryta została wielką siecią komunikacji, potrzebnych do wyzyskania wszystkich jej skarbów przyrodzonych. Żeby kuć żelazo, dopóki ono jest gorące, hr. Gołuchowski, licząc na to, że ten jego śmiały plan komunikacyjny olśni swoją wielką perspektywą ekonomiczne sfery rządowe w Wiedniu tak samo, jak olśnił swego autora, przedstawił równocześnie konkretne propozycje. W Wiedniu, niestety, potrzeby Galicyi stały na samym końcu — szarego końca. Ale, mimo to wszystko, hr. Gołuchowski nie dał się zrazić i nie przestawał kołatać. Interesa ekonomiczne kraju, zwłaszcza w zakresie komunikacji, leżały mu tak bardzo na sercu, że nie wahał się bronić ich nawet wtedy, gdy mu w poprzek stawały jednostronne traktowania tej kwestyi ze strony wojskowości, gdy zatem groziło mu niebezpieczne zawsze, bo i dotąd jeszcze groźne w Austrii dla szefów cywilnej administracji, niezadowolenie generalicyi. W roku 1855 na przykład wojskowość chciała wpłynąć na zmianę budującej się głównej linii kolejowej w Galicyi w ten sposób, aby z Przemyśla zwrócono ją z ominięciem Lwowa ku linii prawego brzegu Dniestru. Dla Lwowa zarezerwowano tylko połączenie przez boczną odnogę. Na pierwszą, jeszcze urzędownie niezakomunikowaną, wiadomość o tem, hr. Gołuchowski wystosował 3 czerwca 1855 roku memoriał do cesarza, w którym z lojalną otwartością przedstawił szkodę, grożącą ekonomicznym interesom kraju w razie ziszczenia się zamysłów wojskowości. „Szczególne uwzględnienie stosunków handlowych i rolniczych, — pisze hr. Gołuchowski w tem, jak się później okazało, uwzględnionem przedstawieniu, — wpływało w sposób rozstrzygający przy budowie kolei żelaznych w innych prowincjach Austrii. Galicya, która w tym kierunku przedewszystkiem powinna-by doznać bezpośredniego poparcia ze strony rządu dla podniesienia jej dobrobytu, niezawodnie u najwyższego tronu uznana zostanie godną takiego najlaskawszego uwzględnienia“. Bach zapewne nierad był tej nieustannej bezpośredniej styczności hr. Gołuchowskiego z cesarzem Franciszkiem - Józefem, ale ani jej przerwać, ani zapobiedz nie mógł. Cesarz bowiem, coraz łaskawiej usposobiony dla hr. Gołuchowskiego, a w miarę, jak w podróży do Galicyi z własnych spostrzeżeń przekonał się o jego dzielnej administracji kraju, nietylko ośmielał swojego Namiestnika do wnoszenia takich przedstawień, lecz nieraz wprost je wywoływał życzeniem, wyraźnie objawionem. Tak na przykład w roku 1855, wśród podróży po Galicyi, cesarz zażądał sam od hr. Gołuchowskiego przedstawienia o sprawach krajowych, które, w danej chwili, za szczególnie ważne uznaje. Hr. Gołuchowski odpowiedział na ten rozkaz memoriałem, w którym, po powołaniu się na swoje dawniejsze przedstawienia, podniósł, oprócz potrzeby otoczenia opieką prawną propina-

cyi, która, po zniesieniu pańszczyzny, pozostała nadal prawem, ale na zniesieniu jurysdykcji patrymonialnej wiele ucierpiała, nadto jeszcze trzy kwestye pierwszorzędnej doniosłości. Pierwsza kwestya obejmowała organizację gminy w sposób, odpowiadający jej znaczeniu w ustroju publicznej administracji po zniesieniu pańszczyzny, przy czem nacisk położony został na potrzebę zabezpieczenia w przejściowym okresie prawnego i społecznego stanowiska większej własności ziemskiej (obszaru dworskiego) wobec gmin wiejskich, przejętych ciągle jeszcze nieufnością i zawiścią, w dawnych czasach przeciw szlachcie wzbudzoną. Druga kwestya tyczyła się kommassacji gruntów, której ogromne znaczenie dla stosunków ekonomicznych najprzód, a prawnych w dalszem następstwie, memoriał Namiestnika z szczególnym naciskiem i dokładnie określił. Trzeci wreszcie punkt memoriału tyczył się urządzenia ksiąg gruntowych dla posiadłości włościańskich, przy czem dobitnie podniesioną została potrzeba zabezpieczenia takiej kontroli prawnej co do obciążania posiadłości włościańskich, „aby niewykształcony i prawnej opieki wymagający włościanin ustrzeżony został od lichwiarskich sprawek, szczególnie ze strony żydostwa“.

Dlaczegoż jednak z tych wszystkich projektów i planów hr. Gołuchowskiego stosunkowo mało praktycznych korzyści spłynęło na kraj, a główne pomysły jego pozostały nieziszczone? Pora i sytuacja w Wiedniu była pod tym względem bardzo nieprzychylna. Ministerjum Bacha zajęte było wyłącznie rozbijaniem i „rekonstrukcją“ monarchii na nowych podstawach, a wszystkie inne sprawy, nie zostające w bezpośrednim związku z tem zadaniem, odraczano, albo ad feliciora tempora, jeżeli się z nimi liczyć musiano, jak się to rzecz miała co do wniosków hr. Gołuchowskiego ze względu na jego wpływy u cesarza, albo ad calendas graecas, jeżeli nie były poparte takimi wpływami. Organizowano wtedy i reorganizowano wszystkie membra disiecta podbitych w rewolucyjnej kampanii Węgier, dzielono kraj na szereg prowincyi i wice-prowincyi z osobnemi namiestnictwami, a nadto organizowano i reorganizowano także cały ustrój władz i całe urządzenie prowincyi niewęgierskich tak, aby wszystko tonęło w jednej, scentralizowanej masie terytoryalnej, w której tylko skomplikowany mechanizm administracyjny mógł jakiś czas podtrzymywać od biedy fikcyę o jednolitości państwowej całej monarchii. Organizowano i reorganizowano wszystko nie za jednym zamachem, z planem naprzód obmyślanym, lecz po kilka razy, a zawsze dorywczo, tak, że w rocznikach dziennika ustaw państwa z tej doby można w jednym tomie (z jednego roku) znaleźć ustawy i rozporządzenia, wydane po wszelkiej formie, i wnet potem także po

wszelkiej formie zniesione, zanim jeszcze mogły być przeprowadzone. W takim systemie rządowym nie myśli się o doniosłych reformach ekonomicznych tak samo, jak w gospodarstwie, polegającym na życiu z dnia na dzień, nie myśli się o inwestycjach, planach na dalszą metę. A do tego przybywały kłopoty finansowe, z których ówczesny rząd Bacha, wobec rozpoczętej bardzo kosztownej „rekonstrukcyi“ państwowej, nigdy nie wychodził, które też ostatecznie za przyłączeniem się nieszczęśliwych zakłosań zewnętrznych i klęsk wojennych (1859), podkopały cały fundament Bachowskiej budowy. Na zarządzenie tym kłopotom nie umiano znaleźć innych środków, jak tylko takie pierwotne, jak wyłączenie śrubby podatkowej do ostatnich granic, zaprowadzenie nowych podatków, sprzedaż, względnie zastaw, dóbr państwowych i t. p.

W rządzie tych pierwotnych środków pokrywania wzrastających wydatków państwa ważną rolę odgrywały po roku 1851 pożyczki państwowe, które nazywano narodowemi, dobrowolnemi i t. p., a które w rzeczywistości stanowiły tylko zwyczajne „pompowanie“ jednostek, gmin, instytucji i funduszy publicznych przez administracyę próżnego skarbu państwa. Na formalną ironię zakrawały te pożyczki w Galicyi, wyniszczonej klęskami politycznemi, społecznemi i ekonomicznemi z kilku poprzednich lat, a tem samem najwięcej uginającej się pod poprzednio już nałożonym ciężarem wyższych i nowych podatków opłat skarbowych. Subskrypcya odbywała się wrzekomo dobrowolnie, z czystych pobudek patryotycznych, a tymczasem w rzeczywistości przybierała co do osób i instytucji, zostających w zależności od rządu (naprzykład co do urzędników i gmin) wprost charakter kontrybucyi, z góry nałożonej. Ściąganie ratami subskrybowanych kwot pożyczkowych odbywało się nawet w prowincjach ekonomicznie nieskończenie wówczas wyższych nad Galicyę bardzo powoli, ale nie z planu, lecz z konieczności, bo wszędzie szemrano już na trudny do zniesienia ucisk fiskalny. Jest to fakt na anegdotę zakrawający, ale z pewnością historyczny, niejako urzędownie stwierdzony, że w tych ciężkich czasach nie w biednej Galicyi, lecz w zasobnych Czechach pewien wieśniak, przyciśnięty terminem, opłaty podwyższonych podatków i zaległemi ratami „dobrowolnie“ subskrybowanej dla państwa kwoty pożyczkowej, zwrócił się do władzy politycznej z pokorną prośbą, aby mu pozwolono raty te w areszcie odsiedzieć! Swoją drogą, na kilkomilionową ludność Galicyi nie był-by, przynajmniej w pierwszych operacyach kredytowych państwa, przypadł zbyt ciężki ekwiwalent w takim areszcie, gdyż z dobrej woli subskrybowano na obliży państwowe mało, a władze administracyjne nie wywierały takiego nacisku, jak w innych prowincjach.

cyach, gdzie naczelnicy rządów krajowych niejednokrotnie stawiali sprawę nakłaniania ludności do udziału w „dobrowolnych“ pożyczkach państwowych tak, jak się zazwyczaj daje karyerowiczom do zrozumienia, kędy wiedzie droga do zjednania sobie przełożonych, a więc do awansów.

W roku 1851 w 85 milionowej pożyczce państwowej cała Galicya reprezentowana jest przez kwotę stosunkowo bardzo niską (428,700 zlr.), a hr. Gołuchowski, donosząc o tem ministeryum po zamknięciu podpisów w relacji z 25 października 1851 roku, nie obwija fiasca w bawelnę, lecz, owszem, korzysta z tej sposobności, aby przedstawić rządowi centralnemu smutne położenie ekonomiczne kraju w prawdziwym świetle. Wtedy jeszcze nie myślano o wypłacie indemnizacyi, więc Namiestnik głównie na to nacisk położył, że najzamożniejsza klasa ludności, szlachta, wskutek dorywczego zniesienia pańszczyzny, znalazła się po roku 1848 w braku kapitałów, potrzebnych do prowadzenia gospodarstwa, więc o subskrybowaniu znaczniejszych kwot dla państwa i myśleć nie może. W braku przemysłu, — tak dalej objaśnił sytuację hr. Gołuchowski, — średnia klasa ludności po miastach i miasteczkach nie rozporządza także środkami ponad niezbędną do egzystencji miarę, a ludność żydowska mogła-by wprawdzie subskrybować więcej, ale w danych stosunkach, wśród ogólnego braku kapitałów, może gotówkę lokować na lichwiarski procent, więc nie widzi żadnego interesu w subskrypcyi na pożyczki państwowe.

Ale, mimo niepomysłnych stosunków ekonomicznych, rząd Bacha, nie mając innej drogi, rzucił się niemal corocznie w nowe eksperymenty subskrypcyjne, które chyba tylko przez takich apologetów *temporis acti*, jak bar. Czoernig, mogą być przedstawione jako operacje finansowe, racjonalnie obmyślane i z powodzeniem dokonane.

Mimo wszystkich pożyczek, wrzekomo tak szczęśliwych, finanse państwa nie wytrzymały nacisku, jaki na nie wywarły wypadki wschodnie z roku 1854 — 5, wśród których niudolna polityka zagraniczna Austrii niejako w *allians* weszła z równie niudolną polityką finansową, aby skompromitować panujący system absolutny i przyspieszyć jego upadek. Po wojnie krymskiej, równowaga w budżecie państwowym była już tak zachwiana, że rząd, mimo jawnego niezadowolenia ludności i jej narzekań na ucisk fiskalny, postanowił uciec się znowu do pierwotnego środka zaradczego, do śrubby podatkowej.

Powstał tedy plan podwyższenia podatku gruntowego i domowego. Minister Bach zażądał najpierw od wszystkich namiestników opi-

nii w tej sprawie, chociaż zapewne zależało mu przytem więcej na powolnem oswojeniu opinii ludności z myślą o wyższych podatkach, aniżeli na poznaniu tej opinii. Hr. Gołuchowski wypowiedział zdanie swoje w obszernym memoryale z 9 kwietnia 1856 roku, w którym z sumienną, jak na owe czasy, otwartością przedstawił przykre położenie ekonomiczne kraju, już obecnie zbyt przeciążonego podatkami. Przypomnijmy z tego memoryału główne ustępy raz dlatego, że zawierają one wierny obraz ówczesnej sytuacji ekonomicznej Galicji, a powtóre dlatego, że charakteryzują samodzielność hr. Gołuchowskiego w wypowiedzaniu zdania bez oglądania się na to, że było ono w danej chwili wcale niepożądane dla wszechmocnego jeszcze w państwie ministra Bacha.

„Bardzo dotkliwy i przykry ciężar — pisze hr. Gołuchowski po ogólnych uwagach o niepomyślnym stanie kraju — stanowi pożyczka narodowa (z roku 1854). Nazwano ją wprawdzie w zasadzie dobrowolną i za taką uważano ją tam, gdzie formalne subskrypcye mogły być otwarte. Co do wsi galicyjskich jednak nie należy oddawać się złudzeniu, jakoby pożyczka ta rzeczywiście była dobrowolną. Lud wiejski bowiem i mieszkańcy małych miast nie posiadają, w braku wyższego wykształcenia, należytego wyobrażenia o pożyczkach państwowych. Tam zawsze jeszcze panuje to naiwne mniemanie, że cesarz może bez pożyczki nakazać, aby z kruszcu, lub papierni zrobiono tyle pieniędzy, ile ich potrzeba. Wśród takich stosunków dobrowolnego subskrybowania pożyczki narodowej tem mniej można było oczekiwać, ile że położenie materialne ludności wiejskiej wogóle nie było pomyślne. Względy na dobro publiczne kazały w tym wypadku tak postępować, aby, mimo braku trafnego pojęcia o rzeczy wśród ludności, cel został osiągnięty. Przypisywano tedy gminom za ich zgodą dwu, lub trzykrotną należytość podatkową, czasem nawet więcej, jako kwotę subskrypcyjną. Doświadczenia, dotąd zebrane, wykazały, jak trudnem będzie teraz ściąganie rat subskrypcyjnych. Niestety, zbyt często trzeba-by uciec się do postępowania przepisanego przy osiąganiu zaległości podatkowych, i to z bezwzględnym rygorem, jeżeli-by raty te rzeczywiście musiały być zebrane. Niedostatek i przymus do uiszczania tych rat wywołują niezadowolenie i niechęć, skutek czego często wpływają i ponawiane bywają prośby o całkowite odpisanie subskrybowanych kwot pożyczkowych. Wzrastające z roku na rok dodatki na potrzeby krajowe, o których, w chwili subskrybowania pożyczki, na pewne przypuszczano, że w summie ogólnej nie ulegną zmianie, sprawiły w połączeniu z powyżej przedstawionemi stosunkami, że w ostatnich czasach gminy wiejskie usiłują za wszelką cenę uwolnić się od uciążliwych wpłat na poczet pożyczki

narodowej. Wiele gmin wiejskich za bezcen sprzedaje żydom obligacye, za wpłaty otrzymane, a niektóre gminy nawet chętnie darowałyby te obligacye, byle tylko nabywca przyjął na siebie obowiązek uiszczania dalszych rat, i uwolnił je od tego ciężaru. W okręgu Namiestnictwa lwowskiego subskrybowano na pożyczkę narodową razem 11,800,000 złr. z ogólnej summy 500 milionów, a z summy tej nominalnej spłacono od roku 1854 po koniec lutego 1856 roku w gotówce 4,932,768 złr. Pozostaje jeszcze do uiszczenia za rok 1856 gotówką 967,232 złr., a w dalszych trzech ratach rocznych (1857 — 1859) 5,310,000 złr. Jeżeli się zważy, że z podatków bezpośrednich, oprócz gruntowego i domowego, także zarobkowy i dochodowy znacznie obciążają ludność, gdyż władze skarbowe przy wymiarze wzięły w rachubę jak najpomyślniejsze stosunki; że dalej, oprócz podatków bezpośrednich, dodatków dla funduszu krajowego i indemnizacyjnego, oraz rat na pożyczkę narodową, częściowo, to jest na poszczególne klasy mieszkańców, lub na gminy spadają inne ciężary w gotówce, lub w naturze, które nieodzownie uiszczone być muszą, a często znacznej dosięgają wysokości, jak dodatek na izby handlowe, opłaty na koszt leczenia, opłaty konsumcyjne, na budowlę kościelne, szkolne, drogowe i wodne, opłaty na koszt zakładania szkół i na uposażenie nauczycieli, dodatki gminne, należytości ekwiwalentowe, należytości od zmiany posiadania, spłaty ratalne wieczystych dzierżawców z powodu indemnizacji—to nie ulega żadnej wątpliwości, że już obecnie siła podatkowa Galicyi jest aż nadto obciążona. Słuszność tego twierdzenia wykazują dotychczasowe zaległości podatkowe. Z doświadczenia wiadomo, że w Galicyi podatki wpływają najobficiej w IV i I kwartale, a dalej faktem jest, że dzisiejsze urzędy powiatowe czuwają energiczniej i z większym skutkiem nad regularną spłatą podatków, aniżeli to dawniej bywało. Mimo to, zaległości z końca I kwartału 1856 roku wynoszą 2,000,296 złr. Wobec powyżej przedstawionych faktycznych stosunków, przejęty przeświadczeniem, że wszelka możliwa konserwacya siły podatkowej kraju leży w dobrze zrozumianym interesie rządu, muszę co do podniesionej kwestyi wyrazić opinię, że podwyższenie podatku gruntowego i domowego wśród obecnych stosunków nie jest dopuszczalnym, i było-by szkodliwe dla kraju, a zarazem dla monarchii. Co do poszczególnych rodzajów podatków, nie mogę pominąć, że jednym z najuciążliwszych jest podatek domowo-czynszowy w miastach z powodu wysokości swojej. Potrącenie 15% na sarta tecta w miastach nie stoi w żadnym stosunku do potrzeby. Wysokość tego procentu ustanowiona została, jak się zdaje, bez uwzględnienia właściwości Galicyi według stosunków, panujących w innych sześciu krajach koronnych. W Galicyi zi-

ma trwa zazwyczaj sześć miesięcy. Jeżeli już sam klimat ostry wymaga większego nakładu w materyale przy budowie domów, to z drugiej strony faktem jest, że materyał psuje się w krótszym czasie, aniżeli w innych krajach z łagodniejszym klimatem. Z małemi wyjątkami używa się tutaj tylko materyału drzewnego na schody i dachy, a wskutek tego te kosztowne części składowe budynków już po upływie niewielu lat prawie na nowo muszą być stawiane. W takim stanie rzeczy, procent, przyznany na sarta tecta, zwykle nie wystarcza na odnowienie, a stąd wypływa konieczność naruszenia kapitału. Dochód z domów bowiem wynosi w miastach po strąceniu podatków i wszystkich ciężarów zaledwie 2 — 2³/₂%, a tylko w rzadkich wypadkach 3%. Taki dochód często nie wystarcza właścicielom domów na pokrycie najskromniejszych potrzeb życia. W miastach, w których pobierany jest podatek domowo-czynszowy, stan budowli był oddawna zły dla braku kapitałów budowlanych, a wysoki podatek nie wpłynię przeciwkorzystnie na poprawienie tego stanu, zwłaszcza wobec faktu, że konkurencya szukających pomieszkania pozostaje poniekąd jednakową. Wysokim podatkiem dotknięta zostaje właściwie tylko ta ostatnia kategoria mieszkańców, to jest wogóle klasa ze stałemi dochodami rocznemi, jak naprzykład urzędnicy. Faktem jest, że od czasu zaprowadzenia wysokiego podatku domowo - czynszowego zaniechano w miastach budowania nowych domów. Jak niekorzystne następstwa stąd wynikają, dobrze wiadomo ministeryum z wielokrotnych rokowań o pomieszczenie urzędów powiatowych i władz sądowych. W takich razach rząd zawsze skłaniać się musiał do wielorakich ofiar, mianowicie przyznawał wysokie czynsze i kilkoletnie bezprocentowe zaliczki w gotówce. Wszelkie podwyższenie tego podatku i następstwa takiego zarządzenia musiały być zgubne. Jeżeliby wreszcie to moje otwarte przedstawienie stosunków nie miało być uwzględnione wobec życzenia ministeryum, aby w całej monarchii zaprowadzony został więcej jednolity system opodatkowania, to w takim razie musiał-bym z całą stanowczością oświadczyć się przynajmniej przeciw zaprowadzeniu tego systemu co do podatku gruntowego i domowego już z początkiem roku 1857. Reforma ta musiała-by być odroczoną do końca roku 1859, to jest do upływu terminu, w którym spłacone być mają raty pożyczki narodowej“.

Czy te uwagi krytyczne o podatku domowo-czynszowym nie mogły-by i dziś jeszcze być w całości powtórzone, a nawet podkreślone?

Na takiej ochraniającej od złego i zapobiegającej wzrostowi złego, cichej i, niestety, w znacznej części tylko na przechowanie w archiwalnej pamięci skazanej akcyi urzędowej, wypadło hr. Golu-

chowskiemu ograniczyć się w swojej działalności w zakresie spraw ekonomicznych podczas całego pierwszego okresu rządów. Plany reform dalej sięgających, do których, jak świadczą powyżej przez nas przytoczone memoryały do cesarza z czasów jego dwukrotnego pobytu w Galicyi, hr. Gołuchowski impuls dać próbował, wypadło odroczyć do lepszych czasów, których blizki świt wówczas jeszcze nie był przewidywany. Ale wśród danych warunków już samą możliwość skutecznego prowadzenia chociażby takiej tylko akcji zapisać wypada w historii Galicyi jako szczęśliwe zrządzenie losów. Jak dla chorego organizmu pierwszym krokiem, niejako wstępem do procesu leczniczego, jest troskliwa osłona przed dalszem działaniem zewnętrznych wpływów szkodliwych, przed dalszem zabójczym wyczerpywaniem sił chorobą zwątlonych, tak dla ówczesnego organizmu krajowego, wstrząsnionego do głębi wypadkami lat 1846 — 1848, niejako obezwładnionego szeregiem zabójczych paroksyzmów, najpotrzebniejszą w danej chwili była osłona przed ciosami systemu Bachowskiego, który w szalonym rozpędzie do mechanicznego przeobrażenia ustroju Austrii przedewszystkiem burzył tradycyjną organizację bez obmyślanego z góry planu rekonstrukcyi, i nie przysparzał państwu nowych sił, lecz, owszem, na zarządzane, cofane i napowrót podejmowane eksperymenta konstytucyjno - administracyjne wyczerpywał do reszty i te siły, jakie monarchia wyniosła z dopiero co przebytego kaktlizmu rewolucyjnego.

Jak spokój dla chorego organizmu stanowi najgłówniejszy czynnik w rekonwalescencyi, tak w owych czasach dla ciężko skołatanego społeczeństwa polskiego w Galicyi dobrodziejstwem i zadatkiem lepszej przyszłości było poskromienie anarchii i zrehabilitowanie prawnego charakteru administracyi, co stanowi jeden z najwybitniejszych, a zarazem i najświetniejszych rysów charakterystycznych pierwszego okresu rządów hr. Gołuchowskiego.

Anarchia z dwóch stron groziła zamąceniem stosunków społecznych i administracyjnych: najpierw ze strony zdemoralizowanego przez biurokracyę ludu wiejskiego, który od roku 1846 uważał się za zbawcę rządu wobec buntowniczej szlachty, i władzę niemal z góry traktował, a w roku 1848, wśród zamętu, wywołanego na tle pańszczyźnianem przez tę samą biurokracyę w sojuszu z Radą ruską, już rwać się zaczynał do nowego pofolgowania dzikim instynktom; powtóre ze strony władzy wojskowej, która przez widomą głowę swoją, generała kommanderującego, Hammersteina, zaczęła traktować Galicyę jakby świeżo zajęty kraj nieprzyjacielski, i władzę cywilną uważać tylko za oddane sobie narzędzie. A władza ta, reprezentowana w okręgach początkowo przez biurokratów starej daty, dla których

tradycyjnem przykazaniem, polityczną i niewzruszoną maksymą rządową było nękanie i rujnowanie szlachty, szachowanie dworów przez gminy, pracowała tem samem gorliwie nad podnieceniem rozstroju społecznego i administracyjnego, nad poniżeniem powagi prawa i urzędu, nad nadaniem administracyi piętna bezkarnej dowolności.

Trudną, niebezpieczną, początkowo niemal beznadziejną była walka hr. Gołuchowskiego z temi czynnikami rozstroju prawnego i społecznego. Zwycięstwo przez niego powoli w tej walce odniesione zapisać i podkreślić należy w historii Galicyi jako początek zwrotu ku lepszej przyszłości.

DR BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

W początku 1901 roku wyjdzie z druku we Lwowie dzieło doktora Bronisława Łozińskiego, oparte na urzędowym, dotąd przez nikogo jeszcze nie wyzyskanym, materiale archiwalnym. Dzieło to, jakkolwiek stanowiące oddzielną i wykończoną całość, uważać należy za pierwszą dopiero część wielkiej monografii o hr. Gołuchowskim, obejmującej całą jego działalność publiczną, po której z trzykrotnego piastowania stanowiska Namiestnika cesarskiego w Galicyi (w latach: 1849 — 1856, 1866 — 1868 i 1871—1875) pozostało dla kraju tego w spuściźnie pamiętne na zawsze dzieło odrodzenia, a z krótkiego piastowania stanowiska ministra stanu w Wiedniu (1859 — 1860), dla państwa austriackiego również pamiętne na zawsze dzieło polityczne, znany dyplom październikowy, fundamentalny akt konstytucyi austriackiej, duchem federalistycznym przejęty, a później dopiero, na szkodę Austrii i jej krajów koronnych, przez Schmerlinga zwieczniony w dążności centralistycznej. Nad tym ostatnim epizodem historycznym, więc nad drugą z porządku chronologicznego częścią monografii o hr. Gołuchowskim, pracował były minister dla Galicyi, ś. p. d-r Edward Rittner, po którym jednak dotąd żadnego rękopisu nie znaleziono. Pierwsze rozdziały drukującego się dzieła d-ra Bronisława Łozińskiego, pomieszczone w lwowskim „Przewodniku naukowym i literackim“, obejmują okres burzliwych przejść politycznych przed i po roku 1848 (gubernatorstwo Wacława Zaleskiego, znanego w historii literatury pod pseudonimem Wacława z Oleska, militarne rządy generała Hammersteina, upamiętnione zbombardowaniem Lwowa, walkę hr. Gołuchow-

skiego z generałem Hammersteinem w czasie przemarszu wojsk rossyjskich przez Galicyę dla poskromienia rewolucyi w Węgrzech, genezę dzisiejszej sprawy galicyjsko-ruskiej i t. d., i t. d.). Z niedrukowanego dotąd dalszego rękopisu uzyskaliśmy od autora fragment o sprawach ekonomicznych, zawierający obraz opłakanego położenia materyalnego Galicyi po wypadkach z lat 1846 — 1848, i przedstawiający trudności, z jakimi hr. Gołuchowski walczyć musiał wtedy na każdym kroku dla uzyskania u centralnego rządu w Wiedniu jakichkolwiek, chociażby mało znaczących, ulg dla kraju. Ze względu na ostatnie ciężkie katastrofy finansowe i przejścia ekonomiczne Galicyi, które tak szeroko omawiane były także i w warszawskiej literaturze peryodycznej, fragment, który naszym czytelnikom podaliśmy, wydał się nam aktualnym. Z jednej strony bowiem dał on poznać olbrzymią różnicę, jaka zachodzi co do położenia ekonomicznego między Galicyą dzisiejszą, a tą, na której czele hr. Gołuchowski stanął po raz pierwszy jako Namiestnik cesarski, z drugiej zaś strony pozwolił ocenić, jakim historycznym już dzisiaj dobrodziejstwem dla Galicyi, a pośrednio i dla państwa austriackiego, nazwać można ówczesne, od dawnego systemu niemiecko-biurokratycznej gospodarki odbiegające, powołanie do steru obywatela kraju, łączącego w sobie wielki talent administracyjny i żelazną energię ze znajomością stosunków.

(Przypisek Redakcyi).

Kamienice w Rynku Staromiejskim

W WARSZAWIE.

(Wyjątek z większej całości).

W szkicu niniejszym rozpatrzemy szczegółowo, dom po domu, bok w s c h o d n i Rynku, zawarty pomiędzy ulicami Celną i Kamieniami Schodkami.

Ten bok nie odznacza się wielką archaicznością, nie posiada ani jednego domu, którego metryka była-by starsza nad początek wieku XVII-go. Tu najbardziej srożył się wielki pożar w roku 1607, i prawie cała strona padła wówczas pastwą ognia.

Dziś jest to najruchliwszy z boków Rynku, co przypisać trzeba głównie licznym sklepom; za lat dawnych musiało być inaczej. Ongi, największe ożywienie panowało na stronie przeciwległej, tam bowiem znajdował się główny wchód do Ratusza oraz przybytek ważniejszych posiedzeń magistrackich, zwany „Kamienią Wójtowską“. Tam wreszcie mieściły się najliczniej uczęszczane winiarnie.

Jeśli coś w owej epoce mogło bok wschodni bardziej ożywiać, to chyba tylko bliskość tak zwanej „kuny“, która znajdowała się wprost kamienicy „pod Fortuną“. Przypominamy, że kuna była klatką żelazną, przejrzystą, do jednego z boków Ratusza przylegającą, w której zamykano oddzielnego rodzaju przestępców i przestępczynię.

Tłumniejsze fale ludzi płynęły podówczas po obu stronach boku wschodniego, tam mianowicie, gdzie on stykał się z dzisiejszą Celną i Kamiennymi Schodkami. Były to w dawnych wiekach bezimienne zaułki, albo raczej przesmyki, prowadzące do bram miejskich: pierwszy do bramy czyli baszty Białej, drugi do bramy Wiślanej.

Tyły tego boku zakrywał wysoki mur miejski. Z czasem, gdy *Antiqua Varsovia* po szwedzkich, fatalnych dla niej najazdach, przestała być warownią, w murze tym, prócz wróbli i jaskółek, poczęli budować sobie gniazda i ludzie. Z tych przybudówek, powiększanych następnie do rozmiaru zwykłych kamienic, powstała z czasem jedna połać dzisiejszej ulicy Brzozowej.

Wschodni bok Rynku był nazywany w starych taryfach jego „stroną prawą“.

№ 26 (57).

Rozpoczynająca ten bok kamienica narożna, dziś wszelkiego prawie charakteru pozbawiona, stanowi właściwie połączenie dwóch possessyi, które w wieku XVII wyraźnie rozdzielano, nazywając jedną z nich „Walterowską“, a drugą „Orłowską“. Z czasem obie kamienice przeszły na własność Waltera, i w taryfach z końca XVII-go wieku pod jego wyłącznie nazwiskiem są zapisywane.

Wspomnieć jeszcze trzeba, że jedna z kamienic była pierwotnie własnością „pani Katerliney“, jak z nazwiska wnosić można, Włoszki, albo wdowy po Włochu.

W magistraturze Starej Warszawy znaleźliśmy Jerzego Orłowskiego, ławnika, oraz Kacpra Waltera, rajcę.

W domu narożnym stawał gospodą biskup Łucki, mając do swego rozporządzenia: dwie izby, dwa sklepy, dwie piwnice i jedną kuchnię. W przyległej kamienicy bywała gospoda biskupa Chełmskiego, któremu oddawano pięć izb, jeden sklep, dwie piwnice i dwie kuchnie.

W roku 1784, w którym wyszła pierwsza drukowana taryfa Warszawy, oba domy zapisane są pod jednym numerem, jako własność „sławetnego“ Preysa. Później posiadają te possessyje: Collen, Mściwojewski, Zaszczyński.

№ 24 (58)

Busser, a potem Ziebowicz, czy też Zienkowicz (gdyż dwojako źródła ówczesne to nazwisko piszą), posiadają tę kamienicę w początkach XVII wieku. I o mężach tych, i o possessyi wiadomości nasze są nader szczupłe.

Niczem szczególnem nie odznacza się ta kamienica zewnątrz i wewnątrz; znać też na niej i w niej późniejsze przeróbki.

W porze sejmu miewał tu gospodę biskup Przemyski. W „Rewizyi“ zapisano: izb cztery, sklep jeden, piwnie trzy, stajenkę, oraz „kramnicę na przodku“.

Za Stanisława Augusta numer tej kamienicy rozślawia się po świecie, dzięki mieszczącej się tu drukarni Dufoura. Dufour tytułował siebie: „konsyliarzem nadwornym, drukarzem JKMości, Rzeczypospolitej i Rady Nieustającej, dyrektorem korpusu kadetów“. W Rynku, oprócz drukarni, miał księgarnię, będącą zapewne składem jego wydawnictw, był bowiem i nakładcą. O losach tej drukarni pisze Magier w swej, częściowo dotąd drukowanej, „Estetyce miasta Warszawy“: „Piotr Dufour, konsyliarz nadworny, dyrektor drukarni Korpusu Kadetów, miał własną drukarnię w Rynku Starego Miasta pod numerem 58. Po nim Tomasz Lebrun w niej drukował. Później dostała się przez związek małżeński z wdową Lebrun Lesznowskiemu, redaktorowi „Gazety Warszawskiej“, dotychczas (to jest do czasów Magiera) utrzymywanej przy ulicy Świętojerskiej“.

Do notatki Magiera dodajmy kilka dopełnień i sprostowań.

Dufour miał tu drukarnię (a zarazem i księgarnię) tylko do roku 1784. Ze zmianą właściciela, zmieniło się i pomieszczenie; tegoż samego zaś roku, w tymże domu, a może i w temże mieszkaniu, otworzył drukarnię kto inny.

Nowym założycielem drukarni nie był drukarz zawodowy, lecz przedsiębiorca, nie z drukarstwem właściwem i z literaturą nie mający wspólnego. Był-to Włoch, Baccigalupi, założyciel „loteryi liczbo-

wej“ w Warszawie, który początkowo wybijał u siebie tylko bilety i tabele loteryjne. Z tego względu drukarnia jego nosiła miano „Loteryjnej“.

Ze starannie opracowanej broszurki p. Żegoty Wywiałkowskiego pod tytułem: „Czcionkarnie, istniejące w dzielnicach ziem polskich“ (Kraków—Warszawa, 1884), dowiadujemy się, że część drukarni Baccigalupiego została sprzedana w roku 1792 księdzu Malinowskiemu, który z niej oddzielny zakład drukarski utworzył. Ta nowa drukarnia w roku 1799 przeszła na własność Wyżewskiego (którego potomek, przedzierżgnąwszy się w literata francuskiego i Francuza, podpisuje się: „de Wyzewa“). Od Wyżewskiego nabył drukarnię Józef Unger, który ją świetnie rozwinął, drukując prócz wielu dzieł ważnych „Tygodnik Illustrowany“, „Wędrowca“, oraz swoje popularne illustrowane kalendarze. Po śmierci ojca, utrzymywał ją w dawnej świetności Gracyan Unger. Dziś podupadła.

Wracając do drukarni Loteryjnej, zapiszmy, że z czasem odbijać zaczęła coś więcej, niż plany i bilety. Tem „czemś więcej“ nie były zresztą rzeczy bardzo wielkie, bo tylko „Kalendarze astronomiczno-gospodarskie polskie y ruskie“. Wychodziły one około roku 1820 nakładem Józefa Pukszy przy ulicy Świętojańskiej, „przeciw Fary“, z „Drukarni Baccigalupiego w Rynku S. M. № 58“.

Signor Baccigalupi - Menagetto, bo tak w całości brzmiało jego nazwisko, pozostawił syna, z którego córką ożenił się Jan Wróblewski. Drukarnia przeszła na własność tego ostatniego w roku 1834, i pozostawała w jego ręku od roku 1844, w którym nabył ją Jan Jaworski.

Aby skończyć z osobistością Baccigalupiego, zapiszmy szczegół, który w roku 1892 podały wychodzące w Krakowie „Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne“. Na zamieszczonej w tem piśmie reprodukcji kredkowego rysunku Aleksandra Orłowskiego, przedstawiającego artystę w gronie przyjaciół warszawskich, występuje w liczbie tych ostatnich i Baccigalupi. Wygląda on tam na podżyłego jegomością z cudzoziemskim profilem, który w sposób trochę rażący odbija od młodocianych przeważnie twarzy towarzyszków. Pod każdym z portretów, które są szkicowo rysowanemi w profilu popiersiami, umieścił Orłowski emblemata, wyrażające rodzaj zajęcia każdego z portretowanych. Pod wizerunkiem Baccigalupiego widzimy: ćwiartkę papieru z niewyraźnym napisem, przedstawiającą zapewne bilet loteryjny.

Rysunek pochodzi z samego końca zeszłego wieku, gdy Orłowski liczył niewiele więcej, nad lat dwadzieścia. Wiadomo, jak wesoło, mimo żywo odczuwanych klęsk publicznych, upłynęła młodość znakomitego artysty; nie trudno też zgadnąć, że najbliższe jego otocze-

nie było hulaszczą, przeważnie z żywiołów artystycznych złożoną, kompanią, do której drogą pośrednią tylko mógł dostać się przedsiębiorca loteryjny. Innymi uczestnikami wesołego grona byli: Krystyan Karoli, zegarmistrz-artysta; Karol Gröll, syn głośnego „bibliopoli“ Stanisława-Augusta, rysownik, rytownik, miniaturzysta, mechanik i wynalazca; Manerelli, Włoch, nauczyciel śpiewu i gry na gitarze; Bartłomiej Folino, kapitan artylerii, nauczyciel szkoły wojskowej, a przytem rysownik i rytownik; Kazimierz Wojniakowski, utalentowany malarz; wreszcie Itar, Włoch z urodzenia, budowniczy.

Kamienicę, którą opisujemy, posiadał w zeszłym stuleciu „sławetny“ Derussi; potem znajdowała się w rękach Bielewicza, Brauna i t. d.

№ 22 (59).

Oglądając archaiczną sień tego domu, oraz niewielki, a nadzwyczaj oryginalny dziedzińczyk, przypuszczać trzeba jedno z dwojga: albo płomień strasznego pożaru w roku 1607 ocaliły tę kamienicę, opaliwszy tylko zewnętrzne jej mury, albo też po pożarze odbudowano ją w kształcie pierwotnym.

Cokolwiekbyż, ona nosi w środku wyraźne znamiona wieku XV i przypomina wnętrza najstarszych domów krakowskich. Pismo obrazkowe „Wieniec“, wychodzące w roku 1872, zamieściło jej widok wewnętrzny, rysowany przez Henryka Pillatiego, wraz z notatką Weinerta, który wzniesienia domu nie waha się odnieść do pierwszej połowy wieku XV-go.

Niegdyś czoło tej kamienicy zdobił rzeźbiony, czy też malowany wizerunek Fortuny, z tego też powodu nazywano ją przez czas długi domem „pod Fortuną“. Prawdopodobnie, podczas pożaru owo godło spłonęło, gdyż po roku 1607, żaden jego ślad, prócz nazwy, już się nie spotyka.

W „Rewizyi Gospód“ z połowy XVII wieku zapisano: „Kamienica Dziańotowska n o w a“. Nie wiemy, jak sobie tłómaczyć to ostatnie słowo, zdaje się jednak, że nie znaczy ono nic więcej, jak: „odnowiona“.

Włoska Rodzina Gianottich, osiadła w Warszawie za Jagiellońców, przyjęła tutejsze obywatelstwo i pisała się z polską: Dziańoty,

albo Dziańot. W kronice Starej Warszawy zasłynęli głośniej: Jan, Jakób i Piotr Dziańotowie.

Jakób Dziańoty, albo raczej, jak na kamieniu nagrobnym czytamy: *Jacobus de Castellatis Gianotti*, pozyskał szlachectwo od cesarza niemieckiego, Ferdynanda III. Był dworzaniem królów polskich: Zygmunta III i jego syna, Władysława. Od ostatniego otrzymał indygenat.

Ten Dziańoty piastował przez czas długi godność burmistrza Starej Warszawy, a za położone dla miasta i dworu zasługi otrzymał w roku 1635 libertacyę swej kamienicy. Libertacya, potwierdzona później przez Jana-Kazimierza, nie była jednak zupełną, gdyż kamienicę Dziańotowską przeznaczono na czasowe mieszkanie dla posłów zagranicznych.

Posłowie stawali tu aż do czasów Augusta III. Dodać wszakże trzeba, że mieli inną jeszcze gospodę przy ulicy Długiej, w kamienicy, zwanej „Giełdą“.

Mówi o tem Jarzemski:

... Stój co żywo!

Przeciwno, Giełdą nazwany,

Jest budynek murowany,

Kędy posłowie stawali,

Cudzoziemscy przebywali.

„Giełda“, nazywana zwykle „kupiecką“, i będąca zarazem miejscem zbornem kupców miejscowych i przyjezdnych, znajdowała się obok kościoła Świętego Ducha, gdzie dziś dom pod numerem hipotecznym 540. Prócz wielkich izb gościnnych, mieściły się w niej obszerne składy towarów, z za granicy przywożonych. Podczas najazdu szwedzkiego „Giełda kupiecka“ spłonęła. Dom odbudowano później, zachowując dawne, grube mury; gospody jednak: poselska i kupiecka, już w niej mieścić się przestały. Nawiasowo dodajemy, że dopiero w połowie XVIII wieku kupiectwo warszawskie wznowiło swe zebrania, które odbywały się w jednej z izb ratuszowych. Potem (w roku 1817) otwarto giełdę w pałacu saskim, skąd przeniosła się najpierw do Marywilu, następnie do Banku polskiego, aż wreszcie znalazła pomieszczenie w byłej „Ujeżdżalni“ (niegdyś teatrze dworskim Augusta III) przy ulicy Królewskiej.

Wracając do Jakóba Dziańotego, zapiszmy, że został pochowany wraz z żoną, Weroniką, w grobach katedralnych, i że posiada piękny pomnik w kaplicy Najświętszego Sakramentu. Umieszczony na płycie marmurowej napis, przytacza Starowolski w „Monumentach“. Na pomniku znajdują się portrety obojga małżonków.

Wzmiankowany w aktach Starej Warszawy, pomiędzy rokiem 1645 a 1650, Jan Dziańoth (tak), ławnik magistratu, jest niezawodnie tąż samą osobą, co i Jakób Dziańoty, późniejszy burmistrz. Mała odmiana w imieniu mogła być omyłką; mógł też zacny ten obywatel nosić dwa imiona.

Utwierdza nas w tem przekonaniu okoliczność, że w ciekawych rachunkach Krzysztofa Arciszewskiego, królowi, czy też magistratowi warszawskiemu składanych, spotykamy kilkakrotnie wymienianego Jana Dziańota, jako właściciela kamienicy w Rynku. Z rachunków tych dowiadujemy się dwóch rzeczy: że w domu Dziańota znajdowało się zamczyste, warowne schowanie, i że sam Dziańot cieszył się wielkiem u współobywateli zachowaniem, skoro powierzano mu do przechowania pieniądze publiczne.

Z zapisek „starszego nad armatą koronną“, przytaczamy miejsca odnośne, jako ważne do charakterystyki stosunków ówczesnych:

... „R. 1647, 11 Junii. Panu Janowi Dziańotowi, od sklepu iego w Rynku, w którym się pieniądze Rzpltej dla warunku lepszego chowaią, od św. Jana *anni* 1646 do drugiego św. Jana *anni* 1647, dało się naimu rocznego złotych 150“.

... „R. 1648, 1 Julii. Panu Janowi Dziańotowi, od sklepu warownego w Rynku, w którym się pieniądze nowej *quarty* chowały, od św. Jana Chrzciciela 1647 do drugiego św. Jana Chrzciciela 1648 zapłaciłem naiem roczny złotych półtorasta“. — „Hausknechtowi, P. Dziańotowemu, żeby oko miał na drzwi u sklepu, na buty złotych trzy“.

We wspomianej wyżej „Rewizyi Gospód“ zapisano w kamienicy Dziańatowskiej: izb 8, oprócz „kownat“ i alkierzów; sklepów 3, piwnic 3, kuchni 4. Dodano też: „Ta kamienica na posłów cudzoziemskich *ex antiquo*“.

Gdy po raz pierwszy numerowano domy warszawskie, dokonywając zarazem „lustracyi“ każdej possessyi, kamienica ta, opatrzona wówczas numerem hipotecznym 59, posiadała: od strony Rynku Staromiejskiego sklep jeden, okien czołowych 9, po trzy na każdym z trzech pięter, szerokość zaś jej wynosiła łokci koronnych 11. Tąż possessya, od strony ulicy Brzozowej, miała tylko jedno piętro o dwóch oknach, szeroka zaś była na łokci 13. Szczegóły te podaje rękopiśmienne taryfa z roku 1784 (nie trzeba jej łączyć z taryfą drukowaną z te-

goż roku, „do składki na koszary—jak tytuł opiewa — ułożoną, i perceptę, z kwitami zgodną, okazującą“).

Część possessyi od ulicy Brzozowej została wybudowana znacznie później, niż kamienica rynkowa. Nastąpiło to w początkach XVIII wieku, gdy miasto, uważając dalszą konserwację starego muru obronnego za rzecz niepotrzebną, pozwalało przerabiać go na domy mieszkalne. Z tego muru właśnie powstała owa kamieniczka — jak cała zresztą tamta połać ulicy Brzozowej.

Każdego, kto ogląda dziś tyły dawnej kamienicy Dzianotowskiej, zadziwia niezwyła ich postać. Można-by sądzić, że to szczątki twierdzy, dziwnym zbiegiem okoliczności na siedzibę ludzką przetworzone. Pozory mylą. W przeszłości przybudówek owych niema nic wojowniczego; one noszą na sobie po prostu ślady niefortunnych pokuszeń spekulacyjnych.

W roku 1766 kamienica „pod Fortuną“ została własnością słynnego lekarza warszawskiego, Jana Chrzyciela Czempińskiego.

Czempińskim wystawia pochlebne świadectwo J. Bartoszewicz w „Kościołach warszawskich“. Pisze, że ta rodzina za Stanisława-Augusta i wcześniej należała do najzasłużeńszych w stolicy, a zwłaszcza w obrębie Starego Miasta. Wzmiankuje zarazem o szczególnem nabożeństwie, jakie mieli do kościoła księży Augustyanów. Wreszcie o jednym Czempińskim mówi, co następuje:

„Ambroży Tomasz Czempiński, metrykant skarbu koronnego, uczynił u Augustyanów zapis na mszę, mającą się odbywać o 12-tej w południe, i otrzymał na nią dyspensę z Rzymu. Przeznaczył ją dla osób (głównie urzędników), zatrudnionych urzędowaniem w godzinach przedpołudniowych, i stąd narażonych na opuszczenie mszy świętej. W kaplicy Augustyanów, gdzie ta msza dotąd się odprawia i odprawiać będzie po wszystkie czasy, znajduje się popiersie dobroczyńcy z marmuru. Umarł Czempiński w 1768 roku“.

Ten fundator mszy wieczystej był właśnie ojcem Jana Chrzyciela, lekarza, a dziadem Pawła, doktora medycyny, wykształconego w Wiedniu.

Czempiński Paweł, urodzony w Warszawie i w Warszawie do śmierci przemieszkujący, pod niejednym względem dobrze się miastu i społeczeństwu zasłużył. Biegły w teorii i praktyce lekarskiej, uprawiał również z zamiłowaniem nauki przyrodnicze. Napisał oryginalnie podręcznik szkolny pod tytułem: „Zoologia, czyli Zwierzętopismo dla szkół narodowych“; pomagał też Klukowi w pracy nad „Botaniką“, dla tychże szkół przeznaczoną.

Zebrawszy znaczny majątek. Czempiński nabył dwie pobliskie possessye przy ulicach: Brzozowej i Gnojnej (ówczesnej) numery hi-

poteczne 215 i 216. Posiadając obszerne place i znaczny kapitał, postanowił zabawić się w przemysłowca, i w tyłach swej posesyi zaczął budować gorzelnię, dystylarnię, młyn zbożowy i t. p. Z winy budowniczych, czy też z powodu zlej natury gruntu, fundamenty dużych gmachów obsuwały się, mury krzywiły, i po wielu niepomyślnych próbach i wyczerpaniu się kapitału całego, przedsięwzięcia zaniechać musiano.

Doktor Czempiński, ożeniony z Prowidencją Lafontaine'ówną, córką znakomitego również lekarza z czasów Stanisława Augusta, był rodzonym dziadkiem znakomitej autorki, Klementyny Hoffmancewicz. Córka Czempińskiego została poślubiona Ignacemu Tańskiemu, miernemu poecie i sumiennemu urzędnikowi, i owocem tego właśnie małżeństwa była przyszła autorka „Krystyny“. Kamienica „pod Fortuną“ szczyci się nawet tem, że głośna pisarka w jej murach, w roku 1798 światło dzienne ujrzała. Nie było-by też rzeczą zbyteczną upamiętnić ten fakt umieszczeniem na czole domu odpowiedniej tablicy pamiątkowej.

Życie domowe Czempińskich odznaczało się nastrojem serdecznym i artystycznym. Wieczorami zabawiano się tam muzyką, którą wszystkie dzieci doktora z powodzeniem uprawiały, oraz literacko-naukowemi pogadankami, na które, obok młodych aspirantów do wieńca wawrzynowego, uczęszczały najpoważniejsze znakomitości ówczesne.

Do najstarszych i najzażyłszych bywalców gościnnego domu Czempińskich, należał ksiądz Franciszek Bohomolec. Pod miłym wrażeniem stale doświadczanej gościnności, napisał ksiądz-poeta dochowany w rękopisie wierszyk. Przytaczamy go, jako utwór dziełnego pisarza, oraz ciekawy przyczynek do kroniki Starego Miasta:

*Wieczory na Starem Mieście u konsyliarzowstwa
Czempińskich.*

Wdzięczne wieczory, rozkoszne me chwile,
Które w Czempińskich domu trawię mile,
Tak słodkie dla mnie tam powaby macie!
W tem złe, że nazbyt prędko upływacie.
Przyjemna ludzkość, spokojność łagodna,
Przezorna grzeczność, wesołość swobodna,

Przystojne względy dla każdej osoby,
Są tego domu szacowne ozdoby.
Pan jego, skoro ze snu się obudzi,
Bieży ratować nieszczęśliwych ludzi,
A sama pani, przykład dobrych matek,
Ma baczość na dom i na grono dzieciak.
Po dziennych trudach, gdy powraca zmrokiem,
Dziateczki, miłym wzruszone widokiem,
Niewinne rączki ku niemu ściągają,
I sercem raczej, niż usty, witają.
Chcąc potem ojca dobrego ucieszyć,
Poczynają się do muzyki śpieszyć;
Ta klawicymbał, ta arfę porywa,
Ów głosu z skrzypiec miłego dobywa.
Ozwią się zaraz zabawne piosneezki,
Wdzięczne aryjki, wesołe taneczki.
W tych wszystkich matka pierwsze trzyma czoło,
Dźwiękiem i pieniem dowodząc wesoło.
A skoro głosy ucichną, muzyki,
Wnet bawić zaczną roztropne żarciki,
Lub inne jakie rozrywki ucziwe,
Wnosząc do serca wesele prawdziwe.
Wpółród miłego tego zgromadzenia
Nikną me troski, nikną utrapienia,
A serce, dziennym kłopotem znudzone,
Znajduje sobie chwile ulubione.
O miły domie, którego ponęta
Ośladza życia mojego momenta,
Twojej ludzkości jest to dar prawdziwy,
Że chociaż krótko, bywam w nim szczęśliwy.

Aż do roku 1821 zapisywany jest w taryfach, jako właściciel kamienicy pod numerem 59, Czempiński. Potem ona przechodzi do Jana Zawiszy. Dokładną listę późniejszych posiadaczy wypisujemy z Wejnerta. Po roku 1822 byli nimi kolejno: Julia z Zawiszów Słomińska, Jan i Felicjanna ze Styczyńskich Lindnerowie, Józafat Cybulski,

Aleksander Brujewicz, Kiwa i Cecylia Lebenthalowie, Jan i Paulina Baumgartowie, Franciszek i Karolina Dzwonkowscy, Gustaw Meizner. Obecnie jest własnością Augusta Gebauera.

O tej kamienicy dwa jeszcze mamy do zanotowania szczegóły.

Około roku 1750 mieszkali tu słynni malarze: Czechowicz Szymon i z siostrzenicą jego ożeniony Smuglewicz Łukasz.

W końcu XVIII stulecia ksiądz Bohomolec zahipotekował na tym domu sumę, na cel dobroczynny przeznaczoną, od której procenty wypłacane są dotąd „wstydzącemu się zebrać“.

Nr 20 (60).

Po bogatym we wspomnienia domu poprzednim, ten wygląda dziwnie jałowo i beztreściwie. Przy rozpatrywaniu jego przeszłości, nie udało mi się zebrać żadnego prawie materiału historycznego i kronikarskiego; zmuszony jestem nawet pozostawić komu innemu rozwiązanie zagadki, jaką przedstawia znajdujący się nad furką, a mocno już zatarty herb, przedstawiający, jak się zdaje, rogi jeleńnie z zębatą nad niemi koroną.

Lustracya z czasu wojen szwedzkich nazywa ten dom „Balcerowski“. Ta nazwa nasuwa ponownie wątpliwość, jaką poruszałem już, opisując jedną z kamienic przy ulicy Nowomiejskiej (№ 3/178), mianowicie: czy „Balcer“ (Baltazar) jest tu nazwiskiem, czy też użytem zamiast nazwiska — imieniem? Patryarchalność, panująca wśród ówczesnego mieszczaństwa warszawskiego, które tworzyło jakby jedną rodzinę, czyni możliwem ostatnie przypuszczenie.

Przypuszczeniu temu większe jeszcze prawdopodobieństwo nadaje „Rewizya Gospód“, gdzie o domu tym napisano: „Kamienica *ante* Balcerowey Giziney“. To już wyraźna wskazówka, że dom należał poprzednio nie do jakiegoś Balcera o niewiadomem imieniu, lecz do Balcera, czyli Baltazara Gizy.

„Rewizya“ wymienia w tym domu: izb 11, piwnic 3, sklepów 2, kuchen 3.

Przy końcu XVIII i w początkach XIX wieku posiada opisywaną kamienicę jakiś „sławetny“ Kurke. Późniejszymi właścicielami są: Ptaszyński Kazimierz, Dorantowicz Paweł i Wilczan.

Dziś ją posiadają sukcesorowie tego ostatniego.

Nr 18 (61).

Kronika tego domu zaznajamia nas z nową rodziną obywateli staromiejskich: Orlemusami, a właściwie Horlemesami.

Jakby dla dopełnienia różnolitości plemiennej patrycyatu warszawskiego, pochodzenie tej rodziny było hollenderskie. Horlemesowie prawdopodobnie przybyli do Warszawy razem z osadnikami, którzy zajęli i uprawili dziką naówczas kępę „Kawczą“ na Wiśle. (Kępa, nazywana z tego powodu przez czas długi „Olendrami“, za Augusta II otrzymała dzisiejszą nazwę „Saskiej“).

W aktach starej Warszawy z nazwiskiem Horlemesów spotykamy się po raz pierwszy w roku 1624. Horlemes, szafarz miejski, podczas panującej wówczas zarazy morowej, z polecenia Magistratu, wystawia na „Kępie Polkowskiej“ (wprost Zamku, dziś już nieistniejącej) siedem budynków drewnianych dla dotkniętych zarazą.

Ten Horlemes umarł w roku 1641 jako rajca Magistratu. Ma w kościele katedralnym św. Jana pomnik, z portretem na blasze, wystawiony przez żonę, Barbarę Gizankę.

Napis na pomniku następujący:

D. O. M.
Joannem Horlemes Varsaviensem Civem
Artis huc opificio expressum vides,
Qualem virtus expresserat
Videre non potest.
Bono Patriae natus
Ad extremum vitae diem continuatis
Magistratibus
Eidem laudatissime praefuit,
Et eximia morum probitate praefulsit,
Post Consulatus plures summa cum omnium
Ordinum approbatione gesto
Singularium Suffragio meritorum aeternis
Coeli
Consulibus adnumerandus
Obiit
Anno Domini MDCXLI die XII Augusti,
Barbara Gizanka Uxor marito suarissimo
N. N. N. N. Filii Parenti optimo
p. p.

W roku 1672 Augustyn „Orlemus“ jest wójtem (*advocatus*) Starej Warszawy. Gdy w tym roku powstaje pierwsza w Warszawie kommissya do kontroli nad mieszkaniami i meldunkami mieszkańców, należy on do tak zwanych kwatremistrzów, czuwających nad tą czynnością.

Horlemesowie posiadają ten dom przez cały wiek XVII-ty.

Znajdująca się na czole domu tablica jest świadectwem libertacyi. Libertacya nastąpiła późno, gdyż dopiero w roku 1836.

Napis całkowity brzmi:

Constitutione anni 1736.

Fol. 109 tit. gratitud;

Ab ex-officio

Liberata

et

Ab oneribus civilibus

in perpetuum vindicata.

W drugiej połowie XVII wieku dom „Orlemesowski“ był własnością i mieszkaniem Piusa Kicińskiego, dobrego i zasłużonego obywatela. Nowy posiadacz z gruntu possessyę swą odświeżył i uczynił jedną z najporządniejszych w Rynku.

Zasługi Kicińskiego dla miasta i dla kraju są zbyt wielkie, abyśmy mogli ominąć sposobność przypomnienia ich ziomkom. Dziś prąd życia społecznego, choć ani głęboki, ani obfity, jest tak szumny i po waryacku prędki, że nie daje czasu oglądać się nawet za ludźmi doby wczorajszej.

O Piusie Kicińskim, oprócz luźnych, encyklopedycznych notatek, posiadamy obszerniejsze artykuły w „Przyjacielu Ludu“ (r. 1840, № 19), z podpisem S., w „Cmentarzu Powązkowskim“ K. Wł. Wójcickiego (tom II, str. 188), oraz na czele „Poezyi“ Brunona Kicińskiego, jego syna.

Najwięcej światła na postać dzielnego patrioty, a zarazem i na całą współczesną mu epokę, rzuciły-by pozostawione przezeń pamiętniki, dotąd wszakże nikt nie zajął się ich wydaniem i, nie wiemy nawet, gdzie się w obecnej chwili rękopis ich znajduje.

Bruno Kiciński, założyciel „Kuryera Warszawskiego“, utalentowany poeta i dziennikarz, jeden z pierwszych u nas, po dzisiejszemu się wyrażając, publicystów, uczcił pamięć ojca ciepłym wspomnieniem pozgonnem, do którego dołączył jego portret, oraz wybór dylettanckich, lecz nieraz szczęśliwych, prób poetyckich.

Portret przedstawia dorodnego, w średnich latach mężczyznę, w kontuszu, z wielką wstęgą orderu świętego Stanisława na piersiach. Ten portret w zupełności usprawiedliwia, co o ojcu napisał syn:

Świetna powaga czoło zdoła,
Wzrok męski w czarnej źrenicy tłał,
Ale na ustach słodycz tak miła,
Uśmiech tak lube siedlisko miał,
Iż mnie się zawsze myśl ta marzyła,
Że uśmiech matki Bóg dobry dał
Ojcu, dla tego, aby w tęsknocie
Po matki stracie ulżyć sierocie.

Pius Kiciński (syn Michała i Franciszki z Ryłskich) w historii kraju zapisał się tem głównie, że energicznie i skutecznie zwalczał *liberum veto*.

Urodzony na wsi, stał się później prawie zupełnym mieszczaninem, gdy, oddany na dwór Stanisława Augusta, otrzymał tytuł sekretarza królewskiego, a z czasem został „szefem“ królewskiej kancelaryi. Te zajęcia zmuszały go do przemieszkiwania w stolicy; one też pewnie sprawiły, że zapisał się do szeregów mieszczaństwa warszawskiego.

Dwukrotnie posłował na sejm, jako przedstawiciel ziemi Czerskiej i Liwskiej; a podczas sejmku czteroletniego otrzymał od króla kasztelanję Polaniecką.

Niedługo cieszył się tytułem kasztelana; okoliczności jednak sprawiły, że go zamienił na tytuł hrabiego. Tym ostatnim obdarzył go cesarz austriacki, Franciszek, pod którego berło i protektorat schronił się po roku 1794. Władca Austrii w ten sposób wytępił w Galicyi nienawistne sobie tytuły kasztelanów i wojewodów, że pozwalała kupować za nie dziewięćoperłowe korony.

Powróciwszy, ze zmianą stosunków politycznych, do kraju, Pius Kiciński nie pysznił się swem młodem hrabiostwem, które ogół dość ironicznie traktował; syn już wszakże nie zaniedbał tytułu tego na zawsze z nazwiskiem swem połączyć.

W r. 1817, po wskrzeszeniu Królestwa, był sekretarz Stanisława-Augusta powołany został, na przedstawienie senatu, na senatora kanclerza; pełnił też obowiązki sędziego najwyższego.

Umarł w Warszawie, w 1828, mając lat 77, i pochowany został na cmentarzu Powązkowskim.

Autor życiorysu jego w „Przyjacielu Ludu“ tak o nim pisze:

„Zasługi Piusa Kicińskiego w krótkich zawrzemy słowach. Będąc posłem, stał się jednym z pierwszych powodów do zniszczenia *liberum veto*, a gdyby cała jego działalność ześrodkowała się jedynie w naprawieniu tego, co Siciński (poseł Upicki), zepsuł, już byłoby dlań dość prawa do zostania w dziejach naszych. Jednak nie tu się kończą jego zasługi. Ulepszył on wiele form w obradach i ustawach; będąc przy boku Stanisława-Augusta, odprowadzał go nieraz od słabych czynów, którymi się ten król plamił...“

W „Małej Encyklopedyi polskiej“ (Leszno i Gniezno 1841) zapisano następujący fakt z działalności politycznej Piusa Kicińskiego, dokładnie wyrażający jego przekonania i dążenia:

... „Godne jest uwagi, że w ciągu swej mowy (na sessyi sejmowej 27 stycznia 1792 r.), Kiciński, jakby przyszłości widokiem natchniony, nalega na sejm, aby z winowajczymi magnatami, jakąkolwiek wziętość posiadają w narodzie, tak postąpiono, jak z mniej ważnymi obywatelami, naprzykład z generałem Kościuszką (!), gdyby (czego nie dopuszcza) ten czcigodny mąż miał być kiedykolwiek przestępny prawom i ojezyźnie. Wskutku owych przemowień, ukarani zostali Potocki i Rzewuski utratą urzędów; władzę zaś hetmańską na zawsze zniesiono.“

Wspomnieliśmy o poetyckich próbach Piusa Kicińskiego. Pragnąc w tym szkicu dotknąć choć pobieżnie wszystkich stron jego różnorodnej działalności, powtarzamy przytoczony przez Wójckiego wierszyk p. t. „Myśl na cmentarzu“:

Pod tym głazem — pan śpi razem

I poddany;

Bo już w grobie — równe sobie

Wszystkie stany.

Więc przechodniu! — pomyśl o dniu
 Zgonu twego;
 Wynijdz z błędu — i bez względu
 Czej bliźniego.
 Nędznych wspieraj — lzy ocieraj
 Wszystkich braci.
 Gdy cię z niemi --złożą w ziemi —
 Bóg zapłaci!

Prosty to wierszyk, ale poczciwy, zacny, duszę szlachetną ujawniający.

Poza osobą Piusa Kicińskiego, nic już kamienicy, o której mówimy, nie uświetnia.

W roku 1784 posiada ją „szlachetna“ Andrychowiczowa; potem przechodzi kolejno do rąk Białobrzeskich, Solnickich. Około 1845 r. jest własnością p. Jana Gautiera, na polu dobroczynności publicznej znanego, który odstępuje ją Waleryanowi Grabowskiemu. Dziś należy do J. Maya.

№ 16 (62).

W taryfie z r. 1832, wydanej przez J. Glücksberga znajdują się dwa numery 62, odróżnione literami *a* i *b*. Pierwszy numer posiada całe czoło od strony Rynku, drugi od ulicy Brzozowej. Nr 62 *a* jest własnością Łucyi Dalewskiej, nr 62 *b*—Antoniego Kobyleckiego.

Rozdział ten, jak się zdaje, nastąpił w bliższej już nam epoce. Dawniejsze lustracje i rewizye nic o nim nie wspominają.

Najdawniejszym ze znanych nam posiadaczy tej kamienicy jest Tomasz Kociszowski. Pod rokiem 1609 spotykamy tego Kociszowskiego na liście „Koła Ławniczego“ Starej Warszawy; w lat kilkanaście później jest rajcą. Na wyższe urzędy nigdy Kociszowskich nie wynoszono, i wogóle w kronice staromiejskiej nieznaczną oni odegrali rolę. Mimo to wymienia ich Jarzembski pomiędzy przedniejszemi rodami mieszczańskimi.

W drugiej połowie XVII wieku posiada kamienicę Morykoni. Znajduje się w niej wówczas, według „Rewizyi Gospód“ — izb 8, sklepów 3, piwnic 3, kuchen 3. Stawał tu gospodą Referendarz koronny świecki.

Taryfy drukowane poczynając od r. 1784, z wyjątkiem wspomnianej taryfy Glücksberga, nie rozróżniają dwóch posesyi, jednym numerem oznaczonych, zaznaczają wszakże dwoistość tę w inny sposób, mianowicie: wymieniając dwóch oddzielnych posiadaczy. I tak: w r. 1784 wymienieni są: Dalewski i Greber; w 1797 — ciż sami (zamiast Greber — Greiber); w 1807 — Dalewicz (tak) i Chruszczewicz, w 1817 r. — ciż sami; w r. 1821 — Dalewscy i Chruszczewicz; w r. 1844 występuje tylko jeden właściciel Franciszek Poliński, później, przy jednym właścicielu i jednym numerze, dopisywane są zwykle litery A B.

Ze wspomnień potocznych, do tego domu przywiązanych, to chyba jedno zanotować można, że około r. 1830 mieszkał w nim Gugenmus Antoni, słynny zegarmistrz, z którego pracowni wyszły najlepsze zegary wieżowe, jakie dotąd Warszawa posiada.

Był on synem Franciszka Gugenmusa, również słynnego zegarmistrza, o którym zajmujące szczegóły opowiada Wojcicki w dziele: „Warszawa, jej życie umysłowe itd. w ciągu lat 30 (1800—1830).“ Ten Gugenmus wyrabiał głównie małe zegarki kieszonkowe, a że był dostawcą dworu Stanisława-Augusta, umieszczał zwykle na tarczy zegarkowej napis: „François Gugenmus Horloger du Roi“. Zegarki te cieszyły się wielkiem powodzeniem, a dziś poszukiwane są przez zbieraczy starożytności.

„Była to osobistość oryginalna i wydatna — opowiada o Gugenmusie Wójcicki. Chodził dzień cały po ulicach Warszawy, zawsze jednako ubrany, w surducie granatowym, krojem staroświeckim, w spodniach czarnych lub ciemnych, krótkich po kolana, w pończochach białych jedwabnych i trzewikach z dużemi srebrnemi sprzążkami. Na głowie, której nigdy nie nakrywał, peruka upudrowana, wypomadowana, u fryzowana w duże loki, z herbajtem z tyłu. Kapelusik mały, składany (*chapeaubas*) pod pachą lub w ręce, kończył ubiór, którego nigdy nie zmieniał, latem czy zimą, w dzień pogodny lub deszcz i największe błoto“.

Ten Gugenmus był „chodzącą gazetą“, i otrzymując w licznych listach, odbieranych z zagranicy, najświeższe wiadomości polityczne, roznosił je po całej Warszawie.

Pisze Wójcicki, że mieszkał Gugenmus na ulicy Świętojańskiej „we własnym domu pod nr. 27“, i w tem myli się, dom ten bowiem był zawsze własnością księży Seminarzystów.

W każdym razie Gugenmusowie, jako wierne, choć przybrane dzieci Starej Warszawy, nigdy się za obręb jej murów nie wprowadzali.

№ 14 (63).

Wyjątkowo ubogą w fakty jest kronika tej, niczem nie odznaczającej się, kamienicy.

Prócz nazwiska, nic nie wiemy o jej pierwszym, z początków XVII-go wieku, właścicielu. Był nim jakiś Kupczewicz, człek i nazywający się dziwnie i dziwną tajemniczością przed potomnymi okryty.

Domyślać się tylko możemy, że był spokrewniony z rodziną Strubicza, burmistrza i obywatela Starej Warszawy, i że po jego śmierci, kamienica do rodziny tej przeszła, czy też tylko powróciła. Domyśl ten opieramy na wspomnianej tu wielokrotnie „Rewizyi Gospód“, w której o tym domu napisano: „Kamienica Kupczewiczowa, *ad praesens* sukcesorów Strubicza“.

Stawał w tej kamienicy wojewoda Łęczycki; była też w porze sejmowej „na dwór JKMości“, to znaczy na pomieszczenie zwiększonej liczby dworzan królewskich, zabierana.

Liczono w niej: izdeb 7, sklepów 2, piwnic 3, kuchen 2, kramnicę jedną.

„Szlachetny“ Łyszkewicz, Fontana, Kraszewski czy też Kruszewski. Czerwiński—oto kolejni posiadacze tej mało ciekawej possessyi w wieku XVIII i XIX.

№ 12 (64).

Co za jedni byli Czerscy, którzy w początkach wieku XVII-go tą kamienicą władali, a może ją nawet, w dzisiejszym jej kształcie, wzniesli?

Na to, pytanie nie możemy, niestety, dać wyczerpującej odpowiedzi. Cała nasza znajomość rodziny Czerskich ogranicza się na

fakcie, że w roku 1621 Jan Czerski pełnił obowiązki ławnika Starej Warszawy oraz na ogólnikowej wzmiance Jarzembskiego, który, wymieniwszy zasługi Gizów, Strubiczów, Drewnów, mówi:

Czersey dobrzy między niemi,
Godni równo siadać z niemi.

W drugiej połowie tegoż wieku znikają Czersey nawet z liczby posessyonatów staromiejskich, a kamienica, o której mówimy, przechodzi na własność Kociszowskiego, zapewne tegoż samego, co posiadał i pobliską (pod nr. 62) possessyę.

Około r. 1670 jako właścicielka domu występuje „pani Kociszowska“.

Stawał tu gospodą biskup plocki. W kamienicy liczono podówczas: izb. 8, sklepów 3, piwnic 3, kuchen 2.

Przez przeciąg stu lat blisko, to jest od połowy XVIII-go do połowy XIX wieku dom pod nr. 64 był własnością Archikonfraternii Literackiej.

Bractwo to, nie z literaturą nie mające wspólnego, nabywało tę possessyę częściowo przez cały szereg lat, mianowicie od r. 1736 do 1796. Możliwość kupowania nieruchomości zawdzięczało hojnym ofiarom swych członków, w ostatnich latach stulecia poprzedniego czynionym. Odnaczyli się pod tym względem „bracia“: Sroczyński, Soczawski, Bogdanowicz i Wysoczyński.

Dochody majątku stałego archikonfraterni były przeznaczone na wspieranie członków niezamożnych lub chorych, nabożeństwa za zmarłych i utrzymanie w świetności kaplic bractwa.

Archikonfraternia posiadała kilka possessyi, wszystkie jednak w roku 1856-ym sprzedała, „aby połączywszy kapitały z funduszami powstałymi ze składek, obmyśleć stały środek, który-by pozwolił wypełniać nowe obowiązki i cele, jakie sobie bractwo w umowie przepisało.“

Jakoż już w taryfie z 1859 dom pod nr. 64 zapisany jest jako własność prywatna.

Przy sposobności kilka słów o samem bractwie.

Archikonfraternie, czyli arcybractwa „literackie“, były rozpowszechnione nie tylko na Mazowszu, lecz również w Wielkopolsce i innych prowincjach Rzpltej. Odróżniały się od innych bractw tem, że koniecznym warunkiem przyjęcia do nich była umiejętność czyta-

nia po polsku, a podobno i po łacinie. Tylko „rozumiejący pismo“ byli do bractw literackich dopuszczani.

Warszawska Archikonfraternia Literacka została założona w r. 1540. Nie mieściła się wówczas tam, gdzie obecnie, to jest przy kościele św. Jana, lecz przy kościele i klasztorze św. Jerzego, niegdyś przy ulicy Świętojerskiej istniejących.

W tym ostatnim kościele arcybractwo miało swą własną kaplicę, nazywaną kaplicą św. Trójcy; samo też istniało w początkach pod wezwaniem św. Trójcy, Narodzenia N. M. Panny i św. Jakóba Apostoła.

Przeznaczeniem jednak było i Archikonfraternii Literackiej przemieszczać się często z miejsca na miejsce. Już w r. 1579, a więc w niecałe lat 40, widzimy ją przy kościele św. Ducha, „za Bramą Nowomiejską.“

Tam za czasów Władysława IV, odwiedza ją Jarzembski, i zastawszy braci niewiadomo czy na modlitwie, czy też na jakiejś żwawej brackiej dyspacie—mówi o nich ironicznie:

Wszedłem, aż tam literacy
Krzyczą—rozumiałem: zacy..

I u św. Ducha Archikonfraternia długo nie gości. W połowie wieku XVII przenoszą się „literaci“ najpierw do św. Jana, następnie do Jezuitów, wreszcie na poprzednie miejsce wróciwszy, już na niem pozostają.

U św. Jana czyli u Fary kapituła oddała arcybractwu oddzielną kaplicę. Kaplica ta, należąca kolejno do rodziny Wolskich i Kazanowskich i nosząca tytuł św. Krzyża, była podówczas bardzo zrujnowana. Nowe bractwo doprowadziło ją swym kosztem do porządku, poczem odnowiona kaplica otrzymała tytuł Niepokalanego Poczęcia N. P. Maryi. Ten tytuł dotąd jej przysługuje, choć nazywana jest zwykle kaplicą Archikonfraterni Literackiej. Znajduje się po prawej stronie presbyterium, a wejście do niej zamyka wielka, misterna krata żelazna.

Właściwie od tej daty dopiero bractwo literackie zaczęło się nazywać „Archikonfraternią“; w tej też dacie wzięło początek jego pamiątkowe Album, którego pierwszą kartę wypełniają podpisy własnoręczne Michała Korybuta i jego małżonki Eleonory. Na dalszych kartach podpisywali się kolejno *manu propria*: Jan III (z żoną i sy-

nami), August II, August III (z żoną), Stanisław-August, Fryderyk-August, książę Warszawski itd. Obok nich grupują się najpierw dostojnicy Rzpltej od końca w. XVII począwszy.

Na ciekawym „liście brackim“ czyli dyplomie Archikonfraternii, rysowanym w r. 1842 przez Józefa Głowackiego, znajduje się u góry wizerunek N. P. Maryi, a po bokach wizerunku postacie klęczące; z lewej strony: Sobieski, Poniatowski, Korybut i August II; z prawej strony, dwie królowe (zdaje się Eleonora i Marya Kazimiera), oraz jakaś kobieta w habicie mniszki. U dołu czterej Ewangeliści, czytający i piszący.

Dawna kamienica Archikonfraternii Literackiej jest dziś własnością Olszewskich.

№ 10 (65).

Dochowała się jeszcze na czole tego domu tablica pamiątkowa, ale już z epoki późniejszej. Napis jej, wbrew zwyczajowi, polski. Tem dziwniejszy to wyjątek, że właśnie w owym czasie jak najbardziej łaciną się sztukowano.

Obywatel, który w początkach wieku XVIII-go kamienicę tę nabył i po swojemu przerobił, ten fakt, ważny dla siebie, w tych słowach przekazuje potomności:

Bogu na cześć,
Najmilszym dzieteczkom
I sobie ku wygodzie,
A miastu ku większej ozdobie.
Dnia 9 kwietnia 1709.

A. B.

Litery A. B., znaczą: Andrzej Byczkowski.

O tym Byczkowskim zapisał Sobieszczański wiadomość, że zamieszkawszy w swej posiadłości w trzydziestym roku życia, umarł po

siedemdziesięciu latach przemieszkiwania w niej, a zatem jako starzec stuletni.

Zasłużony historyk Warszawy przytacza ten fakt na dowód, że warunki higieniczne Starego Miasta nie są tak złe, jak o tem sądzą powszechnie. Owszem, utrzymuje Sobieszczański, że „mimo nieprzyjajnych dla zdrowia warunków, mieszkańcy Rynku dochodzą lat sędziwych, i nigdzie może nie spotyka się tylu starców, co w tej dzielnicy“.

To twierdzenie zadziwi z pewnością każdego higienistę, którego ciekawość, przypadek lub obowiązek zawiadły kiedykolwiek do wnętrza staromiejskich domów, w ich stanie obecnym. Jak tam było przed wiekami, nie wiemy, przypuszczać jednak można, że było lepiej, choćby z przyczyny mniejszego zaludnienia miasta. Dziś, zaćmle w wązkich sieniach powietrze; małe, do studzien głębokich podobne, podwórka; zaduch z odbywającego się na Rynku targu; wreszcie blizkie sąsiedztwo brudnego, pokładami odpadków miejskich podwyższonego Powiśla, czynią dzielnicę Staromiejską jedną z najmniejzdrowszych, a może najniezdrowszą w Warszawie.

Przed dwoma wiekami, dom opisywany był własnością Baryczków.

Posiadał go najpierw ksiądz Hyacynt (Jacek) Baryczka, o którym wspominaliśmy w obszernym rodowodzie tej rodziny; następnie Stanisław Baryczka „Owiesny“ królewski, o którym również była wzmianka. O księdzu Jacku dodajemy jeszcze kilka słów, zamieszczonych w opisie Warszawy z wieku XVIII:

„Znajduje się w Warszawie duchowne seminaryum czyli *Studium theologicum generale*, którego przełożonych i nauczycieli biorą z różnych klasztorów, bez względu, lub mało zważając na zakon. Znajduje się w nim bardzo znaczna publiczna klasztorna biblioteka. Założył ją już przed połową przeszłego wieku O. Hyacynt Baryczka, znakomity, we wszystkich sztukach i naukach biegły, Dominikanin. Brat jego, Stanisław Baryczka, generalny komisarz wojenny za Jana Kazimierza, dopełnił ją i zaokrąglił.“

Jak widać z tej wzmianki, brat był tu spadkobiercą brata.

W drugiej połowie wieku XVII liczono w tym domku: izb 5, sklepów 3, piwnic 3, kuchni 2, oraz jedną—stajenkę.

Po Byczkowskim był właścicielem Mateusz Szatkowski. Następnie posiadali ten dom: „szlachetny“ Ebert a po nim Fryderyk Ulbrycht, fabrykant kadzideł. Obecnie, od wielu już lat, znajduje się w posiadaniu rodziny Holców.

Nr 8 (66).

Kronika tego domu miała-by karty zupełnie puste, gdyby nie wyjątkowe stanowisko społeczne pierwszego ze znanych nam jej właścicieli.

Tego właściciela najdawniejsze źródła nazywają krótko: Jerzy, z dodatkiem „Muzyk“. W innych źródłach jest wskazana bliżej jego specjalność „kornecista“.

Fakt, że na liście obywateli staromiejskich, zapelnionej prawie wyłącznie nazwiskami kupców, a niekiedy mężów nauką odznaczających się (viri literati) znaleźć się mógł... grajek (wyraz „artysta“ nie miał jeszcze u nas wówczas prawa obywatelstwa) już sam przez się wyjątek od zasady okazuje.

Ów Jerzy był niezawodnie członkiem kapeli królewskiej i cudzoziemcem. Kapela Zygmunta III, liczna i dobrana, liczyła się do najlepszych w Europie, składali ją zaś sami cudzoziemcy, przeważnie Włosi. Jakiś więc Giorgio, człowiek niskiej „kondycyi“, bo się nawet z nazwiskiem jego nie liczone, protegowany pewnie przez marszałka, a może i przez samego króla, skoligacił się z mieszczaństwem warszawskiem, i wraz z ręką jakiejś nadobnej dziewoi otrzymał nadobniejszą jeszcze kilkopiętrową posiadłość.

A by z własnego majątku mógł ją nabyć, rzecz wielce wątpliwa. Wprawdzie muzycy królewscy pobierali po 200, 300 i 400 florenów rocznej gaży, prócz „barwy“, to jest dworskiego przystojnego przyodziewku, wszystko to jednak trwonili na wino i hulankę.

Ksiądz Siarczyński, pisząc o narzędziach muzycznych używanych w epoce Zygmunta III wymienia: regały, puzony, szorty, cytry, skrzypice, cymbały, organy, trąby, lutnie, surmy, fletnie, teorbany, bandury. O kornetach zamilcza. Dzięki sławetnemu Jerzemu, wiemy, że i ten ostatni instrument na pokojach królewskich oraz pod sklepieniem kościoła Świętojańskiego rozbrzmiewał.

Rewizya gospód z roku 1669-go nie wskazuje, kto w domu tym stawał; zapisano tam tylko, że jest oddany do dyspozycyi marszałkowskiej. Rewizya wymieniał tam: izb 6, sklepów 3, piwnic 3, kuchnię jedną, komorek 2, izdebkę oraz „salę na górze“.

Następcą fortunnego kornecisty był Kotowicz, pisarz W. Ks. Litewskiego.

W przedostatniem i ostatniem stuleciu posiadali tę kamienicę: Przechborski, Tokarski, successorowie ostatniego, wreszcie Zylbertrest.

Nr 6 (67).

Najpierw Gizowie, potem Martensowie, wreszcie Wachnicowie byli kolejno posiadaczami tej kamienicy.

Przez pewien czas, przy końcu wieku XVI-go należała, do Jeżuitów litewskich, którzy posiadali równocześnie dwa domy w kierunku ulicy Celnej.

Ta kamienica, podobnie, jak wszystkie bok ten tworzące, została obrócona w perzynę przez wielki pożar w 1607. Po dźwignięciu z ruin, wmurowano w jej ścianę czołową tablicę z napisem ten fakt upamiętniającym. Oto ten napis:

*Mille et sexcentos septem numeravimus annos,
Cum sub rorosa flamma domos rapuit,
Hoc fatum crudele; diu memorabil Regno,
Et nobis miseris civibus ignis erit,
Sed quia dulce solum Patriae dulcis locus,
In quo fata favent; dulcis pro Patria labor est.
Vivat Sigismundus Rex Tertius, auspicio ejus
Omne quod accepit restituit Dominus a fundamentis*

(Reformatum)

A. D. M. D. C. X.

Zakończa ten napis zdanie osobliwe, w którym niewiadomo co upatrywać: brutalną manifestację ideałów kupieckich, czy też ironię. Zakończenie to brzmi:

*Multa vi et ingenio, sed citius pecunia
Comparantur omnia.*

Ktoś tę myśl spolszczając, zamknął ją w dwuwierszu:

Dzielność i rozum ludzki wiele zdziałać mogą,
Ale pieniądz najkrótszą zawsze będzie drogą.

Ten napis, ironiczny czy też bezczelny, przez analogię sprzeczności przypomina niewiele wcześniejszą pieśń Kochanowskiego p. t. „Złoto wszystko zwycięża, jednak umiarkowanie bardziej niż bogactwo czyni człowieka szczęśliwym“.

Poeta ma inny na tę sprawę pogląd:

Wielkich pieniędzy wielka troska naśladuje,
A im człowiek w pokładzie swoim więcej czuje,
Tem jeszcze więcej pragnie. Słusznie moje oko
I nigdy przedtem, i dziś nie zmierza wysoko.

Czasu sejmów gospoda w tym domu była przeznaczona na Wielką Pieczęć.

Rewizya wymienia tu izb 8, sklepów 3, piwnic 2, stajnię 1 na 4 konie, kuchen 3 i komorę na drwa.

Ze wspomnień potocznych zapiszmy, że tu mieszkał i tu w 1822 umarł Gracyan Korwin, zapomniany redaktor zapomnianego pisma: „Izys Polska“.

W ciągu ostatnich stu lat posiadali ten dom kolejno: Łukasiewicz, Skiwski i Kulewski.

Nr 4 (68).

Po obu stronach furty znajdują się tu jeszcze dawne „sklepy,„ to jest piwnice z wejściem od ulicy, w których ongi sprzedawano wyłącznie: wino, miód i piwo.

Nad wejściem do każdej z piwniczek znajdowały się ryte w murze napisy. Jeden z nich zatarł się całkowicie; drugi z trudnością daje się odczytać, brzmi zaś, jak następuje:

Vinum laetificat cor et acuit ingenium.

W piwniczce, opatrzonej tym napisem, odbywa się dziś, jakby przez ironię, sprzedaż śledzi.

Strubicz, burmistrz i obywatel Starej Warszawy, o którego namiętności do skupowania domów wyżej pisałem, był posiadaczem i tej kamienicy. Później posiadali ją: Tucholczyna (wdowa) i Węgenerowie.

W połowie wieku XVIII, doktor Czempiński, właściciel domu „pod Fortuną,“ w rozwinięciu swych szerokich planów spekulacyjnych, nabył i tę nieruchomość. Pozostawała w jego rękach dość długo; sprzedana zaś została w chwili upadku jego wielkich a niepraktycznych przedsięwzięciach przemysłowych.

Nabywcą był Kuliński.

Nie posiadając libertacyi, podlegała ta kamienica ciężarowi gospód sejmowych. W 1669 przeznaczona była Pieczętarzowi Wielkiemu Koronnemu. Znajdowało się w niej: izb 7, sklepów 3, piwnic 2, stajnia na 4 konie, kuchen 3 i komora na drwa.

W drugiej połowie wieku XVIII mieściła się tu słynna w swoim czasie „pensya“, czyli szkoła męska Reberta, do której uczęszczał Antoni Magier, autor wielu dziełek z zakresu meteorologii oraz ciekawych pamiętników p. t. „Estetyka miasta Warszawy“.

Nr 2 (69).

Wyniosła, okazała kamienica, zamykająca wschodni bok Rynku, należy do najpiękniejszych i najlepiej dochowanych w Starem Mieście. Gotowiśmy przypuszczać, że płomienie z wyjątkową powściągliwością zachowywały się względem pierwszej w Koronie rezydencji jezuickiej, albo, co pewniejsza, że troskliwiej od innych była przed klęską broniona.

Cokolwiekbądź, w tej kamienicy można jeszcze odnaleźć zabytki, z których gdzieindziej i śladu nie zostało, jak np. okna z szybami w olów oprawnemi.

Twierdzą niektórzy, że ta kamienica była niegdyś własnością książąt Mazowieckich. Dowodów na to niema i, co do mnie, przypuszczam, że historycy łączą dom na rogu Celnej z domem na rogu Dunaja. Zachodzi zaś pomiędzy temi domami podobieństwo, że oby dwa posiadają wystające na ulicę, sklepione i oszklone ganki, zwane „łożami.“

Fantazyja niektórych pisarzy zachodzi tak daleko, że w owej „łoży“ widzi modlącego się o rannej godzinie—Skargę...

Ta fantazyja posiada wszakże podkład realny. Czy słynny kaznodzieja w oszklonym ganku odmawiał modlitwy, niewiadomo; to jednak jest faktem, że w tej kamienicy mieszkał.

Jezuici mieli już liczne klasztory i kollegia w różnych stronach Rzpltej, Warszawa zaś widywała ich tylko przelotem. Sam nawet Skarga występował tu z kazaniami w charakterze gościa.

Ale autor „Zawstydzienia Aryanów“ zbyt bystre miał oko, aby nie dojrzeć, że ta ważna placówka domaga się obsadzenia. Szermierzowi słowa nie brakło energii i w czynach. W roku 1597 zebrawszy potrzebny fundusz z ofiar dobroczynnych, kupił dom narożny, który opisujemy.

Zaraz w roku następnym sprowadzili się do tego domu Jezuici litewscy. W mieście zaczęto nazywać tę rezydencyę „Klasztorkiem“, i nazwa ta pozostała domowi przez czas długi po ustąpieniu Jezuitów.

W tymże samym czasie, na miejscu poblizkiem podłożył Skarga fundamenty pod kollegium, opanowawszy cały ten punkt, który stać się miał z czasem ulicą Jezuicką.

Niebawem, bo już w r. 1609, przystąpili Jezuici do budowy swego kościoła.

Budowa kollegium trwała z konieczności dość długo, Skarga zatem, któremu pilno było „zawojowywać dusze“ (stąd zwany psycho-tyrannos) urządził w klasztoru tymczasowy konwikt dla młodzieży szlacheckiej.

Dalsze dzieje zakonu już do nas nie należą; co się zaś tycze dalszych dziejów Klasztoru, to one kończą się w zupełności w roku 1626, to jest w dacie ostatecznego ukończenia wszystkich gmachów Jezuickich.

Opuszczoną przez Jezuitów kamienicę nabył Burbach v. Borumbach. Rodzina Burbachów była znaczna i w magistraturze, i w handlu Starej Warszawy. Jeden z nich był burmistrzem; inny na własnych okrętach towar zamorski sprowadzał.

Po Burbachach posiadają dom Jobscy, o których brak nam bliższych wiadomości.

Rewizya gospód wylicza w tej kamienicy: izb 8, sklepów 8, piwnic 4 z przegrodami, kuchen 3 i stajenkę na 4 konie. Gospoda w niej była przeznaczona na „Pieczęć Wielką“.

Z pomiędzy późniejszych właścicieli dawnego Klasztoru, godny zapamiętania Franciszek Barszcz. Był to wielki bogacz, a większy jeszcze skąpiec. Syn jego, jedynak, w rygorze chowany, gdy po śmierci ojca dorwał się do olbrzymiej fortuny, w krótkim czasie roztrwonil ją co do grosza i w nędzy zupełnej życia dokonał.

Później piękny ten dom posiadali: Kuśmierski, Świerczyński, Kurczyński.

We wspomnieniach o Starem Mieście, spisanych niegdyś na moją prośbę przez jednego z najstarszych jego mieszkańców, znajduję fakt, świadczący o patryarchalnych stosunkach, panujących w tamtej dzielnicy. Autor wspomnień, nie żyjący już dziś, a wówczas 80-cioletni, czerstwy i żwawy staruszek, August Miaskowski, b. wojskowy, weteran o jednej ręce (drugą stracił pod Ostrołęką), w opisanym domu przemieszkał jednym ciągiem lat 55.

W 50 roku właściciel wyprawił wiernemu lokatorowi ucztę jubileuszową, na której zapewniał go ustnie i piśmiennie, że już do końca życia nie podwyższy mu komornego. Z tego przywileju korzystał nasz weteran jeszcze przez lat 5.

Z notatek ś. p. Miaskowskiego to jeszcze wypisuję; że w r. 1836, zajmując z ojcem swym pierwsze i drugie piętro, czyli ogółem 6 dużych pokoi, dwie kuchnie, z obszernymi piwnicami, drwalniami itd., płacił za nie rocznie 810 złp. Dziś mieszkania te, rozdzielone, przynoszą dochodu przeszło 600 rb. W tym samym stosunku powiększy-

ła się i wartość domu. Około 1840 sprzedano go za 47,000 złp.; dziś wart jest tyleż rubli.

Ksiądz Kurowski przytacza z „Gazety Warszawskiej“ (nr. 17 z 1777) wiadomość, że przybyły z za granicy b. major wojsk austriackich, Franciszek Bertiolati, zajmwszy w tym domu odpowiednie mieszkanie, wykładał architekturę cywilną i wojskową.

Dodajmy wreszcie, że bok tej wielkiej posiadłości od ulicy Celnej nosi na sobie ślad dotyczącej niegdyś do niego bramy miejskiej, zwanej „Wiślaną“. Ta brama wznosiła się w połowie ulicy Celnej opierając się o dwie przeciwległe kamienice. Rozrzucono ją w r. 1838.

WIKTOR GOMULICKI.

Echa wielkiego bazaru.¹⁾

Wrażenia i notatki.

III.

„Ulica narodów.“

Zwiedzałem po raz pierwszy „Ulicę Narodów“ w wielce szczęśliwych okolicznościach. Cała bowiem mądrość życiowa polega na tem, żeby wchodzić wszędzie właściwemi drzwiami i przy wejściu opłacać jak najmniej „frycowego“. Złudzenia są „frycowem“ obserwatorów i zdrowiej jest poczynać bez złudzeń, zwłaszcza, gdy rzecz ich nie jest warta. Otóż pewien uprzejmy rodak, a współpracownik wielu pism krajowych, zdobył dla mnie kartę wstępu na inaugurację jednego z pawilonów „Ulicy narodów“. Dziwna ironia losu zrzędziła, że była to właśnie inauguracja pawilonu księstwa Monaco. Stało

¹⁾ Patrz zeszyt sierpniowy.

się to powodem kilku melancholijnych wspomnień o Monte-Carlo dla uprzejmego rodaka, który z godnością korrespondenta wielu pism łączył godność ex-obywatela wiejskiego.

Oficyalne brzmienie wyrazu „in-au-gu-ra-cya“ trwożyło mnie nieco, podczas, gdy znowu olbrzymi ruch dokoła, widziany z wysokości „imperyalu“, słońce czerwcowe i perspektywa ujrzenia tego, bądź co bądź, jedynego w swoim rodzaju widowiska, podniecały i przyprawiły mię o lekką gorączkę.

— Może to jednak trzeba było we fraku?—pytałem.

— To nie jest konieczne—uspokajał rodak—widzi pan, ja się wcale nie krępuję i jadę, panie, w marynarce.

— Ma pan rację, na takiej „Ulicy narodów“ to musi być dopiero pstrocizna strojów—co?

— Tak, rozumie się, zdarzają się bardzo ciekawe kawalki. Ale ciekaw jestem jak też wystąpi Monaco? W Rumunii dali nam tęgiego szampitra-- w Grecyi była lurka, za 5. 50.

— Więc to szampanem przyjmują?

— A jakże, Panie, rozumie się. Byłem już na czterech inauguracyach. Szampan się leje aż miło. Licho nadało, żem nie mógł być w Japonii, podobno dawali Röderera, ile kto zmógł.

Ten obraz obfitych źródeł „szampitra“ w „Grecyi“, jak w „Japonii“ ostudził trochę mój zapal do „Ulicy narodów“. W wyobraźni nieco romantycznej widziałem ją w tem słońcu czerwcowem raczej jako wielobarwne obozowisko wszystkich strojów i narodowości. Przypominała mi się jakaś kolorowa fantazya z dawnej wystawy, przedstawiająca u stóp Trocadero malowniczy tłum Szkotów, Greków, Arabów, Hiszpanów, Chińczyków w jaskrawych strojach narodowych... Takie koczowisko narodów w środku świata cywilizowanego, tj., tużurkowego, mogło mieć trochę życia, trochę poezyi. Rodak korrespondent poprostu mię wyśmiał.

— Co się też panu roi! Ależ to panie wszystko dżentlemani, frak, smocking, tużurek, żadnych takich ekstrawagancyi tu pan nie znajdzie; czasem tam gdzieś jakiś dziki „arbico“, albo jedna druga „gitanos“ z... Montmartre. Wszystko głupstwo, panie, zasadnicza różnica to marka szampitra.

Było już późno, kiedy z ruchomego trotuaru wysiedliśmy przy „Ulicy narodów“, prawie nawprost pałacu Monaco i rodak mój, nie dając mi czasu na czeze rozglądziny, odrazu „przystąpił do rzeczy“ to jest przebojem wdarł się na stopnie pawilonu.

Dwóch pięknie wygalowanych lokajów i oficyalny pan we fraku czynili na wstępie honory domu, t. j. badali podejrzliwie karty i z lekka popychali gości we właściwym kierunku. Tłum, jak na processyi,

wstępował od wejścia na suto udrapowane wschody i dalej na galerię pierwszego piętra.

— Spóźniliśmy się; będzie tłok przy bufecie—syknał rodak. Niech się pan mnie teraz trzyma, to prędzej będziemy. Jakoż, poczynając sobie po kawalersku, współpracownik wielu pism krajowych (nigdy nie zdarzyło mi się spotkać z jego piórem), torował drogę wśród tłumu, który jakaś niewidzialna siła parła dokoła galeryi za drugim wschodem, gdzie w majestatycznych kształtach zarysowywał się bufet.

Z wysokości galeryi zdołałem tylko dojrzeć wspaniałą wodotrysk, bijący wpośród pawilonu nad olbrzymim kłębem białych i różowych azalii, rozlicznych palm wachlarzowatych i drzew mirto-
wych.

— Przepych, panie, jak w Monte-Carlo—smutnie a mimochodem zauważył rodak—no, a teraz proszę uważać, niech pan tu czeka pod filarem, a ja się już docisnę do bufetu.

I z temi słowy zniknął w tłumie obłąńczym. Jakoż było prawdziwe obłączenie. Za czarną lawą pleców ludzkich od czasu do czasu tylko i na krótko odsłaniała się pyszna zastawa stołu, masywne srebra, wspaniałe palmy, piramidy ciast i owoców, jasny blond szampana w puharach rzędem stojących.

Ponad tłumem szturmujących pleców górowało tylko pół tuzina pięknie, porządnie, świetnie ogolonych twarzy kamerdynerów o dyplomatycznych faworytach i dziwnie pogardliwym wejrzeniu. Czasem jakaś ręka, dźwigająca wysoko nad tłumami trofea—talerzyk z ciastkami i szampanem, świadczyła o zwycięskim pochodzie jednego z gości. Pod filarami siedziały damy, ku którym szturmujący dźwigali swój łup. Gdzie niegdzie mizantrop - egoista przy małym stoliku stawał obok dwóch próżnych trzeci napoczęty kielich szampana, lokaje w liberyi odkorkowywali coraz to nowe tuziny za parawanem.

Coś w tej atmosferze inauguracyjnej uderzało mię znajomym zapachem. Przypominało to po trosze uczy tryumfalne, wyprawiane „naszym znanym“, na których zawsze podziwiałem zarówno liczbę osób, płonących żądzą ich uczenia, jak i ilość kanapek, znikających przy tej okoliczności. Ale bardziej przypominały mi się uczy kongresowe, owe kosmopolityczne zbiegowiska, na których jak grzyby po deszczu w chwili siadania do stołu wyrastają członkowie „upelnomocnieni“, goście „wprowadzeni“, „zaproszeni“, „biorący udział“, „zaszczycający“ i t. d. i t. d. Rzecz szczególna, ilu gorących zwolenników jakiejś skromnej dajmy na to dermatologii przysparza na międzynarodowych kongresach chwila siadania do „wspólnej biesiady“! Roz-

glądając się po otoczeniu, prawie poznawalem twarze—twarze profesjonalnych uczestników inauguracji, kongresów, zjazdów, otwarć, pod wszelkimi szerokościami geograficznymi Europy podobne do siebie. Korrespondenci, nie pisujący do żadnego pisma, delegowani, reprezentujący chyba własne „ciało“, bywalcy i maniacy posiedzeń, osobistości z wstążeczkami wątpliwej barwy, damy z fotograficznymi aparatami; młodzieńcy, wprowadzeni przez te damy—wszystko to, ze szczeniakiem talerzyków i widełców, rzucalo się tu na „sandwich'e“, jak w Warszawie-by się rzucalo na „kanapki“, w Berlinie na „buterbrody“, w Peszcie na „gulasze“.

Prawdziwy zastęp niestrudzonej międzynarodówki kongresowo-inauguracyjnej!

Obecność tej znajomej publiczności usmierzyła znacznie niepokoję mego serca, obudzone wspomniałem brzmieniem nazwy: „Ulica narodów“.

W istocie przecież nie mogły-by tu tak nagle, na skinienie komisarzy urzędowych, wyrosnąć nad Sekwaną autentyczne dzielnice starych grodów niemieckich, rynki flamandzkie, place włoskie wraz z właściwym sobie gwarem i życiem.

Po prostu czułem, że w naiwności wymagałem nieświadomie od ulicy narodów niemal odtworzenia Sukiennic, lub autentycznie narodowej Kiernozi czy Zawichostu!

Tymczasem tłum kosmopolityczny, pod okiem dyplomatycznym kelnerów, szturmował do bufetu. Przepyszne lśniące cylindry, fraki bez zarzutu i toalety balowe niemal mieszały się bratnio z niedbałym strojem turystów i demokratyczną kurtką reporterów. Wśród palm i azalii, przy nieustającym szmerze fontanny, ta zbita gromada apetytów i świecące nad nią wygolone twarze kelnerów, każą mimowoli obejrzeć się dokoła, czy jednak gdzieś niema w pobliżu ruletki, i czy za chwilę głos krupiera nie zawoła:

— „Messieurs, faites votre jeu!“

Nie. Ale za to jakiś wielce poważny cylinder z różową autentyczną wstążeczką, stojący na uboczu, robi nieznaczny ruch ręką w stronę starszego kelnera. Kelner podbiega, kłania się starannie.

— Monsieur le Commissaire?

Po chwili wraca z za parawanu, gdzie nagle ustaje odkorkowywanie szampanek. Pan ze wstążeczką patrzy przez chwilę na tłum przy bufecie, jak krupier po słowach „rien ne va plus“ i odchodzi w głąb pawilonu. Koniec uczty. Damy pod filarami dojadają skwapliwie ciastek, mizantropi dopijają kieliszków, właśnie też i rodak współpracownik wielu pism wraca z tryumfem od stołu.

— No—mamy wreszcie!

Istotnie: trzyma pełen talerzyk ciastek i kieliszek szampana.

— Niech pan pije—ja tam już parę wypilem. Cacy mareczka!

Tłum przy bufecie po trochu rzednie. Co wspanialsze cylindry, nieco fraków i nieco wstążeczek odpywa ku wejściu. Rodak mi trochę wyjaśnia sytuację. Są to urzędnicy z zarządu wystawy, paru komisarzy innych pawilonów i nadewszystko, prasa. Poznają legendową postać Blovitza, korespondenta „Timesa“. Dalej korespondenci „New York Herald“, „Neue Freie Presse“, reporterzy z „Figaro“, redaktorzy pism brukowych. Niektórzy są tu w towarzystwie przyjaciółek i żon (panie zmiatające ciastka pod filarami) a nawet z progeniturą.

— Niema się co dziwić — komentuje rodak—raz na dziesięć lat gratka.

Daje się to istotnie widzieć na apetytach gości inauguracyjnych. Teraz oto odsłania się cały prawie bufet w oplakanyim stanie po tym krótkim, lecz pamiętnym szturmie.

Zniknęły piramidy owoców, ciastek i cukrów. Z niedopitych kieliszków lokaje zlewają napój w próżne szampanki, nawet pyszne bukiety, strojące stół, uległy zniszczeniu, gdyż czuła publiczność brała stąd „na pamiątkę“ tych szczęśliwych chwil.

W pawilonie coraz mniej gości. Gdzieniegdzie rzadki przechodzień obojętnie obziera „Księżniczkę Alicję“, na której ostatni z Grimaldich dokonywa swych cudownych połowów. Gdzieniegdzie ktoś, może dumając o Monte-Carlo, podziwia te niesłychanie piękne azalie i bogate freski, owoc mniej cudownych połowów budżetowych szczęśliwego władcy rulety.

Do myśli o rulecie powracam uporczywie: szukam po ścianach jakiejś statystyki z Monte-Carlo, np. statystyki samobójstw lub bodaj skromnego wykazu zysków dorocznych domu gry. Nic, nic... Tylko rzadkie, najrzadsze okazy fauny podmorskiej, zdobytej przez „Księżniczkę Alicję“ i nieporównane azalie.

Jest w tem nawet swojego rodzaju romantyzm. Jak ongi koresarz romantyków stawał się czulym ojcem i czulszym jeszcze mężem, a nawet poetycznym kochankiem na łonie rodziny, tak tu oto ten władca Monte-Carlo, po zamknięciu budżetu, puszcza się na pokładzie „Księżniczki Alicji“ na modre łono Śródziemnego morza i zaślubia co rok—zawsze po zamknięciu budżetu—naukę. Przedziwnych kształtów mięczaki, aktynie, lilie morskie, skorupiaki bajeczne i jeszcze inne zdobycze, przystrajają pawilon. Wszystko to łup księcia Monaco. Czyż to nie piękne?

Tymczasem, podczas, gdy książę łowi mięczaki, podczas, gdy krupier zgarnia dukaty, tu nad brzegiem Sekwany, w rzędzie innych pałaców „Ulicy narodów“, powstaje dumny pałac Monaco.

Wychodzimy wreszcie z gościnnego przybytku, w którym zresztą nic więcej niema do obejrzenia, i podczas, gdy lokaje wymiatają ślady inauguracji, podziwiamy pałac i jego otoczenie z zewnątrz.

W długiej perspektywie rozwija się szereg pięknych frontów. Oto zdobny kamienną koronką ratusz Belgów, oto pretensjonalny, ogromny, malowany „Gasthaus“ niemiecki, oto milczący, skupiony i zimny pałac księcia Walii.

Dalej szaleły Szwecyi i Norwegii, pawilon austriacki, turecki, amerykański; na samym końcu zamyka perspektywę barwny renesans Włochów. Budynki te wiążą się w piękną całość, prawie imponują.

Te wieże i blanki, kolumny i kapitele, kopuły, łuki i odrzwia, balkony i gzemsy, azury, malunki, rzeźby—to wszystko jednak ślady widome niewidomego pochodzu wieków. Wielu artystów i rękodzielników wydać musiały sławetne grody Belgów, ażeby przystroić ten oto ratusz, kopię ratusza z Audenard; Norweski szalec otulony, dostatni, pełen skrytek, kątów, kryjówek przed zimnem i słotą, a jednak strojny i harmonijny—to także owoc kooperacji wielu wieków i wielu pokoleń. Malunki nieco krzykliwe niemieckiego „Gasthausu“ wzorowały się na tyłu innych malowidłach prastarych piwiarni, domów radnych i domów bożych!

Budynki te są jak muszle, w których niestrudzony maź ludzki przez pobyt długich wieków pozostawił swój ślad i kształt niezatarty.

Pomimowoli szukam w tej długiej, nie tak jednak długiej, jakby się chciało, perspektywie „Ulicy narodów“ innych i innych pałaców-muszli. Ale tu ziomek przerywa mi tok dumań.

— Wspaniałe, panie, co? Wszystkie ma pan główne mocarstwa Europy—prawie wszystkie! Na prawo Niemcy, Austria, Anglia—na lewo, Panie, Szwecya, Hiszpania i inne. No i Monaco—wysadziło się książątko, co? I szampitra dali przedniej marki. Ciekaw jestem, kto jest urzędowym komisarzem Monaco?

— Ale ruletką się nie pochwalili—wtrącam zjadliwie.

— To się samo przez się rozumie. Za to patrz pan, jaką wieżę wybudowali.

Istotnie—wieża pawilonu Monaco góruje niemal nad innemi. Kopia starej strażnicy Grimaldich, z której ongi czatowano na statki

kupieckie, wznosi się tu wśród tych pałaców tak samo dumnie, jak się ongi wznosił jej oryginał wśród pokrewnych sobie czatowni rabusiów baronów, mocarzy całej Europy.

— Ten ich komisarz urzędowy to musi być chwał—kommentuje rodak — Bo tu, panie, grunt — dobry komisarz. Jak pan to widzi dookoła—tu powiódł ręką po „Ulicy narodów“—tak wszystko to jest dzieło komisarzy urzędowych; każdy z nich musiał walczyć literalnie walczyć o swój kawałek. No i Monaco, panie, zwyciężyło także, widzi pan, na równi z mocarstwami!

Zmierzałiśmy powoli ku piwiarni, po drodze zaś rodak-współpracownik uprzejmie dzielił się ze mną wiadomościami o pawilonach i komisarzach urzędowych. Kiedyśmy przy dźwiękach kapeli węgierskiej zasiedli do „gulaszu“ („najtańsza potrawa w pawilonie austriackim“, zauważył rodak), byłem zupełnie przekonany, że „grunt, to komisarze urzędowi“.

Doszedłem również w końcu do przekonania, że Monaco ma zupełne prawo figurować wśród innych mocarstw „Ulicy narodów“. Czyż trzeba dowodów? Pominąwszy już, że miało swego komisarza rządowego, księstwo to mogło jeszcze przeznaczyć piękny, okrągły milion na budżet swego pałacu.

I w ten sposób ujrzałem w nowem niejako świetle „Ulicę narodów.“ Kooperacyi wieków i pokoleń przeciwstawiła się bardziej nowoczesna kooperacya komisarzy i budżetów.

Przy akompaniamencie cygańskiej orkiestry wychyliłem halbę bawara na cześć rodaka, który mię wprowadził właściwemi drzwiami na „Ulicę narodów“.

Według oficjalnego brzmienia katalogu, trzydzieści sześć „narodów“ wzięło udział w wystawie paryskiej. — „Gdzie jesteście?“ — woła apologeta wystawy, Henryk de Parville. — „W Paryżu? w Niemczech? w Hiszpanii, czy we Włoszech, w Szwecyi, czy w Anglii, w Chinach, czy w Afryce? Przedziwne wizye! Wszechwiat cały zgrupowany na tym małym zakątku ziemi paryskiej!“

Gdzie jesteście? — Ależ jesteście niewątpliwie w dobrej starej Europie. Gdzież bowiem indziej na świecie mogło-by się dzisiaj święcić takie wielkie święto trzydziestu sześciu narodów, zgromadzonych

razem? Gdzieindziej trzydziestu sześciu komisarzy urzędowych w tak przykładnej harmonii mogło-by rozwiązać drażliwą zawsze kwestyę podziału tych terytoryów narodowych nad Sekwaną? Tylko wielka, szanowna, długotrwała praktyka komisaryatów i podziałów mogła wydać tak piękny owoc. Austria, przedzielona od Węgrów pawilonem Bośni i Hercegowiny; Hiszpania zdaleka od Stanów Zjednoczonych, „ażeby nie drażnić niedawno uspokojonych namiętności“, jak powiadają komentatorowie tej precudownej równowagi politycznej nad Sekwaną.

Ażeby wreszcie bez dłuższych komentarzy dać czytelnikowi możność objęcia w jednym wejrzeniu tego mądrego planu zgody powszechnej, najlepiej uczynię, przytaczając nazwy wyż wzmiankowanych trzydziestu sześciu „narodów“.

Są to, w porządku alfabetycznym: Anglia, Austria, Andorra, Belgia, Bułgaria, Bośnia, Chiny, Dania, Equador, Finlandya, Grecya, Hollandya, Hiszpania, Japonia, Korea, Luksemburg, Liberya, Marokko, Norwegia, Niemcy, Persya, Portugalia, Rumunia, Rossya, San-Marino, Szwajcarya, Serbia, Szwecya, Stany Zjednoczone, Transvaal, Turcya, Włochy i Węgry.

Trzydzieści sześć „narodów“, gdyż o tej spóźnionej godzinie, w której notatkę tę doprowadzam do stopnia pożądanej aktualności, jedna z wyżej wymienionych nazw przestała nagle odpowiadać swej, oficjalnie przez katalog uznanej, treści. Oto gazety wieczorne przyniosły wiadomość, że za wolą generała Robertsa Transvaal przestał istnieć niepodległe, Boerowie zaś odtąd stanowią jedną z liczby statystyki „poddanych Jej Królewskiej Mości Wiktorji“.

Nieprzewidziana ta przez twórców oficjalnego katalogu okoliczność wprowadza niejako nieoficyalną dwuznaczność w brzmieniu ich dzieła. Naturalnie w brzmieniu tylko, gdyż w duchu jego odtąd na wystawie paryskiej bierze udział trzydzieści sześć, nie zaś siedem, „narodów“. Żadnej tu wątpliwości być nie może: w pojęciu Francuzów, „narodami są: Austria, Monaco, Andorra — nie mają zaś prawa do tej nazwy naprzykład: Czesi, Kroaci, no i ostatnio: Transvaal.

O tem, że jesteśmy napewno w starej Europie, prócz powyższych wyłuszczonych subtelności dyplomatyczno-protokółarnych, przekonywa nas jeszcze inna okoliczność. Oto stojąc na pięknym wybrzeżu „Ulicy narodów“, próżno-by wzrokiem szukać pawilonów Japonii, Syamu i Chin. Na przeciwległym brzegu Sekwany, gdzie tak chętnie oko spoczęło-by na pomnikach innej kultury, na innych kształtach i barwach, bo w końcu dość się ma tego samochwalstwa europejskie-

go na każdym kroku, wybudowano tak zwany „stary Paryż“. *Mutato nomine* jest to to samo, co tak zwana „Ulica paryska“, a więc szereg *cafés-chantants* i restauracyj z figielkami. Nie można brać przecież na seryo historyczności tych budynków, lada jak skleconych, gdy nieco dalej w perspektywie Sekwany ma się *Notre-Dame* i *La Chapelle*, i pałac sprawiedliwości—autentyczne i prastare za-
bytki starego Paryża. Po prostu chodziło o jedno jeszcze miejsce zbiegowisk jarmarcznych. Kościoły owe, mosty, wieżycy — to tylko nowe lokale dla reżyserów kankaneryi wystawowej.

I to właśnie rzucono, jako „pendant“ Ulicy narodów na przeciwnym brzegu Sekwany. Natomiast prawdziwe bogactwo innych, zaeuropejskich kultur: Japonię, Chiny i Indye, zepchnięto w kąty wystawy, w ogrody *Trocadero*. Prawdziwie — to także iście europejski sposób pojmowania rzeczy. Bo czyż prastara sztuka japońska, potężna samoistością kultura Chińczyków, lub olbrzymia indyjska koncepcya świata — czyż całe to zwrotnikowe bogactwo kształtów życia może iść w porównanie z „narodowym“ pawilonem bandyty z *Monaco*? z udoskonalonym kankanem starego Paryża? Naturalnie, że nie. Ich niezrównane bramy i pagody, ich precudne inkrustacye, ich wielokształtny *Budda*, ich setki wieków istnienia i setki milionów plemienców, ich *Konfucyusze* i mądrość życiowa, ich *Sakuntale* i wynśniony świat poezyi, to przecież nic, marne nic, w porównaniu z kooperacyą pp. komisarzy arcy-europejskiego apetytu burżuazyi. To wszystko dobre jest zaledwie na owe „trofea“ kolonialne, któremi Anglik zdobi swoje „kolorowe“ pawilony. Jest to bowiem tylko ludzkość kolorowa: żółta, czarna i czerwona. „Kolorowi“ dość mają zaszczytu, gdy wolno im figurować obok białych w postaci Indyi „angielskich“, Congo „belgijskiego“, Algieru „francuskiego“ i t. d., i t. d.

Nadewszystko zaś, niech to będą dobrze po europejsku urządzone kolonie. Niech to będą „trofea“, misternie ułożone z produktów naturalnych. Niech to będą piramidy towarów: kokosów, kości słoniowej, piasku złotego, gniazd ametystów, tkanin jedwabnych, indygo, pereł indyjskich, porcelany chińskiej. Niech to będą takie modele wojsk kolonialnych, uzbrojonych w europejską najnowszego systemu broń. O, wówczas tryumf jest zupełny! Jak pożądliwie mlaska językiem kramarz angielski, francuski, niemiecki na te „trofea“! Jak każdy komisarz uśmiechnie się filuternie na myśl, że właśnie ci czarni i czerwoni „żołnierze królowej Wiktoryi“ sami stanowią eskortę najwierniejszą tych uwożonych z ich ziemi rodzimej „trofeów“!

I handlarz, pożądliwie kalkulujący przed witryną „produktów kolonialnych“, i komisarze, filuternie oglądający czerwonoskórego

piechura w kasku angielskim, po takich oględzinach, po takich europejskich wzruszeniach, mają prawo do wypoczynku, do rozrywki.

Jakoż czeka na nich przedsiębiorca kankana w starym i nowym Paryżu, na lewym i prawym brzegu Sekwany, przed wieżą Eiffla i za wieżą Eiffla, zgola na całej przestrzeni tego „wszechświata, zgrupowanego w małym zakątku Paryża“.

Jest to wszechświat, ale wszechświat mierzony łokciem kramarzy. Obraz, przedstawiający poglądowo glob ziemski, jako jedną, olbrzymią faktoryę, której właścicielem, celnikiem, no i komisarzem jest Europejczyk. Rozumie się, Europejczyk godny swego miana, to jest kupiec bawelny, czy kości słoniowej, i w ostatecznej instancyi — filuterny komisarz urzędowy.

Miałem już sposobność nadmienić, że naiwne odkrycie kramarstwa, jako sprężyny całego tego „dzieła wszechświatowego pokoju“, nie przynosi wcale zaszczytu swemu odkrywcy. Bo, zdawało-by się, rzecz sama się przez się rozumie, takiego nakładu milionów nie podejmuje się dla pięknych oczu ideału.

Pod tym względem enuncyacye wszystkich panów komisarzy urzędowych z góry nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

P. Peck, komisarz Stanów Zjednoczonych, oświadczał: „Przybywamy do Francyi, ożywieni najserdeczniejszymi uczuciami, ażeby wykazać się na wielkiej wystawie francuskiej najpotężniejszymi zasobami naszego przemysłu“.

Wtórował mu wicehrabia de Villalobar, komisarz Hiszpanii: „Przedewszystkiem zależy nam na okazaniu Francyi naszych uczuć najserdeczniejszych,—stanu naszych stosunków handlowych, zarówno jak naszego przemysłu“.

Austria oświadczyła, „iż z poczuciem godziwej dumy da poznać światu wyniki swej działalności technicznej, oraz ekonomicznej“.

Nie trzeba zaś dodawać, że Węgry ze swej strony „z pośpiechem skorzystały z tej okoliczności, ażeby wykazać, że nie są przeszłością, lecz przyszłością“, naturalnie, „zarówno w handlu, jak i w przemyśle“ i t. d., i t. d.

I wszystko to są szczerolote słowa, płynące niewątpliwie ze złotodajnych źródeł przy pośrednictwie złotoustych panów komisarzy.

Co prawda, pierwsza ze znanych w Europie wystaw, wystawa francuska z roku 1757, była popędem sztuk pięknych, i tem właśnie zasadniczo różniła się od znacznie starszej tradycyi jarmarków. Już jednak wystawa następna, urządzona w roku 1778, była tryumfem przemysłu i handlu.

Odtąd Francya urządza często podobne popisy narodowe. Do roku 1851, w którym po raz pierwszy Anglia dała model wystawy międzynarodowej, wystaw francuskich było 11, zawsze z tym samym charakterem handlowo-przemysłowym. Anglia wprowadziła tę praktykę na szersze tory: pierwsza niejako usankcyonowała owo pojęcie, że wszechświat (przynajmniej na wystawach powszechnych) jest wielką faktoryą handlową. Przykład ten podziałał magicznie. Pierwsza wystawa wszechświatowa paryska w roku 1855 liczy 24,000 wystawców-kupców; w roku 1867 jest ich już 52,000; w roku 1889 wystawia 54,000 i wreszcie w roku 1900 liczba tych wystawców dochodzi setki tysięcy osób, lub korporacyi!

Otóż tym potężnym cyframi postępu ilościowego wystaw odpowiada bardzo skromny postęp jakościowy. Wystawa 1889 roku wprowadziła na porządek dzienny kwestyę społeczną i pierwszą oficjalną „Ulicę Narodów“ — dwa czynniki, które przy pomocy sztuki i nauki powinny były z gruntu przekształcić tendencyę, myśl zasadniczą wystaw.

Istotnie, niedorzecznością zaczynają być owe stutysięczne turnieje handlarzy i przemysłowców. Rozumiemy aż nadto, jak zupełnie niczego nie dowodzi, że naprzykład pod Łowiczem Niemiec założył fabrykę tkanin i wyrabia najdoskonalsze perkaliki. Tymczasem chcą nas przekonać, że turniej wielu takich Niemców z pod wielu Łowiczów coś wyraża! Że wyraża coś więcej nad to, co warte są ich perkaliki razem wzięte! A gdy 100,000 tych fabrykantów (drobna zresztą częśćka wszystkich) zgromadzi swój towar i zarzuci nim wiele placów i gmachów — ma to być „tryumf ludzkości“!

To jest dziecinnie śmieszne i zresztą nikt w to na seryo nie wierzy. Cbodzi więc o to, żeby—gdzie można i gdzie zwłaszcza trzeba — wyłamać się z pod tego przesądu.

Chodzi o to, żeby nie eskamotowano bodaj na wystawach miejsca i możności demonstracyi życia narodów na rzecz — kramarzy i perkalików. Przynajmniej, żeby „Ulice Narodów“ były godne swej nazwy, wolne od tej administracyjno-tragarskiej tyranii towarów.

Że zaś to jest możliwe, że chodzi tu nie o chimery, lecz o rzecz bardzo realną i bardzo dziś dojrzałą, dowodów dostarczy nawet obecna wystawa.

Nawet tu, na tej-że „Ulicy narodów“, w tych upośledzonych pawilonach „kolorowych“ ludzi poszukamy i doszukamy się objawów samorodnych, żywotnych, potężnych — dźwigań się życia narodowego, w całej pełni rozumianego, w całej pełni przedstawionego.

Na uboczu od tłumnego bulwaru „Ulicy narodów“, zasłoniiony niemal doszczętnie przed oczyma widzów przez wielki pretensjonalny kadłub pawilonu niemieckiego, wznosi się wśród platanów skromny budynek, przypominający sylwetki naszych kościołów wiejskich. Nizkie parterowe ściany budynku przykrywa dach, poprowadzony wysoko pod bardzo ostrym kątem, ozdobiony u szczytu dwoma „pazdurami“ z dwóch przeciwległych krańców budynku. W pobliżu jednego z „pazdurów“, w miejscu, gdzie się wiąże zwykle w krzyż kościelne budowanie, wyrasta z grzebienia dachu wieżyczka, jakby dzwonnica, bardzo strzelista, zakończona u góry śpiczastemi, w kształcie płomiennych języków, frontonikami, przykrytemi znów, jak czapką, okrągłą podwójną kopułką.

Budynek stoi bokiem do drogi i wchodzi się doń przez rodzaj bocznego frontonu, którego szerokie drzwi, w kształcie podkowy, przypadają wprost pod smukłą wieżyczką.

Nic bardziej oryginalnego, jak ornamentyka tego budynku. Na czterech rogach jego wyrastają olbrzymie szyszki sosnowe, służące za podparcia dachu. Odrzwia okala w kształcie podkowy fryz z niedźwiedzich łbów, grubo modelowanych. Śpiczaste szczyty, tworzące rodzaj korony nad wieżyczką, ozdobione są rzeźbą drewnianą wysoko strzelających języków ogniska. Przy wejściu do pawilonu, wpośród surowych, lub polerowanych złomów granitu, stoją olbrzymie niedźwiedzie czarne i kudłate. Całe wnętrze, oświetlone od góry matowem i równem światłem, przypomina jakby śpichlerz wielce zasobnego dominium, jakby starodawny lamus, pełen wygodnych przegródek, galerijek i skrytek. W miejscu, gdzie pada z ubocznych okien dachu najsutsze światło, suty kolorowy fresk obiega budynek dokoła. Właściwie zaś są to dwa szeregi obrazów w drewnianych ramach, które wyglądają w tym budynku, jakby okna, otwarte na inny świat, inną przyrodę. Widać tam granitowe olbrzymie złomy, nago stojące, lub porośle czarną puszcza igitastą. Widać olbrzymie zwierciadła jezior, w obramowaniu dzikich skał; ruiny zameczysk nad jeziorami; tartaki w głębi lasów, kamieniołomy, rybackie ostoje i zatory, groble i mosty, rzeki i statki. Obrazy te, malowane szeroko i spokojnie, robią wrażenie fragmentów ludowego eposu o wielce pracowitem życiu jakiejś gromady ludzkiej w kraju jezior, puszczy i skał.

I wszystko to razem: i kształt budynku, i naiwna a mocna ornamentyka z motywów zwierzęcych, i proste a szerokie fragmenty

malowanego eposu, zdobiąca wejście—wszystko to przemawia silnym głosem, żeśmy weszli nie do kramarskiej budy, lecz pod dach jakiegoś ludzkiego plemienia, które kocha swe ognisko domowe i chce szczerze nas w krąg jego wprowadzić.

Po obu stronach budynku, w owych przegrodach i zasiekach lamusu, pełno sprzętów, obrazów, tablic i rzeźby. Owdzie cały sprzęt rybacki, widoki portów i przystani, łodzie, sieci, więcierze, ułożone tak misternie, żeby same sobie były ozdobą. Owdzie uprząż i narzędzia rolnicze. Owdzie przepyszne, rzeźbione skrzynie, ławy, stoły, lub mocne okucia, na których poznajemy te same motywa ornamentacyjne, co na fryzach budynku.

Całe witryny etnograficzne, z obfitością futrzanych strojów i zimowego obuwia. Całe muzea szkolne wraz z inwentarzem pokoju szkolnego i wzorową pracą uczniów. I wreszcie w rogu budynku, w pobliżu wielkich fresków fantastycznych i strzegących wejścia kudłatych niedźwiedzi, honorowy kątek domu, który poznać po olbrzymim stole rzeźbionym i rzeźbionych również fotelach. Tu leżą stosy broszur ze sprawozdaniami i opisami wszystkich sfer działalności kraju i wreszcie suto oprawna z tarczą herbową księga pod tytułem: „La Finlande Contemporaine“.

Wielka złota księga pracy Finlandczyków zawiera w sobie niewątpliwie dużo szczegółowych i wyczerpujących informacji. Sześć lat zbiorowemi siłami uczeni i literaci finlandzcy ją opracowywali i wydali wreszcie wielkim sumptem, przystroiwszy i rozjaśniewszy tekst tylu ilustracyami, ile tylko się dało zmieścić. Ale nawet nie czytając „La Finlande contemporaine“, tylko życzliwie zabawiwszy godzinę w tym pawilonie, widzi się duszę kraju, dążności jego, pracę, obyczaje, jak na dłoni. Jest to krzepka dusza w krzepkim ciele, i ta ich zbiorowa i cierpliwa robota, wykonana przez setki rąk i setki głów na chwałę wspólną, wygląda prawdziwie tak, jakby ją wykonał jeden potężny mąż, półbóg jakiś z sagi północnej.

Wiele razy przez ciąg wystawy zaglądałem do pawilonu finlandzkiego. Prowadziła mię tam zarówno sympatya dla tego tęgiego plemienia, jak ciekawość szczegółów tej pracy, pełnej duszy i tak szczęśliwie pomyślanej. Za każdym razem panna X***, dozorczyńca pawilonu, nauczycielka z fachu, umiała mi powiedzieć coś ciekawego o tej pracy, lub wynaleźć jeszcze jakiś sprzęt do obejrzenia, jeszcze jeden kątek do zwiedzenia. Za każdym razem spotykałem tu kilku Finlandczyków, którzy w jednym z przedziałów pawilonu mieli wszystkie swoje gazety i pisma. Tłum zwiedzających wypełniał zawsze pawilon, który przemawiać mógł do każdego swą prostą i serdeczną pedagogią. Dowiedziałem się w pawilonie, że cały ten ogrom rozumnej

pracy kosztował kraj około 400,000 franków, co jest po prostu drobnością wobec budżetów innych pawilonów „narodowych“, naprzykład pawilonu księstwa Monaco. Ponieważ zaś „w Finlandyi“ szampan nie lał się wcale strumieniami (o zgrozo! komisarz finlandzki przyjmuje nie w specjalnym „salonie“, lecz w klatce śmiesznie małej), więc też zamiast publiczności inauguracyjnej, ma ten pawilon stałą publiczność literatów, artystów, studentów i t. p. całego świata. Niema tu również żadnej finlandzkiej knajpy z muzyką i szansonistkami, ale za to wielkie chóry finlandzkie przybyły do Paryża i dały w salach Trocadero jedyne w swoim rodzaju koncerty. Współpracownikami pawilonu, podobnie jak książki o Finlandyi, były pierwszorzędne siły krajowe. Tak naprzykład szereg obrazów, zdobiących ściany budynku a zarazem stanowiących istną poglądową naukę o Finlandyi, wykonali najlepsi malarze finlandzcy, jak Edelfeld, Gallen i Halonen.

I oto w ten sposób przez współdziałanie najdzielniejszych sił kraju dla rozumnie obmyślanego celu, powstało dzieło jak najrealniejsze, które wśród setek kiosków i pawilonów wystawy uczy nas poglądowo, czem mogła być, czem powinna być prawdziwa „ulica Narodów“.

Nietylko Finlandya, ale cały wielki klan społeczeństw skandynewskich: Dania, Szwecya, Norwegia—potrafił w ten sposób zamaniestować swą skupioną, głęboką żywotność narodową. Szalet norweski, przepiękny wzór stylu drewnianego, kryje w sobie, podobnie jak kościółek finlandzki, takie ognisko życia plemiennego. Obszerny północny dwór Szwedów również, od piwnic do balkonów, strojących jego drewnianą wieżę, jest jakby żyjącem wcieleniem charakteru i życia narodowego.

Są to na wystawie powszechnej istne oazy, gdzie można wreszcie odpocząć po kupieckim zgiełku innych pawilonów, i naprawdę na chwilę zapomnieć, że jesteśmy w Paryżu, a nie w Szwecyi, czy Norwegii.

Można-by jak najśluszniej każdy z tych budynków nazwać domem narodowym, ponieważ od sylwety budynku do najlichszego w nim sprzętu — wszystko starano się sprzedać w jeden potężny typ bytowania narodowego. Nie mówiąc już o Włoszech, Turcyi, Stanach Zjednoczonych, Grecyi i t. p., które są po prostu bazarami, lub hotelami, nawet pawilon angielski nie osiąga tego idealnego rezultatu. W pawilonie angielskim podziwiamy apartament prywatny księcia Walii, oraz piękną galerję obrazów, tak, jak w pawilonie niemieckim podziwiamy pokoje Wilhelma i kunszt berlińskich introłigatorów. Ale ostatecznie książę Walii i Wilhelm, to jeszcze nie Anglia Niemcy.

Inne znów pałace, jak naprzykład hiszpański, wzięły wystawę za sposobność okazania minionej świetności. Więc widzimy piękne mury, od góry do dołu zawieszone gobelinami, a w olbrzymich pustych salach tu i owdzie wielkie panoplium zbroi saraceńskiej, lub kosztowności koronne pod szkłem. I chociaż takie mauzoleum przeszłości wygląda dostojniej, niż naprzykład targ na perkaliki, to jednak wierzyć się nie chce, że tak powinien wyglądać pawilon hiszpański.

I, pomimo woli, myśl powraca do finlandzkiego śpichlerza, gdzie najbiedniejsza i najmniejsza ze społeczności skandynawskich potrafiła stworzyć niemal wzór wystaw tego rodzaju.

Czem to się stało? Trudno powiedzieć. To pewna, że główną rolę odegrała tu skupiona, świadoma siebie wola lepszych sił społeczeństwa.

Wielkie rozmówanie się w bogach domowych, gorące pragnienie okazania swego „ja“ takim, jakim w istocie jest wpośród „ja“ innych narodów, przy wspólnem dziele kultury.

Bo oto brak tego rzetelnego poczucia własnej wartości narodowej sprawia zapewne, że tyle pawilonów wita nas tandetą swych handlarzy.

Niekiedy znów wyłazi tu na wierzch arrogancka buta, którą napróżno silono się przyodziać w barwy narodowe. W ten mniej więcej sposób wystąpiły Węgry. Mały kraik, pała żądzą znalezienia się w szeregu wielkich mocarstw. Buduje więc przedewszystkiem pawilon tak wielki, jak... Monaco, a zlepiony najmniej z dziesięciu gmachów węgierskich. W pawilonie tym mieści się węgierskie muzeum historyczne. Potem zaś w każdym oddziale wystawy spotkasz pompatyczny, pełen ozdób i festonów, fronton madziarski, za którym często nic niema, lub jest to, co wyorali Słowacy, lub wyhandlowali Żydzi. Ale zawsze moc ornamentyki, moc teatralnej apoteozy, grzmiącej naksztalt puzonów o wielkości Madziarów, o sławie Madziarów, o sile Madziarów.

Pewnego dnia, przy table d'hôte skromnego hotelu ulicy Jacob, wziąłem udział w ożywionej rozmowie, którą toczyli biesiadnicy z powodu ostatnich wypadków w Transvaalu. Zdarzyło się, iż w gronie, składającym się z dwóch Rumunów, jednego Niemca (astronoma), dwóch Hiszpanów i niżej podpisanego, jeden tylko rodowity Paryżanin, Parisien de Paris, czynił honory domu. Francuz wypowiadał opinie nie mniej stanowcze, jak umiarkowane, naprzykład: „C'est ça, monsieur“, „Je suis complètement de votre avis, monsieur“ i t. p.

Podziwiałem tylko swobodę Paryżanina, z jaką przechodził od Madrytu do Bukaresztu, i od Bukaresztu do Berlina, oraz szczególnie dar rozumienia nawet Niemca - astronoma, którego nikt z reszty biesiadników nie mógł zrozumieć.

Z powodu pewnych, wyrażonych przeze mnie, opinii o Transvaalczykach, Francuz pod koniec biesiady zwrócił się do mnie:

— Alors vous n'êtes pas Anglais, monsieur?

Wyprowadziłem go z błędu, podając nazwę etnograficzną miejsca mego urodzenia. Paryżanin skłonił głowę na znak zupełnego rozumienia, i po chwili zapytał znowu:

— Alors vous-êtes un Autrichien, n'est-ce pas, monsieur?..

Po dłuższych z mej strony wywodach, którym Paryżanin przytakiwał: „Oui, oui, monsieur, les trois parties... Je connais un nom Polonais: tenez, Leczinski, n'est-ce pas?“. Zdawało mi się, że mu się dał poznać z tej etnograficznej strony najzupełniej.

I wtedy-to padły z ust Paryżanina słowa, które spamiętałem, jako doskonałą formułę poglądów jego i podobnych mu milionów szczęśliwie trawiącej burżuazji.

— La Pologne. Monsieur, c'est donc un peu partout?

Czas jakiś rozmawialiśmy jeszcze, ale Francuz był jakby skonfundowany, jak gdy naprzykład w toku rozmowy dowiemy się, że nasz współbiesiadnik jest „chwilowo bez gotówki“.

Zresztą rozeszliśmy się w dobrej komitywie, przyczem Francuz spytał mnie z pewnem wahaniem, czy Francya także posiada część etnograficznego terytorjum, o którym wzmiankowałem.

Otóż ta formuła Paryżanina: „un peu partout“ powraca mi teraz w pamięci, w chwili, gdy chcę uczynić bodaj pobieżny inwentarz udziału naszego w wystawie. Gdzież ja tylko nie wylawiał nazwisk wystawców na c k i i s k i ! W jakiej, rzecz można, niespodzianko-

wej formie uderzało mię niekiedy coś bardzo znajomego w otoczeniu najbardziej egzotycznym!

Znajdywałem istotnie rzeczy i nazwiska polskie „un peu partout“ na tym jarmarku narodów. Tak naprzykład spotkałem portret Mickiewicza pędzla polskiego malarza (Ciesielskiego) w sekcji, zatytułowanej: „Groupe des artistes autrichiens résidant à Paris“. Na wystawie Algiera widziałem malowidło, które nadesłał z Souk - Harras niejaki Toursky. Pomijam obecność obrazu Mehoffera w secesyi wiedeńskiej, co już jest rzeczą zwyczajniejszej miary. Pomijam płótna paru batalistów, jak pp.: Chełmiński, Rosen, pomijam pyszne oprawy „Cejlonu“ i „Indyi“ hr. Potockiego, zdobiące wystawę introligatorów berlińskich w pałacu niemieckim. Pomijam wreszcie pewien „ręcznik z Makowa“, zdobiący, nie wiedzieć jakim cudem, wystawę prywatną niejakiego p. Edgara Kornatsa w oddziale mebli, o czem zresztą później powiemy. Nawet, gdym wstąpił na wieżę „Zamku do góry nogami“, przyszłość mi wróżyła z ręki rodaczka, która zresztą nie umiała już po polsku, lecz pamiętała nazwisko, od którego wywodziła swój ród:

— Tenez, monsieur, vous devez connaître ce nom: Lecziński...

Są to wreszcie wszystko szczegóły zbyteczne prawie wobec doskonałej formuły Paryżanina:

— Un peu partout.

Jednakowoż, pominąwszy niektóre mniej lub więcej znaczne firmy przemysłowe i handlowe, które biorą udział w wystawie niejako na własny rachunek i odpowiedzialność (Rosen et C-ie), można tu odzyskać parę większych zbiorowych całości o charakterze rodzimym.

Znajdziemy je w dziedzinie sztuki w postaci dwóch grup malarstwa polskiego na wystawie.

Gdym zwiedzał po raz pierwszy malarstwo w pałacu wielkim, zabrnąłem w labiryncie sal do pewnej, jak mi się zdało, pustelni. Było to w rogu pałacu, od strony mostu Aleksandra III, w sali obskurnej, okrągławego kształtu, która-by mogła z powodzeniem służyć za poczekalnię dla skazanych na gilotynę.

Onieśmielony pustką i milczeniem, które przerywał tylko łoskot poziewania woźnego, wstrzymałem kroku. I nagle, z przeciwległej strony rotundy, uśmiechnęło się do mnie znajome, szerokie oblicze p. Frenkla. Zrobiło mi się niemal tak dobrze, jak szambelanowi po „zeleniaczku“. Z kolei poznałem portret arcybiskupa Popiela, oraz płótno p. Hirszenberga, pod tytułem: „Żyd wieczny tułacz“. Nie miałem wątpliwości: stałem wśród wystawy sekcji polskiej, której tak długo szukałem bez nadziei znalezienia. Płótna Gersona, datujące z epoki Kazimierza Odnowiciela, koloryt obrazów Piątkowskiego Henryka,

znana z oleodrukowego odbicia „Gwiazda wieczorna“ Żmurki i t. d., i t. d., przekonały mnie do reszty.

Kiedym po kilku tygodniach zwiedzał znowu wystawę obrazów, w okrągłym salonie uczyniono wejście wprost z bulwaru Mikołaja II. To spowodowało zapewne, że woźny już nie poziewał i salon wraz z przyległymi pokojami wypełniał tłum zwiedzających. Publiczność dość podejrzliwie obchodziła dokoła olbrzymie płótna, które, nie wiem dlaczego, wysłano z Warszawy na tę wystawę, gdzie rozporządzano tak szczupłym miejscem. Zatrzymywano się natomiast dużo przed obrazem Chelmońskiego („Kuropatwy na śniegu“), przed Piechowskiego „Processyą“ i zwłaszcza przed świetnym portretem Pankiewicza, przedstawiającym damę i dziecko w bieli z pomarańczą w ręku.

Spędziłem kilka razy po parę godzin w salonie okrągłym, gdzie mi się upodobał towarzystwo Frenkla (wyborny portret Lentza), i byłem zdumiony, słysząc dokoła tylko francuski język.

Pewnego razu do salonu weszło grono osób, najwyraźniej z „lepszego towarzystwa“. Dwom paniom towarzyszył ktoś bardzo podobny do jednego z profesorów krakowskich, oraz pan, którego uprzednio poznałem w wagonie. O panu tym wiedziałem napewno, że jest z Warszawy, i nawet mimowoli zwróciłem się do mego towarzysza rodaka i współpracownika wielu pism:

— O, jest mój Podfilipski.

Towarzysz mój, który twierdzi, że od pierwszego rzutu oka pozna narodowość z twarzy, ze sposobu zachowania się i t. p., zaopiniował, że się mylę, i że grono najwyraźniej pochodzi z Berlina.

— O zakład! Nawet sędzę, — dodał z „nonszalancyą“, — że to są jacyś właściciele kamienic z Poczdamu.

Tymczasem grono zatrzymało się jakby w niepewności na środku salonu. Mój Podfilipski objaśniał paniom obrazy. Czynił to jednak w języku niemieckim. Panie oglądały się parę razy za siebie z widocznymi oznakami zaniepokojenia, poczem starsza szepnęła do Podfilipskiego:

— Idźmy stąd!

Wygrałem zakład. Grono zaś ruszyło dalej, w kierunku „Grupy malarzy austriackich, zamieszkałych w Paryżu“, gdzie zapewne panie i Podfilipski przestraszyły się portretu Ciesielskiego.

Wystawa w pałacu wielkim mieści tylko część prac malarstwa polskiego. Jest to właściwie wystawa warszawska. Śmiały-bym twierdzić, że nieraz Salon Zachęty mieścił znacznie szacowniejszy zbiór dzieł polskiego pędzla, i że salonu wystawowego nie obeszano w tym roku najczęściej.

Za to tem przyjemniejszego wrażenia doznaje się przy „Ulicy Narodów“, gdzie w pawilonie austriackim mieści się wystawa malarzy krakowskich.

Odrazu na wstępie do pawilonu uderza purpurowy fragment Matejki: „Zaręczyny Kazimierza Jagiellończyka z Elżbietą austriacką“. A tuż obok zwraca uwagę literalnie wszystkich przechodniów obraz Malczewskiego, zatytułowany w katalogu: „Melancholia“. Malczewski jest razem naszym Uhde'm i Stüchem. chwilami nawet w swych dziwnie silnych fantazyach — naszym Böcklinem.

Ale wobec tej „Melancholii“ zapomina się o paralelach i porównaniach cudzoziemskich, gdyż artysta tu jest tylko sobą, zdawało-by się rówieśnym Słowackiego. I obraz ten wygląda jak strofa z „Króla Ducha“, wysnuta z jękiem w wielkiej malignie serca. Cudzoziemcy zatrzymują się przed tym obrazem, i jako kto może, komentują go, zapytując o nazwisko i narodowość artysty. W tym pawilonie i przed tym obrazem wystarczy wymienić to drugie.

Obok Malczewskiego i w przyległym szczupłym saloniku znajdujemy znajomy, swobodny, twórczy rozmach malarzy krakowskich: akwarelle myśliwskie Fałata, pastele sielskie Stanisławskiego, główki Axentowicza, portrety Pochwałskiego, Wyczółkowskiego, Augustynowicza, Witkiewicza pejzaż; z młodszych daje studjum Wyśpiański, z najmłodszych — Weiss.

Efekt tych wszystkich obrazów jest taki, jaki podobno wywierała gościnność przysłowiowa o starych dworach: oto szczupłe ściany tej wystawy zdają się rozszerzać, i wieje z tych obrazów, jak z otwartych na świat polski okien, świeżość, siła, rodzimość.

Dobrze tu jest każdemu z nas po utrudzającej wędrówce wystawowej.

Było-by jednak naturalnie zanadto dobrze, gdyby nie było żadnego „ale“ (pominąwszy naturalnie jedno zasadnicze: ciasne ściany pałacyku Habsburgów).

Otóż jest takich „ale“ aż dwa. Pierwsze uderza w obrazie p. Kossaka, przedstawiającym Wilhelma na czele ułanów pruskich. Obraz to raczej dobry dla przystrojenia prywatnej wystawy p. Edgara Kornałsa (o czem zaraz mowa), niż do sekcji polskiej na wystawie francuskiej. Nie zaleca go ani malowanie, pełne furji oleodrukowych „ataków kawaleryi“, ani ramy, nie wiedzieć dlaczego, ubierające Wilhelma w styl... Ludwików. Ale mniejsza z tem.

Drugie „ale“, to są fotografie „chałupy“ zakopiańskiej na Kozieńcu, nadesłane przez Witkiewicza. Czytałem w katalogu i słyszałem w kraju, że na wystawę paryską wysłano całkowity model domu zakopiańskiego, zbudowany pod kierunkiem Witkiewicza. Przebiega-

jąc wystawę, pełną szaletów szwajcarskich, budynków tyrolskich, bretońskich, kolonialnych, syamskich, indyjskich i t. d., i t. d., cieszyłem się zawczasu z doskonałej miny, jaką wobec nich wszystkich będzie się odznaczał nasz budynek. Szalet norweski, bardzo wyrobiony w ornamentyce i zastosowaniach praktycznych, dom duński, dworzec szwedzki i finlandzki kościółek, miały-by w chałupie zakopiańskiej znakomite p e n d a n t stylu górali północnych. Tymczasem, niestety, ani śladu „chałupy“, ani śladu mebli i ozdób, w drzewie wyrzynanych, które na fotografiach nawet tak interesowały artystów francuskich, powiązaniem motywów „lelui“, ostu, paproci, choiny.

Potem już dowiedziałem się, że Witkiewicz model przysłał, lecz że w gościnnym pawilonie habsburskim nie znalazło się dość miejsca na „chałupę“. Uderza to, zwłaszcza wobec faktu, że w tym-że pawilonie umieszczono stosunkowo obszerną etnograficzną wystawę Dalmacyi.

W poszukiwaniach za „chałupą“ zakopiańską, dotarłem pewnego razu do sekcji austriackiej wystawy sztuki stosowanej. Tu, w okolicy wiedeńskich, czeskich i secesjonistycznych pokojów, odkryłem właśnie ze zdumieniem wyżej wzmiankowany „ręcznik z Makowa“. Ręcznik ów wisiał w pomieszczeniu, które śmiało nazwać mogę „ubikacją“.

Gdym próżno zachodził w głowę, co to wszystko oznacza i co robi „ręcznik z Makowa“ obok jakichś złocen i srebrzeń z bizantyńska faterlandzkich, towarzysz mój wydobyl sporą księgę z napisem: „Sposób zakopiański“ i z podpisem: „Edgar Kornats“...

Dziwna rzecz: znaleziono dość miejsca, ażeby pozwolić p. Kornatsowi urządzić tapicerską dekorację we własnym smaku, nie znaleziono zaś go, gdy chodziło o zgromadzenie prawdziwych etnograficznych motywów budownictwa i zdobnictwa polskich górali!

Zrozumiałem, że tu właśnie, w izbie, urządzonej na wzór chałup zakopiańskich z odrzwiami, stołami i stołkami, wyrzynanemi pięknie w drzewie, z samodziłem tkanin miejscowych, z rysunkami i wzorami rzeźby miejscowej, ze zbiorem łyżników zakopiańskich — tu było właściwe miejsce i dla „chałupy“ Witkiewicza, skoro już nie można było wybudować jej na wzór „domu bretońskiego“.

Losy jednak zrządziły, że stanęła tu prywatna ubikacja p. Edgara Kornatsa!

ANTONI POTOCKI.

Pan Balcer w Brazylii.

III.

P o w r ó t.

O utęsknienie, o duszny głódzie,
Którego cudzym nie utłumić chlebem!
Żaglu, co nosisz obłąkane łodzie,
Oceanowych dróg pienistym żlebem!
Wietrze, wiejący ku miłej zagrodzie,
Na każdą chwilę i pod każdym niebem!
O bystre skrzydło, na którym się ptaki
Ku gniazdom niosą przez śródniebne szlaki!

Tyś to nam było gościńcem i drogą,
 Którą się nasza rzuciła gromada
 W świat niedeptany jeszcze ludzką nogą,
 Gdzie nic, po swemu, do czleka nie gada,
 Gdzie nijak, o nic nie pytać u kogo...
 Tyś to nas, jak te zórawiane stada,
 W powrót poniosła, pod zorzy obłękiem
 Obwołujących się zórawim jękiem!

.

Dotąd ja widzę ordynek nasz cały:
 Naprzód, z zawziętkiem w twarzy, Roch Zatrata,
 Za nim Swiercz, Ziąba Wawrzon, dwa Koźbiały,
 Piotr Bandys, Bugaj, Kacper, zwan Harmata,
 Dalej, w starości swej zeszej struchlały,
 Horodziej drepce, włos za nim polata
 Mleczny, jako te łabędziowe pióra,
 Za Horodziejem Szczęśniak, Lis, Sekura.

I ciebie widzę, Marychno Dudkowa,
 Dzieciątko swoje tuląca w chuścinie,
 Drżąca od troski, czy Bóg je uchowa...
 I ciebie, Dudku, i ciebie, Marcinie
 Srokaczul Twoja ogolona głowa,
 Jak żywa, tak mi widna w tej godzinie...
 I Zagajnego widzę, widzę Ługa,
 I ciebie, święta staruszko z nad Buga.

Stajała nasza kupa, jak śnieg taje,
Kiedy go słońce marcowe obświeci.
Huk ludu ciągnęło na owe wyraje,
A teraz wraca co piąty, co trzeci...
I oto znowu na ścieżaj nam staje
Droga, przez którą ptak z trudna przeleci...
Niebo i ziemia... A my, między niemi,
Ani z pod nieba tego, ni z tej ziemi.

.

Rzuciliśmy się wskroś borów. A było
Tego, jak morza przed nami. Te drzewa,
Te krze, to się to ażę bałwanilo
W sobie, jak fala gdy falę zalewa.
Więc tego ludzką nieprzebrodzić siłą,
I wyjść stąd żywo niech się nie nadziewa
Żaden, bo mu ta puszcza pierworodna
Nie pofolguje, i musi iść do dna.

Ale że było rozruchu niemało,
Zanim to sobie naród dał przelożyć,
Bo się każdemu z przodku wydawało,
Że tylko iść, a iść, a kroku sporzyć,
A łbem przebijać gąszcze owe śmiało,
To musi bór ten na świat się otworzyć,
A nikt nie liczył o czym iść. Choć letce,
Co miał, na plecach uwiązał w płachetce.

Wiedziałem, jako tu gdzieś bliższą drogą
Przez step, do rzeki można, pod wschód słońca;
Lecz za borami Bandys trzymał srogo,
Jako że owe pożary gorąca
W leśnych nas kniejach tak łatwo nie zmogą.
Więcem już swego nie przeparł do końca,
Bo się niewiasty, dzieciątka co miały,
Tuż za Bandysem przy borach ozwały.

Tak my się darli dzień, i drugi darli
Przez bór ten, jak przez okrutne boisko,
Gdzie społem walczą żywi i umarli,
I gdzie od trupa pod nogą jest ślizko.
Jak raz my w oną gęstwinię się wparli,
Tak szli, nie wiedząc daleko, czy blisko,
I ślepo w tej się plątając obierzy,
Gdzie i ten wróg ci, co gnijąc już leży.

Aż pod noc trzecią — stój! Góreczka była
Niegwałtem wielka, a na niej szłaśasy
I krzyż. Pod krzyżem ziemia się czerniła,
Jak kopczyk chrustów, wygasłych za czasy.
Ruszym my bliżej, aż ci ta mogiła
Jak się nie porwie, nie wrzaśnie na lasy,
Jak nie zakrąży nad nami chmurzyskiem,
Z okrutnym skrzydeł łomotem i piskiem!

Spojrzę — o żywe Chrystusowe rany!
A toć tu na żer padła sępów kupa?

Toć tutaj leży człek niepogrzebany!
 W płótniance, w kierpciach, nasz! Więc się do trupa
 Rzucim, a baby w płacz, jako w organy,
 A ówże, nakształt krzyżowego słupa
 Rozkrzyżowany, śmiejący się niebu
 Nagiemi kośćmi, jak pies — bez pogrzebu.

Bo śmiał się! Ten trup śmiał się! Ta kość sucha,
 Śmiała się z jakąś śmiertelną rozpaczą,
 Co z szczęk otwartych bez głosu wybucha,
 I z oczodołów pustych, co nie płaczą.
 Struchlałem. Zdało mi się, że Bóg słucha
 Śmiechu tej kości, nad którą tu kraczą
 Sępy, i w niebie że usnąć nie może,
 Chociaż gwiazdami wysłane ma łoże!

Na krzyżu napis: — „Jezus i Maryja“.
 Grubo wyróżniony w nierówne litery.
 A zaś poniżej: — „Polska kolonija,
 Rok osiemsetny dziewięćdziesiąt cztery“.
 Spodem więz suchych liści krzyż owija,
 A pod nią, rzędem nacięcia siekiery:
 Raz, dwa, trzy, dziesięć, dwadzieścia... Tak głowy
 Pomarłe znaczył ostatni karbowy.

Wkoło mogilki. Po mogilkach czerwie
 Mrowi się z suchym szelestem skroś piasku.
 Sęp to zapadnie, to znowu się zerwie,
 W ogromnych szumach i w czarnych piór blasku.
 Nie znać, co świeżo sypane, co pierwie,
 Bo wszędy górki padają się w trzasku

Spekanej ziemi, i wszędy kość biała
 Sterczy, do naga obrana już z ciała.

Na kościach widne płótnianki, kapoty
 Podlaskie, szyte taśmami czarnemi,
 Chusty, rańtuchy niewiast i włos złoty
 Dzieciątek, z onej wygrzebane ziemi.
 Więc uderzyły na mnie zimne poty,
 A żadnej ślozy nie czułem za temi
 Oczyma, com je wbił w one mogiły,
 Twarde i zimne, jak lodu dwie bryły.

Poklękły baby... „Wieczne spoczywanie“...
 Szepcą wzdychając. A krew się już we mnie
 Rzuciła warem, więc zakrzyknę na nie:
 — Gdzie? Co? Jak?.. Co tu gębę psuć daremnie?
 Tutaj nie cmentarz! Tu kruki i kanie
 Wyżar swój mają! Tu ziemia niekzemnie
 Zdradza swe trupy przed sępów oczyma,
 I spoczywania wiecznego tu niemal..

Buchnął płacz ciężki: — Ot scheda! Ot dola!
 Ot panowanie, bogactwa, wolności!
 Ogolonego z boru szmatek pola,
 I te psie budy, i te nagie kości!
 Chrystel niech-że już będzie twoja wola!
 Niech my już świecim borom tym w jasności
 Zbielałych czaszek, co są jak miesiące,
 W ziemię zaryte, a w niebo patrzące!

.

Chcieli, co młodszy, w szalasy. Nie dałem.
 Kto wie, jakie tu po nich były mory?
 Więc tylko nad tem niegrzebanem ciałem,
 Kopiec my piasku usypali spory,
 Zaczem leżącą siekierę porwałem,
 I dawszy zacios ostatni przez kory
 Krzyża, by registr ten dopełnić Bogu,
 Szedłem, w gorzkości, precz z onego stogu.

I patrz! Tak serca wszystkie się ustały
 W tych łzach, jak kłosy obciążone rosą,
 Kiedy się po nich przechodzi wiatr mały,
 A one za nim lekuchno się niosą.
 Więc gdy wstecz ruszył, i chłopcy krok dalej
 Za mną z nawrotem. Czuł naród, że to są
 Wrota, co tutaj zatrasły się same,
 I że nam nie lża przez czarną tę bramę.

.

W szerokich liniach paliła się zorza,
 Gdyśmy na borów stanęli rubieży,
 Już obróceni na wschód i do morza,
 Za którem, każdy wiedział, chata leży.
 Za nami puszczy głębokie bezdroża,
 Przed nami — wzrokiem jak tylko zamierzy,
 Step, skroś sinego ginący obłoku,
 A nas garść, ledwo widna Boga oku.

Kto-by nas widział tam?.. Te naznaczone
Głowy, na których się już śmierć piślała,
A one, przez gwałt żywe i niesione
Wysoko sercem, gdzie dusza ostała...
Kto-by nas widział!.. Ale nikt w tę stronę
Nie patrzył. Tylko ona straszna chwała
Zorzowych ogniów rzuciła nam w lica
Blask trupi, jako płonąca gromnica.

Chwilę stał naród, bo wszystkim się zdało,
Że jakieś głosy biją ku nam z borów.
Więc ten, to owy obróci się mało,
Zalśnie od onych jarzących kolorów,
Którymi nízkie słońce pnie dzierzgało
Piniów, bananów, palmów, sykomorów,
Czyniąc z nich, przez swą sprawę i robotę,
Na czarnej harfie puszczy — struny złote.

A choć tam wkoło cichość była głucha,
Wyraźniem słyshał, jak na struny one
Kładą się ręce wichrowego ducha,
Co ma złociste szaty i czerwone.
Trącił, i oto pieśń puszczy wybucha,
W jakąś strzelistych głosów antyfonę.
Drzewa dostają skrzydeł, chwieją pióry,
I stoją w ogniaoh, jak Serafów chóry.

Tak się ta puszcza przed nami rozwarła
W ostatniej chwili, jako skarbeca wieko.

I co nas pierwaj męką prawie zżarła,
Teraz, kiedy my od niej szli daleko,
Gwałtem się oczu naszych tam napała,
Co prawie krwią już a nie łzami cieką,
I tak kusiła nas, jak dziwożona,
Tajemną cudność ukazawszy łona.

Ale Piotr Bugaj klęknął, odkrył głowę,
Grzmotnął się pięścią jakby na spowiedzi,
A wzniosłszy lice wychudłe, surowe,
Ciemne od dusznej i głodowej śniedzi,
Wziął przygarść ziemi, co pod zorze owe
Tak czerwieniła, jakby ruda miedzi,
I pierś zakłęśłą wzdąwszy, by dech złapać,
Ścisnął. Przez palce krew zdała się kapać.

A ów: — Niechże nas Bóg rozsądzi w niebie!
Nas, co my tutaj przyciągli z za morza
W obiecowany kraj ten, i zaś ciebie,
Ty, cudza ziemi! Aboś ty jest boża,
A my się, grzeszni, na twym struli chlebie,
Że z nas tu sucha kość tylko i koża,
Abo my prawi, a tyś jest — czartowska!
Niechże nas tera rozsądzi moc boska“!

Rzekł, i podany w zórz jasną sreżogę,
Trząśł garścią, a lez wielkie błyskawice
Przez twarz mu jasną uczyniły drogę,
Jak przez gromową chmurę. Tę prawicę

Ściśniętą, widzę do dziś, i nie mogę
 Zbyć z myśli, w jakiej to wzniesione lice,
 Drgające każdą żyłką, było męce,
 Gdy ten chłop tak tę ziemię ścisnął w ręce.

Szczypta to była marna tego, ale
 Kto wie, od czego wzleca, albo spadną
 One nad światem uwieszone szale,
 Gdzie ziarno piasku czasem ciągnie na dno.
 Lecz ów na boskim jakby trybunale
 W zapamiętaniu, klęcząc, mocą żadną
 Ocknąć się nie dał, choć Kos go, jak umie,
 Tak cieszy: — „Co ta... Co ta już, mój kumie“!..

I twardy kulak podnosząc do oczu,
 Chlipał, a wielkie wąsiska mu drgały...
 Ale Horodziej, co stał na uboczu,
 W siwiźnie swojej, jak gołąb ten biały,
 Powiódl rękoma po onem przeźroczu
 Powietrznem, w którym jeszcze łuny grały,
 I głosem cichym, sam jakby do siebie
 Mówił, spojrzenie utapiając w niebie:

- „W boskim to widać stało dekretarzu,
 Byśmy tych borów puścili się bezdnał
 Paś-że nas tera, Ty dobry Owczarzu,
 Iż nam tu droga ni piesza, ni jezdna,
 A daj kość złożyć na onym cmentarzu,
 Gdzie szepcą brzozy i rosi noc gwiezdna,

Ty, co szlakujesz, gdzie owca zapłacze
Z ciernia, i jagnię piastujesz tułacze.

Paś-że nas tera“!

.

A wkoło, jak wodna
Roztocz, step siniał po nieba krawędzie.
Trawy — w pas, idziesz niemi jakby do dna
Ów nurek, co go trzymają na wędzie.
Gdzie pojrzysz, głębia zieleni bezbrodna,
Że jak na morzu, ptak tam nie usędzie
Wędrowny, tylko na bujach rozpięty,
Pod błękitnemi zawisa odmęty.

We dnie się cichość aż dzwoniąca zdawa.
Step martwo leży, jakoby nieżywy.
Naprostowana w niebo patrzy trawa
Bez ruchu, gęste ustroszywszy grzywy;
Tylko się po niej świetlista kurzawa
Toczy, migając tęczowemi szkliwy
I nic. I człowiek zgubiony w tej ciszy,
Na sto mil dokół—dech tylko swój słyszy.

Czasem się szumy szerokie zrywały,
Nie wiedzieć odkąd, jak na morskiej toni,
Wizgiem się wtedy zanosił step cały,
Roztętniał, jakby pod tabunem koni,

I cichł, i znowu szumy przepadały
Nie wiedzieć kędy, i cichość aż dzwoni,
I tylko w dali, z chróścianych zasieczy,
Murzyn na skórze wężowej zabeczy.

Dopieroż pod noc budzą się muzyki
Zaczarowanej w tym stepie kapeli.
Dopieroż brzęczą te złote gęśliki,
Co je z drzew rajskich strugają anieli,
Dopieroż gwizdy, trzepoty, pokrzyki,
Furczenie, jakby srebrzystej kądzieli,
Cykania, kląski, poświsty, podmuchy,
Stronami ciężki łomot i ryk głuchy.

Idziesz, aż z onych zielonych czeluści
Piechotnych dropów porywa się stado.
Skrzydła, jak żagle rozwiedzie, rozpuści,
I wpływ pomyka krzyczącą gromadą.
A tuż ci z pod nóg zwierz prychnie, zaszusci,
Przepadł! I tylko za nim, tą lewadą,
W głęboką bródę nurt trawy się poda,
Jakoby czółnem rozcięta skroś woda.

Tuż dziwne chrząsty biją w jasne błony,
By drogi kamień w kosztownym sygnecie
Jedne skroś modre, a drugie, jak ony
Krwawnik, a zasię jak szmaragd te trzecie.
Właśnie jak kiedy z królewskiej korony
Czarodziej garścią klejnoty pomiecie
Nad głowę, w blaski rozsypaną tęczę,
A one żyją, płoną, lecą, brzęczą...

Nagle, na owych szerokich krwawicach,
Które tam słońce zachodnie rozlewa,
Powietrze całe staje w błyskawicach,
Złotopierzystych ptaków. Jak ulewa
Iskier, gdy młoty uderzą w kuźnicach,
Tak lecą. Wszystko drga, błyszczy się, śpiewa,
Krzyczy, zatacza sobą i szaleje,
Jak dziecko płacze, jak szatan się śmieje,

Aż na ostatniej mdlejących łun krasie
Pokładzie pióra to, i wsiąknie w zorze.
A im zmierzch głębszy czyni się, tem zasię
Jaśniej zaczyna płonąć stepu morze:
Jak srebrne blaszki na krakowskim pasie,
Albo jak świece w żydowskiej komorze,
Gdy szabas zajdzie, tak gęsto nabite
W trawach, ognice świecą złotolite.

Zrazu głęboko palą się tajniki
Stepu, jak próchna gdy w bagnach goreją.
A zaś się wzbijają one latarniki,
I księżycowych blasków w step naleją.
Aż zawirują, zawiodą tan dziki,
I gwiazd lecących uderzą zawieją.
Z traw bucha ogień i w trawy znów nurka,
A coraz—suchy trzask, jakbyś tknął kurka.

A to tak dziwne one czarokwity,
Po nocy, z trzaskiem otwierają kwiaty.

Jedne, jak tarcze, a insze, jak kity,
A te, jak miecze, a te, jak bułaty...
Chwieją się, szumią, kwiat świeci odkryty
Do serca, tajne roniąc aromaty,
A nad nim, z głośnem buczeniem się miota
Ćmów, bąków, trzmieli—pospólna hołota.

Bo noc tam nie jest, jako u nas, rzewna,
I pełna łaski na duszną tęsknicę,
Kiedy to leda fujarka ci z drewna,
Łzami urosi spalone źrenice...
Nie jest ni cicha taka, ni tak śpiewna,
Ni zadumane nad ziemią ma lice,
Lecz jako wiedźma na ognistej miotle,
Kipiący wrzątek życia miesza w kotle.

A co najdziwniej, że ta ziemia wszystka
Sama tu pani, sama gospodyni.
Boć z trudna za wieś liczyć kretowiska,
Co je tu sobie kopają murzyni,
Które, gdyby zaś nie dymek z ogniska,
Co się tu, owdzie, skroś trawy zasini,
Łacno, idący, przestąpiłbyś nogą,
Jako mrowisko sypane nad drogą.

— Hej! Hej!—zakrzyknie Lis—A to ci pasze,
Nieprzesieczone żadną ludzką mocą.
Hej, żeby to tak dworskie, a to nasze
Gromadzkie bydło nagnać tutaj nocą!

A Bugujowa:—Ja się tam nie łaszę
 Na cudze! Co mi tu już teraz!.. Po co?..
 Albo mi to tu, zaryczy Kwiatocha?“
 Tu żal niewiastę zeprze, więc zaszlocha.

Nuż więc uradzać, że to się iść eniło,
 Ten o zagonie, a ów o chudobie.
 Jak to, jak owo będzie jako było...
 Ta ziemia cudza sobie, a my sobie.
 Więc, że tam wszystko brzęczało, świeciło,
 Ani nas cieszy, ni dziwi w tej dobie,
 A każda małość z tej Wólki, z tej Woli,
 Za serce szarpie wprost, i boli... boli...

.....

Czwarty my dzień już szli o twardym głodzie,
 Że choć gryź kamień! Alić i kamieni
 Tam brakło. Na nic duch zemdłał w narodzie,
 Moc kłęśła, ludzie ciągli jak uśpieni...
 A już się niebo jaśniło na wschodzie
 Wązkim rąbeczkiem lekuchnej czerwieni,
 Gdy nagle między trawy falujące,
 Błysły nam wielkie, czarne półmiesiące

Zagiętych rogów. Kos pierwszy je zoczył,
 Więc machnął ręką, by dalej ni krokiem.
 Stańlim. Jeden Zagajny, poskoczył,
 Iż zwierza bystrem ustrzełił już okiem,
 Wyciągnął szyję, z ramienia otworzył
 Fuzyę... Patrzym, a tu na głębokiem

Zeraniu stado bawołów się pasło...
 Drgnął cyngiel, gruchło! Aż ci na to haśło

Jak nie wyskoczą nagle, gdzieś z pod ziemi,
 Murzyni kupą, właśnie, jak psy z budy!
 Jakże nie wrzasną srodze! Jak się temi
 Rękami w gołe nie zaczną bić udy!
 Łby w dół i na nas! A niech was oniemi
 Czort!—myślę, patrząc na te czarnoludy,
 A z takim szło to impetem, że w chwili,
 By mniej narodu, to-by nas rozbili.

Alić pierwszego z tych tryków jak chwycę,
 Garść mu wszczepiwszy w to wełniste runo,
 Jak nie zatrząchnę, jak tę trząchawicę
 Grochowin! Chłopi, jak w kułak nie plunął
 Byliby im tam zagrali na grdyce
 Zdrowo, bo twarze zabięły już łuną,
 Lecz ów, któregom nie puszczał tych z kleszczy,
 Macha na swoich i stać na nich wrzeszczy.

Takem otworzył kułak. A sobaki!
 — Rzekę—Wy co tu? Ten jeden niech gada!
 A ówże głową trzęsie, daje znaki,
 Że strzelać w stepie niewolno do stada,
 Że zestraszone strzałem idzie w młaki
 Dalekie, że tam po bagnach zapada,
 I że nam wołu na sznur trzeba chwytać.
 Tak mnie porwała złość, więc zaczną zgrzytać.

— A to go chwytaj, czorcie, sam!—zawrzasnę,—
Bo ja nie hycel, żebym bydle łapał
Na strykl! A strzelbę mam, to z niej wytrzasnę,
Choćby do ciebie!—Ażem się zasapał.
I w oczach świece stanęły mi jasne
Z passyi. Tak murzyn po łbie się podrapał,
Targ w targ, za paczkę bakunu, pospołu
Z starą stambułką, szli chwytać nam wołu.

Tak zaraz chłopcy na oną ochotę
Podniosły rzeźki huk, i dobra nasza!
A już powietrze czyniło się złote,
Już dech się ranny po trawach ponasza,
Świta. Więc pędzim przed się tę hołotę
Czarną, jak właśnie barapy z kiermasza,
W Łukowie, w Miednej, aboli w Wohyni...
A dzień się coraz różańniejszy czyni.

Nagle—stój! Co to?—Rzucili się plackiem
O ziem. Słuchają, co ziemia powiada...
Sza... cicho!.. Dwóch ich popęzło omackiem
W traw głębie, piersią naga, jak u gada.
Znów cicho... Naraz, z wejrzeniem junackiem
Porwą się, pomkną, zoczyli już stada...
Pędzą, znów stają... Nagle się rozskoczą
Wszystcy, i we dwa półkola zatoczą.

Był moczar. Trzciny wysokie dokoła
Stały, przerosłe poległym szuwarem!

Grunt klęsnął, wody żółte, jakby zola,
Brudno świeciły sitowiem skroś szarem,
Za wodą ziemia ubita i goła,
Jak majdan. W trawach, nakryte oparem
Bagienka, stado zbiło się bawole,
A byk potężny i zsiadły na czole.

Już nas uwidział! Przesąpił nam drogi,
Łba zniżył, w ślepiach zabłysnął krwawicą,
Pochyłe, zgięte w dół, nastawił rogi,
Z głuchym pomrukiem jął kopać racicą
Ziemię, i stał tak, rozparty i srogi,
Z obwisłą rudo zakudloną grdycą,
Coraz chrapliwszym zanosząc się rykiem,
A z miejsca swego nie myśląc przed nikim.

Ale murzynów kupa zwierza straszy,
Łby wyrzucając, z pokrzykiem, do góry,
Biją piętami, klaszczą... A tuż naszy
Też przyhukują, jak zmoże tam który.
Byk stał. Tymczasem od zadu, od paszy,
Przebrnąwszy bagno, cicho wijąc sznury
Nad głową, druga kupa się zaczyna,
Na potężnego onego buhaja.

I nagle, gdy zwierz rozjuszony, wściekły,
Ruszył się na nas z pian płachtą u pyska,
Sznury ze świstem powietrze przesiekły,
Już pętla padła, już mu gardziel ścisła.

Ryknął. Ryk stada zawtórzył przewlekły
Jak grzmot, kiedy się po górach rozpryska:
Zaczem byk zwałił się, tocząc po stepie
Gasnące, na łeb wysadzone ślepie.

Tak zaraz tryumf grały one ciury,
Na wiwat becząc i oną uciechę,
Na prostych długich trąbach z wężej skóry,
Zaczem z trzciny tęgą uwiązali wiechę
Na kiju, jeden wytknął ją do góry,
A insi, przez łeb uczyniwszy plechę
Toporem, wlekli byka na boisko,
Gdzie w pacierz, jasne gorzało ognisko.

Tutże dopiero Mazury poznały
Kucharską sztukę, jakiej równej niema,
Gdy obłupione ze skóry kawały
Mięś krwawych, trzciny podetknąwszy trzema,
Ledwo, że nieco ogniem ogorzały,
Już je chwyтали rękoma obiema,
Rwąc, jak psi, one ochłapy zdymione,
A kość murzynom rzucając na stronę.

Tak, w trzy pacierze prawie się skończyła
Ta uczta, jakiej nie daj Boże komu!
A już gwałtowne słońce, jako bryła
Żywego ognia, paliło bez sromu...
Tak w nas ustała moc wszelka i siła,
Runęły chłopcy, jakoby od gromu,

Żarem pobici i zmożeni jadłem,
Zarywszy nosy w trawę. I ja padłem.

.

Ochłodło. Zorza czyniła się niska,
Gdym ocknął, jak gdy nagle kto zawoła;
Spojrzę, a tutaj owe murzyniska,
Bakun kurzący posiadli dokoła,
Za nimi baby, dzieci, nędzne psiska,
Cała hołota poczwarna, wpół goła,
Wyległa z swoich kretowisk i kleci,
By nam się przyjrzyć. Patrzę, a wśród dzieci

Białe chłopiątko przysiadło na ziemi.
To liczko żółkłe, czupryna ta złota,
Jak strzecha, po nad oczami modremi,
Tak mi się serce, jak ptak załopota...
Więc krzyknę:—A ty co tu między temi
Małpami robisz?—A ów:—„Ja sierota!“
— Skąd?—A z Radzynia!—Jakżeś się tu dostał?
— „Z ojcami. Ino pomarli, tom ostał.“

— A Chryste!..—krzyknę ze zgrozą, iż czasy
Zbyt srodze zdały mi się niespokojne,
Gdy nie dość, że się z miejsc ruszyły lasy,
Lecz i kwiatusek taki musi w wojnę!..
Ale już baby, iż naród to łasy
Na wszelką żalóść, lzy puścili hojne,
I nuż tą rzewną gwarą mazowiecką:
— „A sieroteńko!.. A mojeż!.. A dzieckol!..“

Nuż tulić, pytać.—A jakże ci rzeką?!
 — Jantek.—Laboga!.. Toś ostał?—A jużci.
 — A gdzieście szli?—Bo ja wiem? Daleko!
 Jeno się wszystkim precz zmarło.—A skrós-ci
 Czego?—Tak słucham, a w piersiach mi cieką
 Gorące krople z serdecznych czeluści,
 Niepłakanemi straszliwemi łzami,
 A w sercu skowyt:—Chryste!.. Co ty z nami?..

Tymczasem chłopci w radę.—Toć go przecie
 Tak nie ostawim pomiędzy czarnemil
 Jużci nas teraz pan Jezus po świecie,
 Jako mak rozsuł na cudzej tej ziemi,
 Alić nas może do kupy gdzie zmiecie,
 Toć i sierotę przytulim ze swemi...
 A one dusze zbawione też mogą
 Krzyż nam uczynić święty nad tą drogą?

— „Jakże!.. Jeszczeby!.. Przecie rodziciele!“
 Niewiasty na to kiwając głowami,
 A chłopię to w nas pogląda nieśmiele,
 To ku murzynom siedzącym z fajkami
 Wokół ogniska, gdzie trzeszczą w popiele
 Kolby kukurydz... I tak, między nami,
 Jak piskle, z gniazda, chwieje się, zrzucone,
 Rozbite, że mu ni w tę, ni w tę stronę.

Tak chcemy chłopca brać, alić te tryki,
 Jak się nie porwą z wrzaskiem w niebogłosy!
 Dalej się żegnać, jako katoliki,
 Chrzczone są, dalej płakać, a rwać włosy,
 A trzaskać w uda! Baby w swą. Krzyk dziki
 Gruchnął.—Aż chłopię oczy pełne rosy

Wzniesie:— „Ja tu już... Ja wam iść nie zdolę,
Mnie zimno trzęsie co dnia... Tu już wolę!”

Na co Horodziej:— Ha! Rządźże sam, Paniel
Kto wie, na co tu rzuciłeś to ziarno.
Niechże gdzie padło z ręki Twej—ostanie!
Tu się niewiasty ku dziecku przygarną,
I zazdrośliwie patrzą, jako na nie
Murzynka dmucha gębą oną czarną,
A kuma kumie na ucho powiada:
— „Jeszcze uroczył.. Tfu!.. Jeszcze co zada!”

Alem ja chłopca podniósł za ramiona,
I rzekę:— Widzisz—tam? Jak wejda zorze
Ranne, tak klękaj i patrz. Tam jest ona
Ziemia!.. Tam chata jest. Aby przez morze.
Więc patrz, i wołaj ku niej: Ty, rodzona!
I bij się w piersi: Bądź miłościw Boże!
A czyn tak co dnia, aż cię Bóg wysłucha,
A miałbyś zamrzeć, tam wypuszczaj ducha!

Tum załkał, a i chłopak się rozłzawił,
Jakby w nim samo sieroctwo płakało...
Gdy w tem Zatrata szeroko rozstawił
Ręce.— „Dalej go! A pódzi-no śmiało!
A to Krzysztofa-Olbrzyma Bóg zbawił,
Co Jezusiczka przez strugę niósł małą,
Toć i ja sobie kęs rajy przysporzę,
Jak cię, sieroto, poniosę przez morze!..

Schylił się, dźwignął pacholę do góry,
I zaraz wielkim puścilił się krokiem.

Lecz wrzask murzynów, na podob wichury,
Długo za nami wył. Aż nas pomrokiem
Noc skryła, co już szepcącemi pióry
I skrzydłem ziemię obwiła szerokiem,
Zaczem ugasła ostatnia pokrwawa,
Co się po zorzach wieczornych ostawa.

MARYA KONOPNICKA.

PIŚMIENNICTWO.

Prof. Oswald Balzer: „Sejm mazowiecki pod rządem koronnym. 1526--1540“.

Po nabyciu Mazowsza przez Polskę w roku 1526, istnieje i działa w tej ziemi instytucja, znana powszechnie pod nazwą sejmu mazowieckiego, lub, jak go często nazywano, sejmu warszawskiego. W dotychczasowych badaniach poświęcono jej bardzo mało uwagi, a jednak materiał do wyjaśnienia powyższego przedmiotu jest obfity, choćbyśmy się ograniczyli wyłącznie do źródeł drukowanych. Źródła rękopiśmienne wszakże przynoszą uzupełnienia dalsze i pozwalają wypełnić lukę w historii naszych urządzeń państwowo-prawnych.

W roku 1526, wskutek wygaśnięcia dynastji książęcej, Polska nabyła niewątpliwych praw do Mazowsza na zasadzie dawnych układów lennych. Księstwo zostało rzeczywiście przez nią zajęte i ludność miejscowa złożyła przysięgę na wierność królowi polskiemu, ale to wszystko nie przesądzało jeszcze pytania, jakim ma być stosunek prawno-polityczny Mazowsza do Korony. Mogło się ono stać województwem polskiem, mogło jednak utrzymać także pewną odrębność

w swoich urządzeniach, taką, jaką posiadała Litwa, lub Prusy. Pytania tego nie rozstrzygnięto odrazu i sprawa cała była przez kilka lat w zawieszeniu. Dopiero później przyszło jej stanowcze rozwiązanie. W owym tedy okresie przejściowym nie można było przystąpić do stanowczego urządzenia poszczególnych instytucji prawno-państwowych na Mazowszu.

Mazowszanie próbowali warować odrębność swej ziemi, prosząc za księcia syna królewskiego, Zygmunta - Augusta; przytem pod względem ponoszenia ciężarów podatkowych i obrony ziemskiej pragnęli utrzymać dawniejsze, pod panowaniem książąt wyrobione, zasady. Wobec tych żądań król, a wraz z nim także i inne czynniki koronne, o rzeczach państwowych rozstrzygające, zajęli stanowisko odporne. Mazowsze musiało się stać zwykłą prowincją Polski, takim samem województwem, jak szereg innych, zdawna w jej skład wchodzących ziem. Ciężary szlachty mazowieckiej, podatkowe i wojenne, miały być zrównane z ciężarami szlachty koronnej. Już w dyplomie krakowskim z 20 marca 1527 roku stwierdza Zygmunt I, iż sejm walny, podówczas właśnie obradujący, prosił go o zupełne wcielenie Mazowsza do Korony i przyrzeka, że gdy ta rzecz nie dała się na razie stanowczo załatwić, dokona jej w najbliższej przyszłości w sposób, jaki jemu i jego senatorom wyda się najodpowiedniejszym. Ten sam zamiar administracyjnego połączenia Mazowsza z resztą Polski objawia król bez ogródek w dwu uniwersałach z roku 1527, 1528, zwołujących sejmy mazowieckie do Warszawy, jako też w legacyi swej do tegoż sejmu z roku 1527. Żądanie Mazowszan o ustanowienie królewicza księciem mazowieckim, spotkało się z odmową króla już na sejmie krakowskim z roku 1527. Jedyne zaś ustępstwo, z którego słabo przezierała myśl pewnej odrębności tej ziemi, było dokonane jeszcze we wrześniu roku 1526 ustanowienie osobnego namiestnika (*vicesgerens*) królewskiego na Mazowszu z przekazaną mu częściowo wyższą władzą sądową królewską.

Tem silniejszy za to położono nacisk na zrównanie Mazowsza ze stanami koronnymi pod względem ponoszenia ciężarów publicznych. Ogólną w tej mierze zasadę wypowiada już przywilej krakowski z roku 1527 i legacya królewska na sejm mazowiecki z roku 1528. Osobną potrzebę jednakowego i wspólnego udziału Mazowsza z Koroną w obronie ziemskiej podnosi kilka pism i mandatów Zygmunta I z roku 1527 i 1528, ostatni z nich wyraźnie też wspomina o jednakowych świadczeniach podatkowych w łanowem, szosie i czopowem. Dopiero układ komisarzy królewskich z Mazowszanami, zawarty na sejmie walnym koronnym w Warszawie dnia 11 lutego 1529 roku, jako też wydany na tej podstawie przywilej piotrkowski Zygmunta I z 27 grud-

nia tegoż roku, rozstrzygnęły co do głównych pytańów blisko czteroletni prawno-państwowy spór Mazowsza z Koroną. Odtąd też dopiero stosunek obu tych organizmów politycznych można uważać jako ustalony stanowczo. Polityka króla w tej sprawie, odrazu w programie jasno określona, z niezwykłą, jak na tego władcę, energią i wytrwałością prowadzona, odniosła tryumf zupełny. Mazowsze, wcielone do Korony, na podobieństwo innych ziem i województw koronnych, a to mianowicie jako część składowa dzielnicy wielkopolskiej. Dawniejsze przywileje Mazowszan zatwierdzono tylko o tyle, o ile są słuszne i prawne, zatem głównej zasadzie równego ponoszenia ciężarów nie ubliżają. Szereg innych postanowień upodobnił w wielu względach tamtejsze urządzenia prawno - polityczne do urzędzeń koronnych.

Sejm w Mazowszu królewskim był spuścizną Mazowsza książęcego. Nie znamy należycie genezy tej instytucyi w wiekach średnich, ani we wszystkich szczegółach jej organizacyi. Że do sejmu wchodził książę jako też dostojnicy i urzędnicy mazowieccy, nie ulega wątpliwości. Nie całkiem pewny jest szczegół inny, w jakim zakresie miała w nim udział zwykła, urzędów niepiastująca, szlachta. Są powody do przypuszczania, że nie znano tu jeszcze zasady przedstawicielstwa, jaka już podówczas ustaliła się w Polsce. Istnieją natomiast ważne wskazówki, przemawiające za tem, że w zasadzie udział w rzeczonym sejmie przysługiwał całej szlachcie mazowieckiej, jaka tu przybyć chciała. Tak przynajmniej wnioskować można z mandatu Zygmunta I z roku 1527, zwołującego sejm mazowiecki, w którym król, przeprowadzając reformę co do jego składu, zaznacza, iż czyni to dlatego, ażeby wszyscy mieszkańcy Księstwa nie mieli tu potrzeby przybywać.

Natomiast nie ulega wątpliwości, że w dobie samoistności Księstwa sejm mazowiecki był władzą ustawodawczą i najwyższą sądowną. Książę z zebranymi dostojnikami i urzędnikami, jako też inną szlachtą, wydawał ogólnie obowiązujące przepisy prawne i rozstrzygał ważniejsze spory. Ponieważ książęta przybywali też niekiedy osobiście na wiece, jakie istniały w poszczególnych ziemiach mazowieckich, przeto powstawało z tego powodu ze strony wieców pewne współzawodnictwo z sejmem, zarówno w rzeczach ustawodawstwa, jako też najwyższego sądownictwa. Dochowały się też po nasze czasy wyroki wiecowe, pod powagą książąt wychodzące, i także statuty książęce, wydawane na wiecach. Sejmiki wojewódzkie, dzielnicowe, sejm walny, różniły się mniej więcej od sejmu mazowieckiego, bądź-to charakterem swoim, bądź składem, bądź wreszcie zakresem władzy. Mimo to sejmu mazowieckiego nie zniesiono; utrzymano go zrazu na-

dal, ale rychło zakrzątnięto się około gruntownej jego reformy. Stało się to przedewszystkiem w odniesieniu do samej organizacyi i składu sejmu. Udział panującego odpadł z istotą rzeczy sam przez się. Usunięto też prawo uczestniczenia w nim całej szlachty. Natomiast już w mandacie z roku 1526, zwołującym pierwszy, za rządów koronnych odbyty, sejm mazowiecki, zarządził król, iż w poszczególnych ziemiach mazowieckich odbyć się mają sejmiki, celem obioru posłów na sejm warszawski, którzy-by razem z miejscowymi dygnitarzami zastanowili się nad sprawami bieżącemi.

W ten sposób organizacyę sejmu mazowieckiego upodobniono na wzór polskich sejmików głównych dzielnicowych. Na tem się jednak kończyło podobieństwo. Gdy bowiem z sejmików głównych koronnych udawali się później na sejm walny ci sami dygnitarze i wszyscy ci sami posłowie, jacy tu brali udział, to natomiast co do sejmu mazowieckiego zarządził mandat z 1527 roku, ażeby zebrani na nim posłowie mazowieccy razem z senatorami wybrali znowu z pośród siebie nowych posłów na sejm walny koronny. Mamy tu więc rodzaj wyborów pośrednich, z jakimi nie spotykamy się gdzieindziej w Polsce. Zasada jednak wyborów pośrednich nie utrzymała się nadal. Wybory takie zarządził tylko mandat z 1527 roku. W innych podobnych mandatach niema już o tem wzmianki, a co ważniejsza, statut mazowiecki drugi wyraźnie już stwierdza, że w czasie, w którym go spisywano, lub co najpóźniej, kiedy go zatwierdzono, wybrani na sejmikach ziemskich posłowie zwykli byli wszyscy brać udział w sejmie walnym koronnym. Wszelako i teraz jeszcze sejmików mazowieckich nie można było we wszystkim stawiać na równi z innymi sejmikami dzielnicowymi, gdyż zachodziły tu jeszcze różnice co do zakresu władzy.

W mandacie, zwołującym sejm mazowiecki w 1526 roku, powiedziano, iż sejm ten ma się naradzić nad sprawami miejscowemi. Na sejm walny, zwołany do Krakowa na początku 1527 roku, sejm mazowiecki grudniowy przysłał swe postulaty, domagające się urządzenia wzajemnego zewnętrznego stosunku prawno-politycznego między Mazowszem i Koroną. Prócz tego poruszono pytania, dotyczące wewnętrznego urządzenia Mazowsza, i stworzono tem niebezpieczny dla Mazowsza precedens, iż do załatwiania spraw mazowieckich właściwym jest sejm walny. W mandacie do starostów z roku 1527 król wyraża się, iż sprawę obrony zdaje na publiczne obrady i uchwałę sejmu warszawskiego, wzywając go, aby wespół z delegatami królewskimi naradził się i postanowił, czego potrzeba dla dobrego i szczęśliwego stanu Księstwa Mazowieckiego. Ten ostatni zwrot odpowiada niewątpliwie bardziej rzeczywistości stanowi rzeczy, albowiem w le-

gacyi, jaką wysłani przez króla na tenże sejm senatorowie - delegaci odprawili, przyznają oni sami temuż sejmowi prawo postanowienia wraz z nimi o rzeczach, dla których tutaj przysłani zostali. Ani legacya, ani wzmiankowane powyżej mandaty królewskie nie wspominają, jakoby uchwały te miały być później poddane rozpatrzeniu sejmowi walnemu, pomimo, że w czasie, w którym się odbywał sejm mazowiecki, zwołany był już nowy sejm walny koronny do Piotrkowa na dzień 25 listopada 1527 roku.

W mandacie jednak, wydanym w roku 1527, a zwołującym sejm warszawski na rok 1528, król wyraźnie oświadcza, że obrady Korony i Mazowsza winny się odbywać wspólnie, i dlatego poleca, ażeby przybyli na sejm walny posłowie mazowieccy i wspólnie z posłami innych ziem koronnych o obronie radzili. W mandacie tym skryształizował się ostatecznie program rządu polskiego w niniejszej sprawie. Na sejm walny przybyć mieli Mazowszanie już nie jako delegaci ciała ustawodawczego, odrębną władzą opatrzzonego, ale jako zwyczajni posłowie ziemscy, tacy sami, jak wszyscy inni koronni, zatem, jako istotna i organiczna część składowa sejmowi walnemu.

Nie mogli Mazowszanie nie dostrzedz niebezpieczeństwa, jakie stąd dla nich wypływało. To też sejm warszawski wybrał wprawdzie posłów do Piotrkowa, ale wysłał ich znowu tylko w charakterze legatów odrębnie rokującego ciała ustawodawczego, określiwszy ściśle zakres ich pełnomocnictwa. W ten sposób udaremniono znowu zamiary królewskie, uchwalone na sejmie pobory przyjęły tylko dawne ziemie koronne, nie przyjęli ich legaci mazowieccy. Konieczność państwowa zmusiła Zygmunta po raz wtóry odwołać się w tej sprawie do sejmowi mazowieckiego. Zaraz po ukończeniu obrad piotrkowskich, zwołał on go ponownie na dzień 27 marca 1528 roku. Stylizacya mandatów wskazywała, że rząd koronny nie ma zamiaru w przyszłości rzucić zasadniczego stanowiska. Sejm mazowiecki wezwany też został, aby wysłał senatorów swych i posłów z nieograniczonym pełnomocnictwem na przyszły sejm walny koronny, dokądkolwiek zostanie wezwany; ażeby ci, zasiadłszy na swych miejscach obok senatorów i posłów koronnych, jako jedno wspólne ciało i jako poddani jednego władcy i króla, obradowali i stanowili zarówno o obronie, jako też o wszystkich innych sprawach, dotyczących całego państwa.

I tym razem sejm mazowiecki nie skorzystał z nadarzającej się sposobności, ażeby przez ustępstwo w rzeczy głównej, ratować formalnie swoją powagę w zakresie ustawodawstwa miejscowego. Odmówiono bowiem żądaniu króla, a posłów wysłano doń dla tego, ażeby odmowę albo usprawiedliwić, alboważ nawiązać z nim rokowania co do odmiennego załatwienia sprawy. Wśród tego zbliżył się wresz-

cie rok 1529, który ostatecznie i na całą przyszłość rozstrzygnąć miał o stosunku Mazowsza do Korony. Sejm bowiem mazowiecki, odbyty w końcu 1528 r., uchwalił, że zarówno dostojnicy, jak i posłowie mazowieccy, mają wziąć udział w zapowiedzianym sejmie walnym. Uchwalała sama była więc abdykacją z dotychczasowego programu odrębności Mazowsza, i stała na tem samym stanowisku, jakie poprzednio zajął król. Przewodnicy polityczni Mazowsza ustąpili zatem ostatecznie, wobec programu koronnego. Kiedy się zebrał sejm walny w Warszawie, sami senatorowie i posłowie mazowieccy udali się do niego z prośbą, ażeby ich uchwały zatwierdził. Jakoż w 1529 r. wyszedł osobny dekret sejmu walnego, polecający Mazowszynom uiszczyć kontrybucyę na strawne poselskie, uchwaloną w grudniu poprzedniego roku. Tak więc sami przedstawiciele Mazowsza w sprawie miejscowej zrzekli się przysługującego im prawa i przenieśli je na sejm walny koronny.

Od roku więc 1529 sejm mazowiecki traci znaczenie władzy ustawodawczej dla Mazowsza, wykonywując co najwięcej tylko przygodnie ustawodawstwo w rzeczach prawa sądowego w granicach i rozmiarach ustawodawstwa wiecowego. Natomiast sejm walny wykonywał odtąd nieraz prawo w rzeczach mazowieckich i to w różnych sposobach i co do różnego rodzaju przedmiotów. Z dość samoistnych funkcji, jakie sejm mazowiecki spełniał w ostatniej dobie panowania książąt, została mu tedy ostatecznie jedna, tj. władza sądowa. Ale i w zakresie sądownictwa znaczenie sejmu warszawskiego uszczupliło się w najbliższych czasach po przyłączeniu Mazowsza do Polski. Tak więc do zniesienia sejmu mazowieckiego przyłożyli ostatecznie ręki Mazowszanie sami i co jeszcze bardziej uwagi godne, sam sejm mazowiecki. Jeszcze raz tylko na początku panowania Zygmunta Augusta, w r. 1548, zapisały księgi sądowe o odbyciu conventio generalis w Warszawie. W rzeczywistości nie był to sejm mazowiecki we właściwym tego słowa znaczeniu, ani nawet sejmik główny województwa Mazowieckiego. Było to jedynie zebranie urzędnicze, wykazujące co do składu swego najwięcej podobieństwa z wiecowemi. Za Zygmunta Augusta pojawia się na Mazowszu sejmik główny, czyli t. zw. generał mazowiecki, taki sam, jaki już zdawna istniał w Wielkopolsce i Małopolsce, i utrzymuje się odtąd za panowania następnych królów, aż do chwili, kiedy przestało istnieć owo pośrednie ogniwo parlamentaryzmu polskiego.

Więści o przeistoczeniu się sejmu mazowieckiego w generał warszawski nie przekazali nam ani dawniejsi historycy prawa państwowego polskiego, jak np. Lengnich, Skrzetuski, ani nowsi historycy prawa mazowieckiego. Pr. Balzer uczynił to z gruntownością ba-

dania i wytworną precyzją w przedstawieniu naukowego przedmiotu. Dzięki jego rozprawie, dotychczasowa luka w historii prawa państwowego polskiego została należycie wypełniona.

A. R.

Antoni Potocki (Jerzy Grot): „Martosia i my“, nowelle. Lwów, 1900. Nakładem Towarzystwa wydawniczego (str. 190).

Ze zbiorkiem nowel p. Potockiego w wytwornym tomiku, ładnym drukiem na dobrym papierze, spotykamy się po raz pierwszy; autor należy do „młodych“, ale słusznie ma prawo i do drugiego przymiotnika, którym się często zbyt hojnie szafuje, więc dodajmy: i „utalentowanych“ pisarzy w rzędzie belletrystyków i literatów, pracujących na dziennikarskim gruncie.

Co najglówniejsza, posiada swą indywidualność i wytwarza sobie swój rodzaj.

Maluje obrazki małe, niby gwasze drobnym pędzelkiem, w którym delikatność dotknięcia i przejrzystość barw, sposób nakładania subtelnych tonów, rysunek konturowy, ale wykończony drobiazgowo i starannie, stanowią większą wartość, aniżeli sam przedmiot, pomysł, koloryt.

Nowelle swoje osnuwa przeważnie na motywach psychologicznych i robi na nich szczegółowe studia; sprawia to wrażenie misternie wykonanych preparatów z kawałtka duszy lub serca ludzkiego, oglądanych przez szkło powiększające.

Może to nie każdemu czytelnikowi nowel p. Potockiego wystarczać, ale dla wybredniejszego smaku daje zadowolenie—zajmuje analizą uczuć i refleksyi, przeprowadzoną lekką, lecz wrażliwą ręką badacza i obserwatora.

Niekiedy ta subtelność bywa za subtelna, ten rysunek za cienki, barwy za przejrzyste, główny efekt prawie nieuchwytny dla oka, przyzwyczajonego do grubszych rysów i soczystszego kolorytu; jest to zapewne wadą w pojęciu czytającego tłumu, ale jest i zaletą w oczach znawców, lubujących się w takiej filigranowej technice,

która zresztą staje się koniecznością przy traktowaniu pewnych tematów i motywów.

Pośród ośmiu obrazków, pomieszczonych w zbiorze p. Potockiego, krańcowe właśnie miejsce pod tym względem zajmują trzy: „Wampir“, „Pożar“ i „Tłum“ (kartka z psychologii mas).

Pod krwiożerczym tytułem pierwszej kryje się błaża na pozór treść: młoda, uczciwa, niewinna dziewczyna otrzymuje od kochanego mężczyzny liścik, niby bardzo zwyczajny, ale napisany z wyrafinowaną podłością, bo wystawia tę świeżą, czystą, naiwną jeszcze duszę na pokuszenie najniebezpieczniejsze — pokuszenie zmysłów.

Odpowiada jej zaproszony na herbatę i niewinną rozmowę, że przyjść nie może, ale będzie tego wieczoru „sam jeden w domu“, będzie marzył o niej, będzie mu się zdawało, że jego ukochana, jedyna Zosia jest z nim; te ostatnie słowa podkreśla w liście.

I ten świstek papieru pada, jak liść na spokojną wodę, wzburza całą wewnętrzną istotę dziewczęcia, podsuwa po raz pierwszy myśli, od których płonie krew, piersi falują i podnoszą się szybko, gorączkowo rumieniec wybiega na policzki.

Ten liścik, niby niewinny, z uśmiechem obłudnego kusiciela, podszeptuje dziewczynie słowa: „przyjdź, będziemy sami, tylko we dwoje — czekam cię!..“ I to utajone pokuszenie przez domysł staje się właśnie zmorą, którą chytry łowiec wypuszcza niby tresowanego psa na upatrzoną zdobycz.

W „Pożarze“ autor maluje instynktowny lęk, jaki w dwóch duszach, matki i dziecka, budzi się na widok łuny i na odgłos zgłuszonych gwarów, dochodzących nocą z miasteczka, w którym zapaliła się bożnica. Tajemnicza groza niebezpieczeństwa, działająca na wyobraźnię, i to chwilowe naprężenie dwóch różnych umysłów, dojrzałej kobiety i niedorostka, potrafił autor oddać w nastrojowym obrazku w sposób bardzo misterny.

Tak samo w „Tłumie“, który instynktownie, bezwiednie niemal, ratuje od pożogi nową chałupę żyda, pomimo żywionej ku niemu niechęci, a czyni to nie z litości, ale z jakiegoś owczego pędu, idąc za głosem, który się przypadkowo odezwał; jest to jeden z rysów psychologicznych, bardzo dobrze podpatrzony z natury.

Do obszerniejszych w zbiorze należą cztery nowelle: „Martosia i my“, „W rozsypkę“, „Berta“, „Dzień powszedni“; druga z nich mniej udatna, bo za rozwlekła, rozsypana w drobne szczególiki i kreski, jakimi autor stara się scharakteryzować sposób myślenia i życie małego gronka panien, dążących usilnie do „wiedzy“, do nauki i wybicia się na stanowiska społeczne, a rozproszonych na tej drodze przez

przeciwności losu. Temat nie nowy, za dużo jak na nowellę, za mało wyczerpany, jak na studium psychologiczne.

„Bertę“ znają czytelnicy „Biblioteki“, która ją drukowała w roku zeszłym. Jeżeli w tem miejscu wypada krytykowi mówić o niej, to ośmieli się wyznać, że staje po stronie tych czytelników, którym się podobała z pomysłu i sytuacji głównego bohatera, pokutującego za drobne przewinienie, którego nawet przypomnieć sobie nie może. I pomysł oryginalny, i sytuacja dowcipnie pochwyciona. Możeby tylko lepiej było dla samej faktury, gdyby autor wyszedł był nieco z roli sumienego referenta wypadków i procesu duchowego, jaki się rozgrywa w Snarskim, pozwolił mu samemu więcej mówić i poruszać się, a trochę mniej sam opowiadał o nim.

Czytelnikowi nie tak dobrze nie odsłania indywidualności bohatera, nie wypukła tak jego figury, jak oderwanie go od tła i pokazanie samego w sobie, z wszystkimi właściwościami w działaniu, w mowie, w ruchu, w dyalogu.

O wiele lepiej pod tym względem wyszła „Martosia i my“, pomieszczona słusznie na czele całego zbioru.

Jest to jedna z nowel, które najdodatniej talent pana Potockiego przedstawiają, zarówno pod względem pomysłowości, jak i zalet pisarskich.

W obrazku tym wyprowadza autor nader zręcznie kilka typów młodzieży, spędzających wakacje na odludziu, w jakimś leśnym futrze, pozostawionych wyłącznie pod wpływem natury i prostego otoczenia. Grono miejskich paniczów używa letnich wczasów i świeżą, orzeźwiającą atmosferą wsi wypełnia młode piersi, nie chcąc nawet polować na „słonki“ (nie „słomki“, jak się autor wyraża), w postaci wiejskich dziewczuch, które im leśnik zbyt usłużnie podsuwa. Do usługi przyjmują urodziwą Martosię, która się im najprzystwoitszą wydaje i którą za sielską niewinność uważają. W tem przekonaniu, spędzają wraz z Martosią kilka tygodni, zamienionych w istną idyllę: instynkta młodości usypiają w nich do czasu, w którym rozpoetyzowani na łonie natury robią bardzo prozaiczne odkrycie, że Martosia miała już... kochanka. Czar ułudy pryska nagle; wyidealizowana dziewczoja wiejska staje się dla nich w jednej chwili pospolitą pokusą, której dotąd nie dawali nawet przystępu do siebie. Następuje rozwiązanie bardzo realistyczne, ale prawdziwe, w samym zakończeniu wakacji otrzeźwionych paniczów. O ile trudno im było przedtem myśleć o rozstaniu z Martosią, o tyle zadowoleni są z tego, że mogą się jej pozbyć. „Baba z wozu, koniom lżej.“ To wmieszanie filozoficznego tonu do idealistycznej harmonii stanowi wprawdzie rozdźwięk w ostatnim akordzie, ale sprawia i modny w dzisiejszej muzyce efekt

zgrzytu i dyssonansu; nie na tem jednak zależało autorowi, tylko na uwydatnieniu psychologicznego przestroju, jaki się nagle odbywa w młodych, wrażliwych naturach jego bohaterów.

I to udało mu się wybornie, pomimo drażliwości tematu.

W „Dniu powszednim“ dał nam p. Potocki może najlepiej zanalizowany typ męża-samoluba w stosunku do zakochanej żony—ofiary. Odwzorował nam, prawie żywcem z natury, usposobienie, myśli, uczucia, rozumowania i popędy powszedniego człowieka w powszednim dniu szarego życia. Ten niezadowolony, drażliwy, drobiazgami bytu skrępowany pan nauczyciel, przykry i kostyczny w całodziennem pożyciu z żoną, a pod noc ulegający naturalnym wpływom młodej i pojętnej kobiety, ten dualizm psychiczno - zmysłowy w mężu-egoiście udało się autorowi nakreślić z niepospolitą prawdą i subtelną obserwacją.

Nowella pisana jest w formie ciągłego monologu, jakgdyby jakiś fonograf oddawał myśli, odzywające się w głowie bohatera; wytwarza to pewną sprzeczność z akcją, bo czytelnikowi trudno się połapać, czy bohater opowiada, czy spisuje swoje wrażenia całodziennego w trybie teraźniejszym, zanim pozna, że patrzy właściwie w otwartą głowę ludzką i śledzi tylko proces cudzego myślenia.

„Lekcja z Pawlukiem“ jest jakby smutna satyra domowego wychowania dziecka przez ojca o grubej i pospolitej naturze—smutna przez swoją realistyczną prawdę.

O sposobie pisania p. Potockiego dodać należy, że jest on prosty, ścisły, przedmiotowy; autor unika jednego wyrazu zbytznego, jednego frazesu, nawet na korzyść stylu, jakby się obawiał dodać cokolwiek od siebie i wyjść z roli analityka cudzych dusz.

Pierwszy tomik jego nowel budzi zajęcie do następnych, których nam w przyszłości twórczość i talent p. Potockiego dostarczyć powinny.

M. GAWALEWICZ.

Kronika miesięczna.

Dnia 27 czerwca roku bieżącego ukonstytuowało się „Warszawskie Towarzystwo pomocy lekarskiej i opieki nad umysłowo i nerwowo chorymi“.

Powołanie do bytu nowej instytucji rzuca bardzo dodatnie światło na pracę i usiłowania jednostek, które sprawie tej dały początek i umiały zgrupować dokoła siebie liczniejszy zastęp ludzi dobrej woli. Dzięki im, godne pożałowania i rozpaczliwe nieraz położenie dotychczasowe chorych umysłowo i nerwowo uledez powinno stopniowej zmianie.

O wartości społecznej takiej instytucji, o konieczności opieki nad tego rodzaju chorymi i o profilaktyce społecznej w tym kierunku pisaliśmy w swoim czasie, obecnie więc poprzestajemy na przytoczeniu w zarysie ustawy Towarzystwa, która już uzyskała sankcję władzy i stała się obowiązującą.

I tak: cel Towarzystwa stanowi zapewnienie bezpłatnej pomocy lekarskiej ubogim chorym umysłowo i nerwowo, którzy, dla różnych przyczyn, nie znaleźli pomieszczenia w zakładach odpowiednich.

Ażeby cel ten osiągnąć, należy: a) rozciągnąć opiekę i dozór nad chronicznie chorymi umysłowo i nerwowo, pozbawionymi możności zarobkowania skutkiem niemocy duchowej, lub fizycznej; b) udzielać wsparcia i pomocy osobom, wypisanym ze szpitali, choć niewyleczonym zupełnie i niezdolnym jeszcze do pracy samodzielnej; c) spieszyć z pomocą materyalną tym ubogim rodzinom, wśród których znajdują się chorzy umysłowo, lub nerwowo; d) przyuczać służbę do pielęgnowania tego rodzaju chorych i w razie potrzeby służbę taką posyłać do domów; e) dopomagać przy umieszczaniu chorych w specjalnych zakładach leczniczych; f) wyszukiwać rodziny, wśród których można-by umieszczać chorych umysłowo (patronage familial).

Zadania powyższe, jak widzimy, obejmują bardzo szeroki zakres działania, które się oprzeć musi na całym szeregu instytucji pomocniczych. Będą niemi ambulatorya bezpłatne, przytulki, ogrody, kolonie, warsztaty, szwalnie i t. d., pozostające pod dozorem lekarzy specjalistów. Wszystko to musi z czasem doprowadzić instytucję do wzniesienia własnymi środkami wzorowego zakładu leczniczego, który rozwiąże kwestyę braku miejsca w szpitalach, dającego się dzisiaj bardzo odczuwać chorym ubogim. Oczywiście, nastąpić to może dopiero po rozwoju odpowiednim i zdobyciu trwałych podstaw materyalnych. Na razie podstaw tych braknie, Towarzystwo bowiem nie rozporządza potrzebnym na to kapitałem, a fundusze jego powstać dopiero mają:

- 1) Z opłat od członków.
- 2) Z dochodów od kapitałów i majątków.
- 3) Z ofiar ze strony członków Towarzystwa i osób postronnych, oraz instytucji, zarówno w gotowiznie, jako też w przedmiotach i zapisach testamentowych.
- 4) Z dochodów z przedstawień dramatycznych, wieczorków literackich, odczytów, koncertów, specjalnie na ten cel urządzanych.
- 5) Ze składek publicznych i ofiar z puszek.

Członkowie Towarzystwa dzielić się będą na honorowych, rzeczywistych i wspierających. Honorowymi będą ci, którzy znacznie-sze czynią ofiary na korzyść Towarzystwa, lub którzy oddadzą mu inne usługi. Członkowie rzeczywisci opłacać będą nie mniej, jak 5 rubli rocznie, lub wносить jednorazowo rubli 100, Wspierający płacić mają mniej, niż 5 rubli, ale nie mniej, jak 1 rubla rocznie. Ta ostatnia ka-

tegoria pozbawiona jest prawa głosu na zgromadzeniach ogólnych, i nie może być wybierana do zarządu.

Zarząd składać będzie 12 osób, wybieranych przez zebranie ogólne z pośród członków T-wa na przeciąg lat trzech. Na 12 członków zarządu musi być przynajmniej 6 lekarzy.

Pomijamy dalsze szczegóły zawarte w ustawie, jako natury wewnętrznej, natomiast zwracamy uwagę na chrześcijański obowiązek wspierania Towarzystwa przez wszystkich, kogo stać na to. A stać bardzo wielu—stać całą naszą inteligencję. Niewątpliwie — znajdują się w kraju ludzie zamożni i ofiarni, którzy jednostkowymi siłami początkującą instytucję dźwigną, ale do dalszego rozwoju potrzebne jest poparcie ogółu. Z 1, 2, 3, 4 i 5 rb. składek może się utworzyć rocznie wcale pokaźna kwota, jeżeli tylko wszyscy staną do apelu, zrywając z tradycyjną opieszałością i lenistwem.

Nowo założone Towarzystwo posiada tak wielkie znaczenie społeczne, że energia obywatelska tych, którzy u nas tak często narzekają na brak ujścia dla niej, powinna w niem znaleźć szerokie pole do działania, zwłaszcza, że chwila powstania Towarzystwa przypada na czas, w którym zaczęto domagać się powszechnie opieki nad chorymi umysłowo i nerwowo i żądać izolowania ich, jako elementów nieświadomie, a bardzo nieraz szkodliwych interesom społecznym.

Niechże więc ogół stwierdzi teraz, że będzie umiał podtrzymać i prowadzić instytucję, której pragnął.

„Parę uwag o młodzieży uniwersyteckiej“, ogłoszonych w odcinkach „Gazety Polskiej“ narobiły ostatnimi czasy wiele wrzawy.

Byliśmy przekonani, że mamy młodzież nie najgorszą, autor zaś artykułu powyższego starał się rozwiać nasze w tym względzie złudzenie i udowodnić, że młodzież ta w trzech czwartych nie jest warta.

Nie przeczymy, że uwagi jego są trafne i prawdziwe, ale czy nie zawiele w nich pesymizmu, nie za wiele gorczy i czy zajęte wobec młodzieży stanowisko zawsze jest słuszne?

Młodzież nasza uniwersytecka nie uczy się, młodzież nasza nie zastanawia się nad wyborem powołania, wskutek czego uniwersytet

wypełnia się ludźmi, którzy nie czują żadnego pociągu do obranych studyów, młodzież nasza za dużo gra w karty i za wesoło żyje—oto są główne tezy felietonisty „Gazety Polskiej“, który subiektywne spostrzeżenia swoje zebrał bardzo sumiennie i drogą syntezy doszedł do pewnych wniosków, ale ani ich obiektywnie nie pogłębił, ani nie uzasadnił dostatecznie.

Nie myślimy bynajmniej brać w obronę nieuctwa, ani zajmować stanowiska apologetów karciarstwa, radzi-byśmy tylko zastanowić się nad tem, ile w zarzutach, skierowanych przeciwko młodzieży, jest winy jej samej, a które z przyczyn tych smutnych zjawisk, obniżających jej wartość, tkwią gdzieindziej.

Zdaje nam się, że najważniejsza przyczyna złego leży w ogólnej otaczającej nas atmosferze. Społeczeństwo nasze—specyalnie mamy tu na myśli społeczeństwo warszawskie, jako wielko-miejskie—przekształciło się w ostatnich dziesiątkach lat w przemysłowo-handlowe, episyerskie, dążące do dobrobytu i nowoczesnego używania życia. Praca umysłowa nie znajduje w niem takiego uznania, na jakie zasługuje. Niejeden syn rodziny mieszczańskiej od dziecka uczy się rozumieć, że pieniądz i stosunki otworzą mu świat, a choćby zdobył nie wiem jaką wiedzę—jeżeli tych dwóch środków nie będzie posiadał—zawsze pozostanie na szarym końcu przy stole biesiadnym. Ci więc, którzy wchodzą następnie do uniwersytetu z majątkiem i stosunkami, o naukę już nie dbają, zadawalając się dyletanckim jej traktowaniem lub przyjmowaniem homeopatycznym, w dozach takich, jakie są niezbędne do osiągnięcia dyplomu, który w karyerze zawsze pewną rolę odgrywa. Czy można się temu dziwić? Bynajmniej. Jest to konsekwentne zastosowanie w życiu zasad, przejętych od otoczenia.

Nie można się także dziwić temu, że część młodzieży od najwcześniejszych lat marzy o karyerze, bo albo wychowuje się w atmosferze karyery, którą zrobili ojcowie, albo w atmosferze przygnębienia i niezadowolonia tych, którzy karyery takiej nie zrobili z rozmaitych powodów, bądź przez nieudolność własną, bądź przez zwykłe powinęcie się nogi.

Nie zapominajmy, że wśród studentów uniwersytetu mamy także przedstawicieli warstw niższych, synów rodziców biednych, rodziców, którzy żądają od syna nie nauki, nie pisania znakomitych rozpraw i mozolnego gromadzenia materiału do wiekopomnego dzieła — ale chleba, tego powszedniego chleba, którego im przez całe życie brakowało, lub który odejmowali sobie od ust, aby synowi otworzyć drogę do stanowisk, zapewniających jemu dobrobyt, a im spokojną starość..

To wszystko w oczach znacznej części młodzieży spycha naukę na plany dalsze, a poważniej zapatrują się na nią jedynie ci, którzy bądź należą do rodzin, posiadających tradycję życia umysłowego i żyjących w atmosferze naukowej, bądź w gimnazyum jeszcze podlegają wpływowi dodatnim, bądź dzięki przyrodzonym skłonnościom i upodobaniom swoim wcześniej nabierają zamiłowania do pracy cichej, samodzielnie i głębiej myślą, krytycznie zastanawiają się nad życiem i przemijającą wartością jego uciech. Ci naturalnym rzeczą porządkiem są w mniejszości.

Możemy przeto stwierdzić bez zastrzeżeń, że typ ujemny studenta dzisiejszego — wytwarza przede wszystkim to środowisko, z którego on wychodzi, środowisko, które nie posiada żadnych prawie ideałów, i zna tylko wartość użytkową nauki. Jabłka nie daleko padają od jabłoni, a że jabłoni bywa dziś taka — na to złożyły się wielorakie przyczyny, pokoleniami wstecz sięgające i prądem czasu przyniesione.

Drugim ważnym czynnikiem, wpływającym na niechęć młodzieży do nauki, jest jej chleractwo fizyczne. Wiadomą jest rzeczą, że tęgość ducha idzie zazwyczaj w parze z normalnym rozwojem sił fizycznych, ze zdrowiem ciała. Życie duchowe, wszechstronne i ekstensywne jest tak ściśle związane z życiem fizycznym, że od jednostki słabej, chorowitej i wątłej nie można nawet wymagać, ani ukochań wielkich, ani pracy natężonej. Jednostki takie żyją połowicznie i ciałem, i umysłem.

Niezdrowie fizyczne wytwarza w nich wcześniej gryzący ferment psychiczny, który z biegiem lat, nieraz w okresie najbujniejszej młodości, wyradza zniechęcenie, apatyę, pesymizm — i najczęściej spotykane zjawisko — zupełny brak woli.

Ten brak woli jest prawie powszechną chorobą wśród młodzieży uniwersyteckiej — i z okresu własnych naszych studyów pamiętamy wiele jego przykładów. Znaliśmy studentów, którym poprostu brakło energii do zabrania się do nauki, którzy nie umieli woli natężyć i postanowić cokolwiek, mimo, że potrzebę pracy rozumieli. Rodzący się stąd niepokój sumienia i rozterkę wewnętrzną zagłuszali, rzucając się w gwar życia i tonąc w jego nieraz bardzo mętnej fali.

Wychowanie fizyczne, którego młodzież nasza prawie wcale nie odbiera, wychowanie racjonalne i prowadzone od najwcześniejszych lat aż do okresu zupełnej dojrzałości męskiej — z pewnością odbiło-by się bardzo dodatnio na umysłowym życiu młodzieńców, zasiadających na ławach uniwersyteckich, a przede wszystkim uczyniło-by ich mniej

obojętnymi na drogi, któremi pójdą, podczas kiedy dzisiaj kierują się impulsem, nadawanym z zewnątrz, albo idą owczym pędem tam, gdzie vox populi wskazuje żłób najpełniejszy—ot, aby życie przeżyć i niedostatku nie zaznać. Pamiętamy wszyscy „przeludnienie“ na wydziale lekarskim w uniwersytecie warszawskim, kiedy na I kursie bywało 250 do 300 studentów, i raptowny zwrot w r. 1894, kiedy cała fala nowo-wstępujących studentów skierowała się ku wydziałowi prawnemu.

Z fizyczną słabością i niedomaganiem młodzieży wiąże się sprawa wykształcenia średniego i organizacyi naszych gimnazyów. Przeciężenie szkolne i brak jakichkolwiek zasad higieny w nauczaniu—to najwięksi wrogowie fizycznego rozwoju dzieci. Więc nie dziw, że z chwilą, kiedy młodzieniec zrzuca mundur gimnazyalny, oddycha całą szerokością wątlých płuc swoich i odpoczywa. Próźnowanie młodych studentów jest tak naturalnem zjawiskiem, jak wypoczynek po przebyciu długiej a mozolnej drogi. Dopomina się tego sama natura i usiłuje odrobić to, co właściwie należało do umiejętności stosowanej przez cały lat szereg higieny. Brak charakteru jednak i u ludzi ze słabem zdrowiem, często spotykane lenistwo lub ociężałość—wypoczynek ten łatwo zbytńio mogą przedłużyć. Z takim jednak stanem rzeczy musimy się godzić, bo trwać on będzie dopóty, dopóki gimnazyja będą wypuszczały abiturjentów zmęczonych, zdenerwowanych i nieprzygotowanych do nauki uniwersyteckiej.

Na nieprzygotowanie to kładziemy specjalny nacisk, uważamy je bowiem także za jedną z poważnych przyczyn, dla której młodzieź na uniwersytecie nie uczy się.

Ażeby się uczyć z korzyścią, trzeba się umieć uczyć. Wiedza jest krynicą, ale, ażeby z niej pić, trzeba czerpać. Do czerpania takiego powinna przygotować młodzieńca szkoła średnia, powinna mu dać metodę uczenia się. Tej metody młodzieź nasza nie posiada wcale—i o nią, jak lód o izbice—rozbijają się nieraz chęci najlepsze i najpłomienniejsze zamiary. Profesor, wykładający dany przedmiot, nie zadaje lekcyi „stąd dotąd“, a z drugiej strony nie może nigdy przedmiotu należyście pogłębić—właściwie wskazuje tylko zakres jego, oświetla pewne momenty ważniejsze. Reszta należy do studenta i tę resztę znajdzie on łatwo, jeżeli szukać umie i chce. Że jednak przy szukaniu tem, nie rozporządzając żadną metodą, ani wiedząc, co to jest badanie naukowe—natrafia na wstępie zaraz na liczne przeszkody, więc łatwo się zniechęca i poprzestaje—risum teneatis—na lito-grafowanym kursie, który jest streszczeniem, często fałszywem—słów profesora.

Te kursy litografowane stały się plagą młodzieży uniwersyteckiej, która nie zdaje egzaminów, ani z prawa rzymskiego, jako z przedmiotu, ani z prawa karnego lub cywilnego, ale z kursu prawa rzymskiego, z kursu prawa karnego i t. d. Jeżeli więc profesor w ciągu roku wykłady przerywa i kurs jego obejmuje tylko połowę objętego programem zakresu—to tylko ta połowa obowiązuje do egzaminu.

Nie rozwodzimy się nad tem, bo są to fakty znane. Nie poruszamy także kwestyi reformy studyów uniwersyteckich i zaprowadzenia tak zwanych seminaryów przy katedrach przedmiotów głównych, nad projektem tym bowiem pracuje obecnie ministeryum oświaty.

Przechodzimy natomiast do wniosków ogólnych.

Te trzy przyczyny: środowisko współczesne, szkoła średnia i nieumiejętność uczenia się, tłómaczą nam dostatecznie ujemną wartość studenta. Jest on takim, jakim jest i fenomenalnie tylko może być innym. A że fenomenów takich nie brak -- to już, doprawdy, nasze szczęście poprostu. Nawet pesymistycznie nastrojony autor artykułu w „Gazecie Polskiej“ przyznaje, że są wśród studentów tacy, którzy posiadają zapas energii, zapału, dobrych chęci, pragnienia czynu. Są to już niewątpliwie jednostki silne indywidualnie, które na wszystkie z powyższych przyczyn zdolne były reagować od młodu. Felietonista uderza też pod koniec w dzwon nadziei.

Zaznacza on, że w młodzieży jest pragnienie reformy jej życia wewnętrznego, poczucie niedoskonałości tych stosunków, jakie obecnie wśród niej panują, niezadowolenie z siebie, gotowość wstąpienia na drogę, na której znalazła-by zaspokojenie silnej potrzeby duchowej — doskonalenia się. Zanim się jednak zjawi wśród niej jaki Savonarola i odpędzi grających od zielonego stolika, zanim młodzież zacznie się reformować sama i żywiej garnąć do nauki—musimy stwierdzić, że winy jej spadają w znacznej części na to pokolenie, którego pnia chylącego się jest ona zieloną gałęzią.

Ojcowie dali synom życie, dali im wykształcenie, ale nie wychowali ich fizycznie, nie wszczepili w duszę żadnego ideału moralnego. Społeczeństwo pragnie z nich mieć pracowników dla siebie—ale nie umie ich przygotować. Młodzież niewątpliwie to czuje, a skoro krytycznie i głęboko wejrzy w siebie, wtedy spostrzeże, że przyczyny złego nie tylko w niej samej tkwią.

Ks. Jan Tadeusz Lubomirski, Edmund Stawiski, Stanisław Przysański i J. K. Plebański, stanowili komitet redakcyjny „Encyklopedyi wychowawczej“; której cztery tomy wyszły w okresie od 1888—1894, poczem wydawnictwo, acz ze wszechmiar pożyteczne i cieszące się uznaniem, zostało przerwaniem.

Obecnie zacznie ona wychodzić na nowo w zeszytach miesięcznych, poczynając od 15 października r. b., jako ciąg dalszy istniejących już tomów czterech.

Kierownictwo „Encyklopedyi“, która w całości obejmie 15 tomów, a więc ma długą jeszcze drogę przed sobą, powierzono Romanowi Plenkiewiczowi, nowy zaś komitet redakcyjny składają pp., Wł. Andrychiewicz, Bronisław Chlebowski, Piotr Chmielowski, Samuel Dickstein, ks. Jan Gralewski, St. Karpowicz, Kazimierz Król, Jan Nitowski i Henryk Struve.

O konieczności doprowadzenia takiego dzieła do końca—czytamy w odezwie nowej redakcyi—było-by mówić zbytecznie. Wobec trudnych warunków ekonomicznych i potrzeby zdobycia coraz szerszej wiedzy we wstępnych jej kierunkach i zastosowaniach w życiu; wobec obowiązku doskonalenia etycznego naszej młodzieży i skierowania jej ku wysokim ideałom moralnym; wreszcie wobec braku należytego pojmowania środków, do tego celu wiodących, nieodzowne jest: oprzeć wychowanie młodych pokoleń na zasadach uznanych przez doświadczenie wiekowe i naukę, z uwzględnieniem najnowszych jej wyników i rzeczywistego postępu.

A skoro od umiejętnego stosowania tych zasad zależy prawidłowy rozwój sił fizycznych i duchowych kształcącej się młodzieży, jej szczęście lub niedola w przyszłości, wyższy stopień udoskonalenia lub zwicnięcie jej pod względem umysłowym lub moralnym, ulegać wątpliwości nie może, iż gruntowna znajomość pedagogiki jest najważniejszym zadaniem dla wszystkich kierowników tak w domowym, jak publicznem wychowaniu.

Temi względami powodowani założyciele Encyklopedyi zamierzeli w niej objąć i udostępnić całość wiedzy pedagogicznej, zarówno w teoryi, jak w jej historycznym rozwoju—dla najszerszych kół wychowawczych. Obecnie redakcyja, kierując się temi samymi pobudkami i podejmując przerwany wątek pracy pierwszych założycieli, pragnie dzieło to z pomocą szerokiego koła współpracowników w tym samym duchu doprowadzić do końca.

Ogół nasz intelligentny, niewątpliwie, sił doloży, aby to wydawnictwo poprzeć materyalnie i dopomóżyć do zapelnienia dotkliwej luki w naszym ubogim piśmiennictwie pedagogicznem. Od dostatecznej liczby prenumeratorów zależy bowiem spokojne i nieprzerwane kłopotami o zdobycie pieniędzy prowadzenie „Encyklopedyi“ i pomyślnie jej ukończenie.

W domu pod № 11 przy ulicy Wierzbowej, gdzie przedtem mieścił się kantor H. Wawelberga, otwartą została galerya muzeum sztuk pięknych, założona z pozostałych po byłej warszawskiej szkole sztuk pięknych zbiorów niemałej wartości, a dziwnym zbiegiem okoliczności tulających się od lat wielu po rozmaitych schronieniach i zakamarkach. Paki, w których zbiory te spoczywały—nareszcie rozbito.

Sztuka, więziona w nich długo i bez celu — wydobyła się na światło dzienne i wywołała powszechne zdziwienie. Ci, co nie pamiętali zbiorów z lat dawnych, nie ufali im, sądzili, że są to rzeczy o wartości daleko niższej od tej, jaką im dawała tradycya, bo poprostu tradycją stało się u nas posiadanie owych zbiorów, tak były już one obce dla nas przez swoją niedostępność. Tymczasem, lubo nie wszystkie wystawione dzieła należą do rzędu pomnikowych, to jednak galerya wywołuje na ogół wrażenie dodatnie i posiada niezaprzeczenie, jak na nasze stosunki, wcale znaczną ilość cennych i pięknych utworów.

Wystawa muzealna zajmuje siedem sal, rozmaitej wielkości, z których 5 poświęcono artystom obcym, 2 zaś—polskim. We wszystkich salach wystawiono 243 dzieła sztuki, czyli, że nie znalazło tam miejsca dla siebie jeszcze z górą 50, ogólna bowiem liczba ich przenosi 300 wedle dawnego spisu.

Nie do nas należy ocena wystawy pod względem artystycznym, pragniemy tylko zwrócić uwagę na jej wartość historyczną, jest bowiem pewna ciągłość i systematyczność w tych odzyskanych dla publiczności szerszej zbiorach muzealnych.

I tak w salach polskich przedewszystkiem zwracają na siebie uwagę dwa obrazy Szymona Czechowicza (1689—1775), wielce słynnego niegdyś malarza historyczno-religijnego. Są to: „Męczeństwo św. Floryana“ i „Męczeństwo św. Jana Nepomucena“.

Drugim z kolei jest Franciszek Smuglewicz (1745—1807), znany portrecista a obok tego malarz historyczny, alegoryczny, rodzajowy i religijny. Na wystawie znajdują się dwie jego prace: Portret Jana Stefana Giedroycia, hiskupa żmudzkiego, i „Aleksander Wielki zwyciężający Daryusza.“

Z prac, pozostałych po Aleksandrze Orłowskim (1777—1832), mistrzu akwarelli i gwaszu, słynnym z rysunków swoich kredką, piórkami, ołówkiem i tuszem, zwracają uwagę dwie prace, przedstawiające biwaki kozaków.

Wśród malarzy z końca XVIII i początków XIX wieku spotykamy nazwiska: Macieja Topolskiego, Marcelego Bacciarellego, Jana Lampiego (ojca i syna), Jana Kupecky'ego, Jana Damela, Ant. Brodowskiego i Kazimierza Wojniakowskiego—wszystkich dobrze zasłużonych sztuce polskiej.

W salach poświęconych sztuce obcej uderzają przede wszystkim w oczy: Van Eyck, Kranach, Rubens i Rembrandt.

Van Eyck, który pierwszy w szkole hollenderskiej zaczął malować olejno, podpisany jest pod obrazem „Jeden z trzech królów, przynoszących dary Jezusowi Chrystusowi“.

„Starzec z młodą dziewczyną“ i „Estera błagającą Aswerusa o litość dla jej narodu“ są pędzla Kranacha.

Do Rubensa należą trzy płótna: „Wieńczenie zwycięzcy“, „Apotheoza arcyksięcia austriackiego Ferdynanda“ i „Św. Hieronim“.

Rembrandta, wogóle najrzadszego z wielkich mistrzów, posiada galerja muzealna jedno tylko dzieło „Portret kobiety“.

Dalej idą nazwiska: Tadeusza i Anioła Gaddego, Dawida Teniersa, Jakóba Tintoretta, Gwidona Reniego, Jakóba Bassana, Andrzeja del Sarto, Salvatora Rosy, Gaspara Poussina, Jana Franciszka Romanellego, Łukasza Giordana, Jana Casanowy, Józefa Verneta, Jana Antoniego Watteau itd.

Pobieżny ten przegląd znanych powszechnie w dziejach sztuki imion—chlubę prawdziwą przynosi zbiorom muzealnym i budzi w nas szczere uznanie dla pp. Karnickiego i szambelana Lachnickiego, którzy doborem dzieł, dokonanych umiejętnie i ze znanstwem prawdziwym, złożyli dowód pracowitej opieki i troskliwości o powierzone im dobro ogólne. Oddając je dzisiaj na użytek publiczny, znajdują oni niewątpliwie godnych kontynuatorów, którzy, uważając dotychczasowe zbiory za podwalinę—uczynią z nich w następstwie poważną galerję z należytem uwzględnieniem sztuki polskiej, galerję, jakiej brak tak dotkliwie uczuwa się w Warszawie.

Dziwne przebywają u nas czasem koleje spuścizny po ludziach zasłużonych. To, co powinno się stać własnością ogółu, przez opieszałość jednostek kryje się gdzieś w cieniu i czasem po upływie całych lat dziesiątków wychodzi dopiero na światło dzienne.

Oto świeżo przypomniał nam w „Głosie“ p. Waclaw Kloss sprawę pozostałego po ś. p. d-rze Matlakowskim rękopisu pracy p. t. „Zdobnictwo na Podhalu.“

Rękopism ten, jak się dowiadujemy, przed trzema laty przedstawiony został kasie im. Mianowskiego, która przyznała wydawnictwu odpowiednią subwencyę, wymieniając już w sprawozdaniu swoim za r. 1898 książkę „Zdobnictwo na Podhalu“, jako znajdującą się pod prasą. Książka tymczasem dotychczas nie wyszła.

Nie naszą jest rzeczą rozstrzygać, kto w tem zawinił—stwierdzamy tylko, że ogółowi dzieje się przez to krzywda, i nie tylko jemu, ale i pamięci człowieka przedwcześnie zgasłego z niepowetowaną szkodą dla literatury i nauki, człowieka, obdarzonego niepospolitym umysłem i sercem miłującym gorąco wszystko, co swojskie. Pozostała nam wprawdzie po nim kapitalna i Zygmuntowską niemal polszczyzną pisana rozprawa, poprzedzająca znakomity przekład polski „Hamleta“, pozostało kilkanaście stronic dziennika, kreślonego drętwiącą już ręką, ale chcieli-byśmy do tej, w myśli niecodziennie bogatej spuścizny, dołączyć corychlej i ostatnia pracę Matlakowskiego, gorączkowo i pod grozą zbliżającej się śmierci wykończoną.

Jest tragizm niemały w tem, co pisze sam o ostatniem dziele swoim, umierający na łonie pięknej natury, a obdarzony tak niepospolitą zdolnością odczuwania piękna, lekarz-poeta.

„Ja nie młody, z rękoma zgrubiałemi, chory lub słaby, odwykły, z biciem serca, musiałem nauczyć się rysunku piórkowego. Zasiałem do roboty d. 27/I r. 92 i ślęcząc po 4—6 godzin na dzień, jedząc lub pijąc obiad lub podwieczorek na rajsbrece, obłożony gratami, odpędzając gości i znajomych, przejęty jedną ideą, palony gorączką: aby prędzej, żarty wątpliwością: czy dokończysz... pracowałem tak 4 miesiące, i zrobiłem dwadzieścia kilka tablic, z cyrklem w ręce, zmniejszając ze ścisłością geometryczną. Dn. 11/XII r. 93 przyszedł straszny krwotok, a potem co dwa tygodnie 4 potężne krwotoki—zostałem bez duszy. I umierając patrzałem na te dwadzieścia kilka tablic i—na nic! na marnie! bez tekstu! Po drugim krwotoku, na łóżku, ołówkiem, siedząc, zacząłem pisać co najpilniejsze. Robota, jak w halu-

cynacyi, rosła codzien, choć przeznaczyłem sobie napisać na dzień tylko pół arkusza. I tak pisząc z duszą na ramieniu, z upiorem krwotoku w gardle, ze zdrewniałymi mięśniami krzyża, oslepiły codzien ku wieczorowi — skończyłem rękopis nadspodziewanie na św. Maciej! Ale co z rysunkami, z resztą? Skrycie przed żoną rysowałem zrazu ze strachu po niewiele, potem po godzinie, po dwie.“

I tyle lat już upłynęło od ukończenia tej pracy, tyle od śmierci nieodżałowanego jej autora, a dla nas „Zdobnictwo na Podhalu“ jest jeszcze rzeczą obcą.

Chyba słowa listu powyższego, ogłoszonego przez p. Radzikowskiego, w broszurze „Styl zakopiański“, doszły i do tych, weczyli ręką losy wydawnictwa spoczęły — a silniej one przemówią od wszelkich nawolywań.

Oczekujemy więc książki, ufni, że nie napróżno.

Znamiennym faktem dla naszego życia umysłowego doby ostatniej jest zwrot wyraźny ku filozofii.

Okres pozytywizmu przeszedł nad nami burzą, złamał poezję, ale w nauce polskiej nie pozostawił śladów wybitniejszych. Kilkanaście rozpraw polemicznych, wiele wrzawy w artykułach publicystycznych, dużo ognia i zapału młodzieńczego, zużytego powoli w walce i poskromionego doświadczeniem życiowym — oto cały dorobek pozytywizmu.

Po pracy, rozpoczętej dzisiaj, spodziewać się należy owoców o wiele pozytywniejszych. Za młodym jest jeszcze ruch obecny, aby już o nim wyrokować można. Dotychczas dał on nam „Przegląd filozoficzny“, który, dzięki usiłowaniom swego kierownika, umiał już zdobyć sobie dobre imię i poważanie — i przynosił kilka nowych książek, oryginalnie po polsku i przez polskich uczonych pisanych.

Wśród nich poczesne zajmie miejsce „Historya filozofii w Polsce“ w opracowaniu prof. Henryka Struvego, zasłużonego zresztą od dawna pisarza i przewodnika na polu tej nauki.

Świeżo wyszedł z druku pierwszy zeszyt tego wydawnictwa, zakrojonego szeroko i zapowiadającego dzieło jedyne w swoim rodzaju, w którym autor, na tle ogólnego rozwoju życia umysłowego, zamie-

rza uwypuklić charakter narodowy filozofii polskiej i przedstawić jej dzieje od chwili pierwszych zawiązków filozofii w Polsce, a więc od czasu powstania akademii Krakowskiej, aż po dzień dzisiejszy.

Dzieło to po ukończeniu poddane będzie w piśmie naszym wyczerpującej ocenie. Na razie ograniczymy się więc podaniem do wiadomości faktu, który szczerą radość obudzić winien w kołach, interesujących się naszym dorobkiem naukowym. „Historia filozofii w Polsce“ jest książką długo u nas oczekiwaną, jest pracą zarazem, która ogromem swoim przytłaczała, wymaga bowiem niezwyklej erudycyi i głębokiej znajomości przedmiotu. Dla tego nie było niktogo, kto-by się na dzieło takie pokusił. Prof. Struve posiada atoli jedno i drugie, a w erudycyi nie ma u nas obecnie w tej dziedzinie współzawodnika. Erudycya ta będzie rękojmią wartości naukowej dzieła zarówno dla tych, którzy wyznaniem wiary filozoficznej bliżcy są czcigodnemu autorowi, jako też i dla licznych jego przeciwników.

Drugą poważną lukę w piśmiennictwie polskiem zapeliła p. Walerya Marrené, opracowując „Historję sztuki“, która wśród rozmaitych wydawnictw, ukazujących się w ostatnich czasach, stale była pomijana. Książka przeznaczona jest dla szerszego ogółu i stąd ma charakter podręcznika, trzymanego w granicach wiedzy elementarnej. Nie mniej jednak pożytek jej będzie znaczny, poznanie bowiem dziejów sztuki i jej pomników, chociażby w najskromniejszym zakresie—wpływa dodatnio na wykształcenie ogólne i podnosi jego poziom.

Literatura zagraniczna, a zwłaszcza niemiecka i francuska, mają bardzo wiele dzieł tego rodzaju—u nas brak dzieła takiego silnie dawał się odczuwać. Pragnąc brak ten usunąć, p. W. Marrené przyswoiła językowi polskiemu „Historję sztuki“ Rogera Peyre'a, przeznaczoną we Francyi dla szkół średnich, uzupełniając ją szkicem rozwoju sztuki w Polsce. Książka ta, wydana z zapomogi kasy im. Mianowskiego, ukazała się już w handlu księgarskim.

Wiadomości bibliograficzne.

— Nakładem Krakowskiej Akademii Umiejętności wydane zostały przez d-ra Antoniego Karbowiaka „Protokóły procesu ks. Andrzeja Czarnkowskiego z 1549 i 1550 roku.“

— W dziedzinie filozofii ukazało się kilka nowych interesujących prac: Profesor dr. Henryk Struve, wydał pierwszy zeszyt dzieła, poświęconego Wszechnicy Jagiellońskiej w pięćsetną rocznicę jej dziejowej pracy p. t. „Historia filozofii w Polsce“, na tle ogólnego rozwoju życia umysłowego. Zeszyt ten zawiera „Wiadomości przygotowawcze.“ Tegoż autora wyszła w formie odbitki z „Przeglądu Filozoficznego“ rozprawa „Materia, duch i energia, jako czynnik bytu podmiotowego.“ Wincenty Lutosławski zebrał swoje studia filozoficzne (1888–1899) p. t. „Z dziedziny myśli“, a W. M. Kozłowski ujął w jeden tom „Szkice filozoficzne“ ogłoszone jako wydawnictwo „Przeglądu filozoficznego“.

— Na podstawie dzieła Rogera Peyre'a, pani Walerya Marrené-Morzowska opracowała „Historię Sztuki“, która będzie wkrótce przedmiotem obszerniejszej oceny.

— „Dusza dziecka“, książka Jakóba Sully, profesora filozofii w Kolegium uniwersyteckiem w Londynie, ukazała się w polskim przekładzie, dokonanym z drugiego wydania oryginału angielskiego przez Izabellę Moszczeńską.

— Nakładem redakcyi „Głosu“, wydane zostały cztery broszurki, w tłumaczeniach z angielskiego, z niemieckiego i z francuskiego, a mianowicie: H. Münsterberga „Nauka w stosunku do życia i sztuki“; Henryka Cunow „Chiny, rozwój społeczny i ekonomiczny“; G. Belota i K. Gide'a „Miłosierdzie, sprawiedliwość i dobór naturalny“; i G. Ferrero „Czynniki postępu moralnego.“

— Do użytku szkolnego i nauki domowej ułożył p. Bronisław Grabowski „Teorię literatury“ (stylu, prozy i poezji). Przekonany, że teorią literatury jest częścią filozofii, na której opartą być powinna, autor zamierzył, jak to oświadcza w przedmowie, dać swemu podręcznikowi podstawę filozoficzną.

— Pod ogólnym tytułem „Prawo a życie“ p. S. Posner rozpoczął szereg szkiców, z których pierwszy nosi nazwę „Główne zagadnienia literatury prawa handlowego w ostatnim dziesięcioleciu“. Praca ta nagrodzona została na konkursie „Gazety sądowej“ w 1899 r.

— Dr Teodor Dunin wydał broszurkę p. t. „Sanatoria dla niezamożnych suchotników, jako jedna z najpilniejszych potrzeb społecznych“. Dochód z tej publikacji przeznaczył autor na korzyść projektowanego sanatorium.

— „Encyklopedyi staropolskiej“, Z. Glogera, wyszły zeszyty IV i V. W ostatnim zeszycie zwracają na siebie uwagę obszernie i zajmujące artykuły: o budowniczych, buławach, bursach szkolnych, cechach, chełmińskim prawie, chorągwiach, cłach, cmentarzach i pogrzebach w dawnej Polsce, etc. W listopadzie ukończony będzie druk tomu pierwszego, który, jak to czytamy na okładce, obejmie wyrazy od A do D, i około tysiąca artykułów ozdobionych stukilkudziesięciu rysunkami. Do rzeczy ciekawszych w V zeszycie należy uważana za zaginioną i nieznaną dotąd, melodia ulubionego w czasach Zygmuntofskich tańca, zwanego „Cenarem“.

— Zeszyty 369 i 370 „Dziejów ilustrowanych“, wydawanych w Wiedniu nakładem Franciszka Bondego, pod redakcją d-ra Ludwika Kubali, wyszły z druku i zawierają dalszy ciąg czasów starożytnych (tom IV).

— „Albumu sztuki polskiej“ zeszyty IX i X, ukazały się niedawno. Należą one do seryi pierwszej, odtwarzającej w reprodukcjach „Wystawę retrospektywną“ w Warszawie 1898 r.

— Zapowiedziane wydawnictwo „Świat artystyczny“, redagowane przez prof. W. Gersona, rozpoczęło się od zeszytu zawierającego: „Zagajenie“ W. Gersona; „Ze zbioru „Meandrów“ przez Felicjana; „Przodownica sztuk pięknych“ studjum przez Ant. Jabłońskiego; „Myśli przedwstępne z dziedziny sztuki i krytyki“ przez Jana Zagórskiego; „Nieziszczona przepowiednia“ przez Ferdynanda Hoesicka; „Kilka głosek języka plastycznego“ przez W. Gersona; „Władysław Łuszczkiewicz“ przez Stanisława Tomkowicza, „Listy monachijskie“ przez Maryę Dułębiankę.

— Jako 153 tom „Biblioteki dzieł wyborowych“ wydane zostały „Opowiadania o starej Warszawie“ Wiktora Gomulickiego.

— Do literatury powieściowej przybyły utwory: Walerego Przyborowskiego „Sokół Królewski“; Kazimierza Laskowskiego „Surdutowiec“ i Antoniny Matuszewic „Dwa prądy“. W tłumaczeniu z angielskiego ukazała się „Księga Dżungli“ Rudyarda Kiplinga.

— Wilhelma Feldmana czteroaktowy dramat „Czyste ręce“ wydany został w książce.

— W sferze twórczości peetyckiej spotykamy się ze zbiorkiem „Poezyi“ Mieczysława Glińskiego; z baśnią liryczną p. t. „Dziad“ Władysława Zalewskiego; i z poematem w trzech pieśniach przez El. Jota p. t. „Libacya“.

— Pan Mieczysław Rościszewski podał w małej broszurce „sposób prowadzenia rozmowy,“ jako „jedyny skuteczny poradnik dla chcących się podobać.“

O D E Z W A.

Do większej pracy pod tytułem: „Czasy namiestnictwa ks. Paszkiewicza 1831 — 1856“, pragnął-bym, między innemi, zużytkować w najszerszej mierze świadectwa współczesne polskie, drukiem nieogłoszone. Niniejszem upraszam osoby, będące w posiadaniu niewydanych pamiętników, lub innych dokumentów, dotyczących całości, lub części wskazanego okresu, o użyczenia mi ich do rzeczonyj pracy. Odpowiedne papiery proszę przysyłać pod moim adresem do Redakcyi „Biblioteki Warszawskiej“, Warszawa, Warecka 14. Pożądane jest w każdym wypadku dołączenie dokładnej wskazówki: 1) o ile właściciel nadsyłanych papierów życzy sobie zachowania w dyskrecyi ich pochodzenia przy użytkowaniu ich w mojej pracy; 2) jakie wogóle czyni zastrzeżenia pod względem ich zużytkowania (dosłownie, czy w streszczeniu, w całości, czy częściowo); 3) na jaki czas papiery zostają użyczone, oraz dokąd i jaką drogą mają zostać zwrócone?

Inne pisma polskie proszone są o laskawe przedrukowanie niniejszej odezwy.

Warszawa,

Szymon Askenazy.

22 października 1900 roku.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

Michał książę Radziwiłł.

Komitet Budowy Kościoła pod wezwaniem „ZBAWICIELA“ w Warszawie.

Do Redakcyi

„Biblioteki Warszawskiej“.

Na zasadzie NAJWYŻSZEGO zezwolenia z dnia 27 czerwca roku bieżącego na zbieranie w Warszawie i gubernii Warszawskiej ofiar do wysokości 350,000 rubli na budowę nowego Kościoła przy ulicy Marszałkowskiej w Warszawie, Komitet Budowy tegoż Kościoła, przystępując do zbierania składek, tuszy sobie, że Szanowna redakcyja zechce łaskawie poprzeć starania Komitetu, i przyczyni się do wzniesienia tej Świątyni, otwierając stosowną rubrykę ofiar w swem pożytnem piśmie i zajmując się zbieraniem składek.

Przeświadczeni o skutecznym udziale Szanownej Redakcyi, i dziękując z góry za podjętą pracę, ośmielamy się załączyć kwitaryusz dla osób, wnoszących ofiary.

Warszawa

1900 r.

Z głębokim szacunkiem

W imieniu Komitetu:

Ks. Z. Siemiec

Sekretarz:

Henryk Dziewulski.

Br. Jasiński.

Załączoną powyżej odezwę chętnie zamieszczamy w piśmie naszym, i solidaryzując się zupełnie z tak ważnem a pożytecznem przedsięwzięciem, prosimy wszystkich Czytelników i Prenumeratorów „Biblioteki“ o łaskawe nadsyłanie składek do biura redakcyi: **W a r e c k a 14** — za kwitami Komitetu budowy.